

# POLSKIE OPOWIEŚCI Z DRESZCZYKIEM



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „ISKRY” WARSZAWA 1969

JAN BARSZCZEWSKI

## WŁOSY KRZYCZĄCE NA GŁOWIE

W Witebsku spotkałem się na ulicy z doktorem naszego powiatu panem M. Zdarzyło się, że oba w tymże czasie przyjechaliśmy do miasta dla interesów. Pogadawszy o tym i owym rzekł doktor:

— A gdzie będziesz obiad jeść?

— Gdzie Pan Bóg pozwoli — odpowiedziałem — za pieniądze w mieście wszędzie łatwo znaleźć obiad.

— Pojedziemy do traktieru Karlisona, tam zawsze podają jedzenie wyborne.

— A czy nie będzie za drogo dla szlachcica?

— Nie drożej jak u innych; lecz jeśli cokolwiek i więcej, za to będzie z lepszym gustem. Dla siebie nie trzeba żałować.

Zgodziłem się. Wchodzimy do ogromnego pokoju, było tam kilka osób; jedli, pili, palili fajki, śmieszili jeden drugiego wyprowadzając na scenę wady i dziwactwa swoich znajomych; drwili ze wszystkich, nie oszczędzając kobiet i starych ludzi.

Siedząc za stołem z podziwieniem oglądałem na tych trzpiotów, jak usiłowali popisać się swoim dowcipem, śmieli się na całe gardło i zbliżając się do lustra opatrywali siebie od głów do nóg.

— Dobrze niekiedy i w traktierze bywać — rzekł doktor — tu ludzie śmielej zdejmują z siebie maskę i tu najdokładniej można widzieć, jakimi są.

Ledwo to powiedział, wchodzi ktoś wysoki, włosy gęste, najeżone, oczy niespokojne, twarz pełna, blada, jakby w niej tylko żółć i woda była. Wszyscy obrócili oczy na niego, on usiadł na kanapie i biorąc się za głowę zastękał mówiąc: — Nie ma im pokoju. — Potem kazał sobie podać szklankę rumu, wypił połowę i jakby zamyślony, siedział kilka minut w milczeniu; po czym wstał przypatrując się w lustro; rękę położył na głowę, mówiąc te słowa: — O! Teraz przynajmniej nie ruszają się i zamilkły na czas krótki.

Gdy wszyscy z podziwieniem patrzyli na niego, rzekł mój towarzysz:

— Niezdrowszy jesteś, jak uważam, musisz cierpieć ból głowy; nie sądzę, aby rum mógł ulżyć, więcej jeszcze zaszkodzi.

— Nieproszony rady dajesz.

— Doktor jestem, to mój obowiązek.

— Doktor jesteś, a nie zgadłeś mego cierpienia. Powiedz mi lepiej, jaka śmierć jest lżejszą? Gdyż ja nie mam nadziei być zdrowym, a umrzeć muszę.

— Moja nauka ma na celu przedłużyć życie ludzkie, a nie pokazywać drogę do śmierci, gdyż śmierć sama nas spotka.

— Śmierć sama nas spotka, to prawda, ale któż o tym nie wie?

Tak, ta prawda wszystkim jest wiadoma, ale nie wszyscy o niej myślą.

— Komu życie miłe; lecz kto tak cierpi jak ja, temu nie ma czego na świecie żałować.

— Jakież masz przecie cierpienie?

— Włosy, włosy zatrwały życie moje!

Gdy to powiedział, z drugiej strony, w kole wesołego towarzystwa, powstał śmiech i dały się słyszeć takie rozmowy:

— O! Bo też były to włosy z pięknego warkocza!

— Nie trzeba było ostrzygać; jest w tym sympatia, że przez to zrywa się związek wzajemnych uczuć.

— Bo też naprzykrzyły się mu włosy, przeciął je nożycami, a te odżyły przy świetle księżycy.

— Nie umiał szanować, a miał włosy ślicznie śpiewające.

— Patrzcie, patrzcie, i na jego głowie oświecone słońcem ruszają się włosy, jak gdyby żywe były.

Posłyszawszy te żarty cierpiący spojrział na nich z gniewem, nic nie mówiąc porwał się z miejsca i prędkim krokiem chodził po pokoju.

Ci panowie razem wszyscy wyszli, a wychodząc rzekł jeden z nich:

— Bywaj zdrów, panie Henryku! Pij więcej rumu, a wszystko dobrze będzie!

— Otóż czego dożyłem — rzekł Henryk obróciwszy się do doktora. — Zostałem pośmiewiskiem nieczułych ludzi, śmieszne im cudze nieszczęście, wszędzie, gdzie tylko ich spotykam, starają się powiększyć moje cierpienia szydząc z bolesnych wypadków mojej przeszłości.

— Zanadto masz drażliwe nerwy — rzekł doktor — gdy oburzasz się na ludzi zupełnie lekkomyślnych. Ja tu siedząc poznałem ich, słuchając, jak zuchwale nie szczczędzili uszczypliwych i krzywdzących słów dla wszystkich swoich znajomych w mieście.

— Byłem kiedyś zupełnie inny, obojętnie słuchałem śmiechów i jęków, nic nie oburzało moich nerwów — włosy, włosy zrujnowały we mnie całą naturę!

Tu zamilkł, jakby słuchał czegoś i wnet pokazując palcem na włosy swoje:

— Oto — rzekł — jeden zaśpiewał i inne ruszają się... prędko zakrzyczą wszystkie razem. Wy nie widzicie, co się dzieje na mojej głowie! — To rzekłszy, prędko poszedł wziąć szklanekę, aby ostatki wypić rumu.

— Słuchaj mojej rady — powiedział doktor — każ podać wody i cukru; zmieszaj to razem, przynajmniej mniej szkodliwym będzie, lecz ja bym radził zupełnie zaniechać tej kuracji.

Wziął szklanekę, stanął przed lustrem ręką dotykając włosów, ścisnął ramionami, potem obrócił się do doktora, spojrział na niego niespokojnym okiem i rzekł tymi słowy:

— Zaniebdam ten sposób, jeśli wynajdziesz lepszy; jednakże nie odrzucam pierwszej rady. — To rzekłszy kazał podać wody i wypił szklanekę ponczu.

— Opowiedz mi wypadki życia swego; gdybym wiedział, skąd ma początek to cierpienie, może bym i znalazł sposób, aby cokolwiek zaradzić temu.

— Może znajdziesz sposób powrócić czas przeszły?

— Przeszłość uczy nas, jak mamy korzystać z terażniejszości.

— Moja choroba jest nowa; ani lud prosty instynktem, ani nauką medyki nie odkryli jeszcze ziółek, aby ją wyleczyć, jednakże postrzegam w tobie, że najszczerze masz chęci zaradzić mojej niedoli; powiem o kilku ważniejszych wypadkach, które spotkały mnie w życiu.

Byłem jedynakiem u rodziców; w dzieciństwie nie doświadczyłem, aby mi w czymkolwiek odmówiono; służy spełniali wszystkie moje rozkazy, nauczyciel domowy wykładał mi początki francuskiego języka lekkim sposobem, abym, zajmując się, w przeciągu jednej godziny nie doświadczył najmniejszej przykrości i nie przytłumił w sobie wesołych myśli, które więcej cenią się w towarzystwie świeckim niż gruntowna umiejętność wysokich nauk.

Kiedy miałem lat piętnaście, ojciec pomieścił mnie w Rydze na rok jeden, abym tam korzystał w językach niemieckim i francuskim od lepszych nauczycieli i nabył gustu we wszystkim tym, co może mię zalecić przed ludźmi tymi, o których brzmi sława wśród świetnych salonów.

Zostawił pieniędzy więcej, niż wymagały potrzeby moje, i ja tam spotykałem tylko kwiaty wesołego życia; nikt mi nie wspomniał wtenczas, że czas mija bez powrotu, zdrowie człowieka wątłe, ulega smutnym zmianom i wesele lat szczęśliwych podobne do samych marzeń.

Kiedy powróciłem z miasta do domu, od rana do wieczora najczęściej polowaniem

byłem zajęty. Na utrzymanie strzelców, chartów i psów gończych nie żałował mój ojciec kosztów, pozwolono mi ludzi trzymać dla usług tyle, ile chciałem; miałem piękne konie, sprowadzałem modne pojazdy.

Po latach kilku wybrany byłem od obywateli dla urzędowania w tymże powiecie. W mieście znalazłem wielu przyjaciół; w moim domu często wrzały wesołe zabawy, a niekiedy przy winie lub za kartowym stołem goście spotykali wschód słońca.

Przeszło lat cztery; rodzice moi przenieśli się do wieczności. Powróciłem do domu z zamiarem zajęcia się gospodarstwem i znalazłem majątek obciążony długami. Zjeżdżali się do mnie wierzyciele mojego ojca i z groźbą wspominali o należności, domagał się sąd o nie zapłacone podatki skarbowe od lat kilku; postrzegłem niebezpieczeństwo i wtenczas raz pierwszy zwróciłem uwagę na straszną przyszłość.

„Trzeba się zenić — rzekł mi mój sąsiad. — Panna Amelia, córka komisarza, który teraz zarządza majątkami pana G., piękna dziewczyna z dobrym wychowaniem, a do tego słyszałem, że więcej dziesięciu tysięcy rubli srebrnych ma w posagu; ojciec jej gromadził porządny fundusz, zajmując się obowiązkami komisarza i plenipotenty, a że nie jest w związkach rodzinnych z tutejszymi Jaśnie Wielmożnymi, którzy robią, co chcą w czasie elekcji urzędników — na to nie zwracaj uwagi. W twoich okolicznościach potrzebne pieniądze, a nie rodzinne związki, które, wedle mego zdania, na nic się nie przydadzą”.

Postrzegłem, że rada mego sąsiada była istną prawdą; zgodziłem się na ten wybór i prosiłem jego w tym razie pomocy. Dziesięć tysięcy rubli srebrnych, a choćby i mniej cokolwiek byłoby dość, ażeby oswobodzić od przykrych interesów mój majątek, a do tego o pięknych zaletach córki pana komisarza i pierwaj jeszcze słyszałem od wielu osób, a tak więc, aby przyprowadzić to do skutku, pojechaliśmy obaj do domu jej rodziców.

Zobaczywszy pierwszy raz Amelię, postrzegłem prawdziwie cudne zalety natury; postać jej śliczna mogłaby służyć wzorem do najpiękniejszego obrazu, na twarzy okazywała się łagodność charakteru, w błękitnych oczach odbijała się cicha melancholia i jakieś przyjemne marzenie. Rozmawiając z nią o przyszłości i o niestałym szczęściu na tym świecie poznałem, że przez wpływ wychowania z pokorą wierzyła w przeczucia i w niezbadane tajemnice natury. Sąsiad mój otwarcie opowiedział matce i ojcu o wszystkich potrzebach w interesach mego majątku; zgodzili się rodzice i córka.

Po weselu najszczęśliwszym byłem z ludzi; przywiozłem żonę do domu i wypłaciłem wszystkie długi.

Ach! Dlaczego nie wierzyłem w przeczucie! Doktorze, czy zgadzasz się z tym, że czuła dusza ludzka słyszy w cichym głosie anioła przestrogi daleko lepiej niż naukami i doświadczeniem nabyta mądrość?

— Postrzegamy to w życiu — rzekł doktor — lecz ten instynkt bywa nie u wszystkich ludzi.

— Dlaczegoż ja nie chciałem wierzyć sercu czulej Amelii?!

— W jakim zdarzeniu? I jakież z tego nastąpiły skutki?

— W przeciągu trzech lat byliśmy szczęśliwi oboje, a chociaż z przyczyny niektórych myśli i pojęć zdarzała się w rozmowach naszych sprzeczność, jednak zawsze się ta skończyła spokojnie. Amelia, widząc mój upór, prędko wybierała inny przedmiot dla rozmowy, aby tylko uniknąć niezgody.

Wiosenną porą był wieczór pogodny, wyszliśmy na przechadzkę do bliskiego lasu, wokoło odzywały się śpiewy rozmaitych ptaków. Amelia, idąc drogą, przerywała często rozmowę, jakby wpadając w jakieś smutne marzenie.

„Uważam — rzekłem — że przeczucie tobie jakieś tam szepce do ucha, bo przerywasz rozmowę i wpadasz w smutne myśli”.

„Prawdziwie, jakaś na mnie tęsknota napada, nie wiem dlaczego”.

„Śpiew słowików i kukawek działa na twoje nerwy”.

„Może być” — odpowiedziała cichym głosem.

W czasie tej rozmowy widzę, z lewej strony idąc przez las maleńką ścieżką zbliża się do nas jakiś zgarbiony starzec w czarnym odzieniu, twarz blada, oczy jasne świeciły spod gęstych brwi, z tyłu kosz wisiał nakryty starą, czarną sukmaną. Ciekawy byłem poznać, kto by był i skąd podróżował ten dziwny człowiek. Spotkawszy się zapytałem:

„Kto jesteś i skąd idziesz, staruszk?”

On zdejmując z głowy stary, zgnieciony kapelusz i rzecze kłaniając się nisko:

„Mieszkam na całym świecie, szukam łaskawych dla siebie dobrodziejów i ciągle wojuję z przesądem i marzeniem ludzkim”.

Ta odpowiedź jego obudziła chęć we mnie do dalszej rozmowy.

„Z jakichże powodów — rzekłem — powstała ta wojna z przesądem i marzeniem ludzkim?”

„Z powodu, że oni nie zrozumieli ani mnie, ani swojej korzyści. Ja zwiedziłem świat cały, poznałem wszystkie potrzeby ludzkie, zbadałem najskrytsze tajemnice natury, chciałem przynieść ulgę mieszkańcom tej nieurodzajnej i ubogiej krainy, lecz oni zamiast nagrody, zasypali mnie przekleństwem, nigdzie nie dając spokojnego przytułku”.

„Cóż robiłeś przecie — rzekłem — dla mieszkańców naszej ziemi?”

„Chciałem dobrze zrobić, lecz za dobroć moją dwa razy doświadczyłem prześladowania. Nie mogę zapomnieć, chociaż już temu przeszło dwadzieścia kilka lat; wynalazłem sztukę robienia złota, chciałem ten sposób udoskonalić i udzielić tutejszym obywatelom. Pan X., bogaty człowiek, blisko Połocka miał majątek i dom w mieście, w którym sam mieszkał, dla mnie tamże nazначzył maleńki pokój dla zajęcia się i udoskonalenia mojej nauki. Tam okropny wypadek zdarzył się ze mną; wychodząc zostawiłem drzwi nie domknięte, na stole u mnie leżały w papierku proszki białe, potrzebne w wielu rzeczach do tej nauki; żona pana X., weszła do mego mieszkania, wzięła jeden papierek z proszkiem sądząc, że to było lekarstwo, i poczuwszy ból głowy, kazała podać szklanekę wody, wsypała proszek, wypijała i wnet umarła. Prześladowany od sądu niewinnie, musiałem stamtąd uciekać i szukać sobie przytułku w innym miejscu.

Udałem się do pana Y. i chciałem jemu wielkie rzeczy objawić. Podczas północy była na smętarzu próba, lecz ten pan i sługa jego, który potrzebny był dla pomocy, oba nie mając sił, aby mogli wytrzymać próbę wielkiego dzieła, zemdleli; ja bojąc się prześladowania zostawiłem ich tam leżących na smętarzu — uciekłem, nigdy już nie pokazywałem się w tamtych stronach i zrobiłem postanowienie na wieczne czasy nie odkrywać przed światem tego sekretu”.

„A cóż masz w tym koszu pod sukmaną?” — zapytałem.

„Królików — odpowiedział — niosę na sobie; jeśli łaskawy kto pozwoli mi gdziekolwiek samotny dom dla mieszkania, tam będę ich hodować, one bardzo mnożą się, w prędkim czasie będę miał z nich jedyny pokarm w moim ubogim stanie”.

„Odkryj kosz i pokaż nam królików twoich”.

Ledwo odkrył kosz, Amelia cofnęła się i zakrzyczała w przelęknieniu:

„Ach! ach! Jakie okropne nietoperze! Zakryj, zakryj ich prędzej, patrzeć nie mogę na te straszki!”

Spojrzałem na nią z podziwieniem, bo prawdziwych widziałem parę czarnych młodych królików, a starzec rzekł rzucając na nią wzrok bystry:

„Przypatrz się, pani, lepiej; to są młode czarne króliki; jeszcze nie wyrosły, jak potrzeba” — i jednego z nich wzięwszy za uszy podjął z kosza.

„Ach! ach! Jaki straszny nietoperz! Zmiłuj się, nie pokazuj, schowaj go w koszu, nie chcę i nie mogę patrzeć na taką obrzydliwość”.

Sądząc, że w tym zmyślonym strachu był jakiś dziwaczny kaprys i upór Amelii, kazałem starcowi, aby szedł i przenocował w folwarku, i że jutro będzie mieć naznaczone dla

siebie mieszkanie. On pokłonił się i poszedł prosto do dworu.

Z przechadzki powracaliśmy do domu w milczeniu. Amelia nadzwyczajnie była zmartwiona, blada, i łzy świeciły się na oczach. Patrzałem na nią z podziwieniem i szukałem w rozmaitych domysłach przyczyny, dlaczego by przeczyła tak oczywistej prawdzie, gdyż własnymi oczyma widziałem młodych królików — na koniec przerywając milczenie rzekłem:

„Cóż więc, Amelio? I teraz jeszcze gotowaś dowodzić, że starzec ten ma w koszu nietoperzy? Dziwny do głowy przyszedł ci kaprys: drwić z starego człowieka zadając jemu kłamstwo”.

„Nie miałam zamiaru — rzekła — zadać kłamstwo, lecz wierzę własnym moim oczom”.

„Żałuję, że zmartwiłaś biednego starca, wszak zauważyłaś z jego rozmowy, że ten człowiek obdarzony rozumem od natury i uczonej, szkoda tylko, że jest nieszczęśliwy”.

„Spojrzenie i twarz straszna... Na co jego było zatrzymywać, niechby sobie szedł dalej”.

„Dziwi mnie dzisiejszy nadspodziewanie dziwny twój charakter. Zatrzymałem jego nie na czas krótki; dam przytułek biednemu i będzie żyć w moim majątku, póki sam zechce”.

Amelia słowa na to nie odpowiedziała. Skończyła się sprzeczka i milcząc oboje powróciliśmy do domu.

Niedaleko od dworu nad rzeką stał dom samotny, otoczony ciemnym jodłowym lasem. Mieścił się tam jeszcze za życia mego ojca poddany z całą swoją rodziną, któremu później dla mieszkania nazaczyłem miejsce na wsi bliskiej, ale pole, które orał, przyłączyłem do ziemi należącej do dworu. W następnym dniu wstałem rano, podróżnego starca zaprowadziłem do samotnego domu, aby tam miał spokojne schronienie przy schyłku lat swoich — podziękował mi i pośród chaty wypuścił z kosza swoich królików.

Mieszkał samotnie, niekiedy sam jeden błąkał się po polu w cieniu lasów; w nocy nie spał, pokazywał się na różnych miejscach w czarnym odzieniu, jak gdyby straszne zjawisko. Mieszkańcy, spotykając go przy świetle księżyca, obawiali się zbliżyć, uciekali jakby od upiora i dziwne nosiły się wieści o nim po całej okolicy. Opowiadali jeden drugiemu, jakoby o północy widzieli ogromne stado nietoperzy nad dachem, gdzie on mieszkał, i na zawołanie przylatywały do niego sowy i kruki.

Słyszając takie wymysły prostego ludu śmiałem się, odwiedzałem starca samotne schronienie, lubiłem rozmawiać niekiedy przez kilka godzin, jesienną porą słuchałem tam, jak szumiały stare jedliny nad dachem chaty, poglądałem na twarz jego, na której zamarł wesoly uśmiech na wieczne czasy. Przed oknem na piaszczystym wzgórku wśród sosen snuło się ogromne stado czarnych królików skrywając się pod ziemią i znowu wybiegając z nor swoich. Patrząc na to wszystko czułem w sobie zmianę i duch mój pogrążył się w smutne myśli.

Amelia nie chciała go widzieć i nie lubiła, jeśli ktokolwiek wspominał o nim; ja przeciwnie, z przyjemnością rozmawiałem z nim i po upływie kilku miesięcy tak mną za władał, że wierzyłem wszystkiemu, co by on tylko powiedział.

W końcu września przed samym zachodem słońca wchodzę do chaty starca; wiatr jesienny wył za ścianą, on wsparłszy się na rękę patrzył się na swoich królików, których pełno było w domu i na podwórzu. Postrzegłszy mnie wstał i rzekł tymi słowy:

„Dziwna rzecz, w przeciągu tego czasu, jak mieszkam w majątku pana, zwiedziwszy wszystkie tu miejsca wokoło widziałem w tych lasach drzewa rozmaitego rodzaju, lecz dębów zupełnie tu nie ma blisko; znalazłem tylko o wiorst kilka dwa stuletnie drzewa tego rodzaju i blisko wokoło młode drzewka, a te, jak sądzę, wyrosły z żołądzi, które tam wiatr porozrzucił”.

„Ja zupełnie nie zwróciłem na to uwagi — rzekłem. — Dla rozmaitych potrzeb gospodarskich niemniej są dobre u nas i inne”.

„Dla użytku dobry wiąz i brzoza, ale cóż może być wspanialszego, jak widzieć gaj dę-

bowy; te drzewa wieki rosą i ja bym panu radził, aby teraz, jesienną porą, kazał je wykopać i wszystkie posadzić na wzgórzu, które widziałem w ogrodzie za stawem i na którym jeszcze dotychczas żadne nie rośnie drzewo”.

„Wiele lat trzeba czekać, póki wyrosną ogromne, i pewnie nie zobaczę na tym wzgórku wspaniałych i wysokich dębów, gdyż życie ludzkie jest nader krótkie”.

On spojrział na mnie surowo, tak że dreszcz przebiegł po ciele i jakby drwiąc powtórzył moje słowa:

„Życie ludzkie jest nader krótkie. Na co myśleć o tym, pan jesteś jeszcze młody, masz mocne zdrowie, lat sto żyć będziesz na tej ziemi i w cieniu tych dębów weselić się z przyjaciółmi. Odrzucaj wszelkie smutne myśli, jesteś panem i wszystko powinno służyć dla twoich wygod”.

Posłuchałem rady. Na drugi dzień rozkazałem ogrodnikowi iść do starca, który mieszka nad rzeką, blisko jodłowego lasu, a gdy ten pokaże mu młode dęby, aby te przeniósł do ogrodu i posadził na wzgórku.

Ogrodnik słysząc mój rozkaz przeląkł się, twarz mu pobladła i rzekł zmienionym głosem:

„Skąd panu przyszły te myśli? Dęby nie kwitną i z owoców ich nie ma żadnej korzyści; dla ozdoby w ogrodzie najlepsza jest lipa, i to lepiej by było posadzić na wzgórku”.

„Rady twojej nie potrzebuję — rzekłem — słuchaj, co tobie rozkazuję, i wnet spełnij”.

„Od starych ludzi słyszałem, że kto sieje lub sadi dęby — roku nie przeżyje”.

„Jeśli mi drugi raz — rzekłem — powtórzysz takie głupstwa, to zaręczam, że każę ci dać pięćset różeg. Idź, zrób to, co ci rozkazuję”.

Ogrodnik, bojąc się dłużej rozmawiać ze mną, wyszedł zmartwiony i szukał zdarzenia prosić moją żonę, czyby nie potrafiła wmówić mi, abym zaniechał tego zamiaru.

Wieczorną porą, gdym się wydalili z domu na czas krótki, on wszedł do pokoju Amelii, zmieniony, ze łzami w oczach, rzucił się do nóg i opowiedział jej rzecz całą.

Gdy powróciłem z uśmiechem, spotkała mnie Amelia mówiąc te słowa:

„Skąd ci, Henryku, myśl przyszła sadzić dęby w ogrodzie? Nie widzę w tym potrzeby ani też ozdoby. Biedny ogrodnik przyszedł do mnie okropnie zmartwiony mówiąc, że największe nieszczęście przesadzać, gdyż to drzewo zabiera siły od tego, kto je pielęgnuje, a przez co i życie skraca się niezawodnie. Wiem ja, że zabobony pochodzą od nieoświecenia, ale czyż mamy prawo okrutnie postępować z ludźmi za to, że im nie dano żadnego oświecenia? Trzeba używać łagodniejszego sposobu, aby ich odprowadzić od głupich przesądów; wszakciż są bliźnimi i wielki grzech niesprawiedliwość im wyrządzać”.

„Jak ja uważam — rzekłem spojrzawszy na nią z gniewem — to i ty jesteś podobna do ogrodnika; zobowiązałaś się głupstwa bronić, ale na nic twoja protekcja”.

„Pewnie ów starzec okrutny dał tobie tę radę; porucz więc jemu samemu zastąpić miejsce ogrodnika i przyprowadzić to do skutku, wszak co dzień nic nie robiąc błąka się po polu i lasach”.

„Ludzie moi, ja tak chcę, więc i tak być musi”.

Gdy to powiedziałem, z oczu Amelii rzuciły się łzy strumieniem i ona wnet wyszła do drugiego pokoju.

Ogrodnik widząc, że wszelkie upadły nadzieje, przywiózł z lasu młode dęby i posadził naznaczonym miejscu. Potem ciągle był smutny; na próżno drudzy wmawiali, że dęby nie mają żadnego wpływu na zdrowie ludzkie, jednakże on schnął, siły upadły i w następnej wiosnie, gdy tylko te drzewka pokryły się liśćmi, zakończył życie smutne.

Po śmierci ogrodnika, gdy opowiedziałem starcowi o prostocie tego człowieka, o przesądach i o słabości jego charakteru — on spojrział na mnie, zmarszczył czoło, jakby pokazując znak pogardy, i rzekł tymi słowy:

„Tym lepiej, nie masz czego żałować, mając wiele głupich ludzi, jednego tylko straciłeś

z nich”.

Druga zdrada tego starca zrujnowała jeszcze więcej zgodę i spokojność między mną i żoną. Miałem zamiar budować nowy dom drewniany, a gdy niewiele brakło mi cegieł dla fundamentu, aby dopełnić ten niedostatek, wyszedłem w pole i chodząc tam wybierałem dobre miejsce dla cegielni. On spotkawszy się ze mną rzekł pokazując na smętarz i starą kaplicę, która stała niedaleko od dworu i na samym widoku.

„Jak nie na odpowiednim miejscu ktoś urządził ten smętarz! Z okna mieszkania pańskiego ciągle w oczach drewniane krzyże i kaplica, co za widok nieprzyjemny! Odwiedzają pana sąsiedzi, z nich wielu jest młodych i wesołych ludzi, lecz te krzyże i ta kaplica, ciągle snując się w oczach, każdego mogą doprowadzić do posepnych myśli i melancholii; ja bym radził panu naznaczyć wieśniakom miejsce dla smętarza gdziekolwiek daleko za lasem, żeby nie tak często oko go ludzkie widziało; cegły z kaplicy użyć na fundament domu, na tym zaś miejscu posiać owies, aby i znaku nie było, że tam zasypane gniją kości umarłych ludzi”.

Pochwaliłem wykształcony gust starca, jego naukę w zbadaniu charakterów ludzkich i tajemnic natury; posłano więc, aby wnet stamtąd znieśli drewniane krzyże, zebrali w kupę kamienie sterczące na mogiłach i zrujnowawszy kaplicę cegły zwieźli do dworu.

Na próżno poddani moi zebrawszy się ze wszystkich wiosek prosili, abym nie niszczył pamiątek i nie naruszał tego miejsca, gdzie leżą prochy ich rodziców i krewnych; na próżno opierał się temu ksiądz pleban starając się dowieść, że wielki grzech ściągam na swoje sumienie; na próżno starzy sąsiedzi wyrzucali mi w oczy, że odstępuję od zwyczajów przodków swoich. Na koniec Amelia postrzegłszy, że wszystkich namowy i napomnienia odrzucone zostały, ciężko będąc zmartwiona rzekła tymi słowy:

„Henryku, wszakciż jeszcze za życia ojca i dziada twego ta kaplica i smętarz były na tymże miejscu, dla ojca i dziada te krzyże i te mogiły nie naprowadzały okropnych myśli, nieraz oni tam o wschodzie i zachodzie słońca upadłszy na kolana modlili się gorliwie za umarłych swoich kmiotków; wszakciż ten zwyczaj wszędzie w naszych stronach, że smętarz zaprowadzają na widoku lub blisko dróg, żeby ludzie spotykając okiem krzyże i mogiły, odmawiali modlitwy za dusze zmarłe. Pewnie ten okrutny starzec dał tobie tę bezbożną radę, lecz pamiętaj, Henryku, że Bóg będzie sędzić nasze postęпки”.

„Nie twoja rzecz! — odpowiedziałem w gniewie. — Ja wiem, co robię; starzec, którego nazywasz okrutnym, śmieje się z waszego głupstwa; zanadto jesteście troskliwi o tych, których już dawno nie ma na tym świecie”.

A tak wytrwałem w swoim uporze. W przeciągu dwóch dni i ślad nie został, gdzie był smętarz, cegły kaplicy użyte na fundament nowego domu, do którego przez parę miesięcy przeniósłem się na mieszkanie.

Od tego czasu w Amelii postrzegłem jeszcze większą odmianę w charakterze. Jej oczy i twarz ciągle były zasepione smutkiem; mówiła, że zjawiska dawały się widzieć w tym nowym domu, marzyły się sny straszne i o północy słyszała niekiedy jakieś stękania. Po kilka godzin rano i wieczorem modliła się klęcząc i tak się zmieniła na twarzy, że kto ją znał pierwej, ledwo by mógł poznać wtenczas po przejściu kilku tygodni.

Kiedy mówiłem przed starcem o takim cierpieniu żony mojej — on spojrzął na mnie kiwając głową i rzekł:

„Jak pan mało jeszcze znasz, co jest kobieta! To nic więcej, tylko upór i gniew, że nie może zarządzać mężem i wszystko robić podług swej woli. Powiedziałbym panu jeden sekret, który ja postrzegłem, ale niech ten lepiej zostanie wieczną tajemnicą mej duszy, bo powiedzą inni, że jestem sprawcą niezgody między małżeństwem”.

„Ale zmiłuj się, powiedz — rzekłem — bo kogóż to ma obchodzić więcej jak męża”.

„Wiele obowiązany jestem panu, że zrobiłeś dobrodziejstwo dając ten przytułek dla starca, który na świecie w okropnej podróży życia przeszedł przez wszystkie doświadczenia, nauczył się z zimną krwią patrzeć i dostrzegać wszystkie tajemnice ich myśli i postępków.



Odkryję panu ten sekret, który już kilka miesięcy mam w pamięci nikomu o tym nie mówiąc — żona pańska ma żywe włosy na głowie”.

„Nie słyszałem jeszcze nigdy takich dziwów i nie pojmuję — rzekłem — co to znaczy”.

„Otóż opowiem rzecz całą, jakim sposobem ja to postrzegłem. Pamiętam, raz zjechali się goście do dworu, dzień był cichy i jasny, wyszliście wszyscy wtenczas z domu i korzystając z pięknej pogody przechadzaliście się w polu. Z panem szli dwaj panowie lat podeszłych i byliście bardzo zajęci jakąś rozmową, a żona pańska szła na przedzie okrażona młodzieżą. Ci rozmawiając ciągle poglądali na jej warkocz. Gdy zbliżyli się do gaju, ja, skryty za drzewem, ciekawy byłem także widzieć, dlaczego oni tak bardzo przypatrywali się włosom. Moje oko bystre daleko sięga i wnet postrzegłem, że przed światłem słońca włosy na głowie żony pańskiej ruszały się w warkoczu i po całej głowie. O! To rzecz, którą pan musisz mieć na baczności, bo są dziwy i czary na świecie; młodzież zapatruje się nie rozumiejąc, jaką siłą zapala się uczucie w ich sercu i niespokojność”.

„Czyż to być może?” — rzekłem z podziwieniem.

„Rzecz pewna: opowiem panu, jakim sposobem przekonać się o tej sprawie. Nie dość tego, że ona ma włosy żywe, lecz jeszcze jeden włos jest na jej głowie, który po zachodzie słońca, gdy zmrok pokryje ziemię, krzyczy całą noc aż do białego dnia i dlatego ona może zasnąć tylko na czas krótki; budzi się często, stęka i płacze wieczorem. Gdy pójdzie do osobnego pokoju, gdzie ma zwyczaj klęcząc odmawiać pacierze, pan przybliź się cicho, stanąwszy przy niej natęż tylko słuch dobrze. Ale jeszcze lepiej podczas nocnej ciszy posłuchaj z bliska, wtenczas ten włos najgłośniej śpiewa”.

Niewypowiedzianie niespokojny i zdziwiony byłem; zrobiłem postanowienie nie spać noc całą, aby tylko przekonać się o tej prawdzie. Wieczorem, kiedy Amelia zapaliwszy świecę poszła do osobnego małego pokoiku dla odprawienia modlitwy, ja cicho idąc na palcach zbliżyłem się do drzwi otwartych, natężyłem ucho i posłyszałem pisk tak cienki jak komara, kiedy brzęcząc lata nad skronią i szuka miejsca, i także cichym sposobem znowu odszedłem nie czekając, nim przerwie swoje nabożeństwo.

Po północy nie kładłem się spać, lecz w osobnym pokoju przy stole sam jeden rozkładałem karty, jak gdyby przez kabały kartowe chciałem wybadać spełnienie rozmaitych moich chęci i zamiarów. Po północy, kiedy wszyscy zasnęli, wszędzie było cicho, zgasilem świecę, wchodzę do sypialnego pokoju jak strach nocny; tam okno przez pół było zakryte. Amelia stękając przez sen leżała na łóżku, u nóg jej, wpadając przez kwadrat szyby, odbijała się część światła księżycowego, a w głowach posłyszałem pisk jakby muchy, która wpadła do pajęczyny. Dreszcz mi przebiegł po ciele, pomyślałem sam sobie: „Otóż teraz przekonałem się o prawdzie!” — i całą noc niespokojnym będąc na minutę nie zmrzyłem oka. Nazajutrz rano przyszedłem do starca i opowiedziałem jemu rzecz całą.

„Wierzysz pan teraz, mówiłem prawdę — rzekł starzec — ale jeszcze nie koniec; trzeba użyć sposobu, żeby te żywe włosy nie przyciągały oczu młodych ludzi ku sobie. Każ pan żonie swojej ostrzyć warkocz i w nocy przynieś go do mnie, nim kogut prześpiewa, a ja postaram się, żebyś jeszcze widział dziwy własnymi oczyma”.

Nie wiedziała Amelia, a nawet i nie podejrzewała o umowie naszej i o zamiarach okrutnych. Spotkawszy mię rzekła spokojnym głosem:

„Co znaczy, Henryku, że ta noc była dla ciebie bezsenna? Do późna sam jeden bawiłeś się przy stole z kartami i o samym ranku już ciebie nie było w domu”.

„Nie spałem w nocy i rano uciekłem z domu, lecz twoje krzyczące włosy na głowie nigdzie mi spocząć nie dały”.

„Nie rozumiem tej zagadki, bo pierwszy raz słyszę o krzykliwych włosach”.

„Ruch twoich włosów wszystkim podobał się gościom”.

„Mów, Henryku, jaśniej — rzekła — bo ja niezdolną jestem zgadywać”.

„Jaśniej ci powiem: chcę, abys ostrzygła włosy na głowie; mężatce przyzwoiciej być z

zakrytą głową”.

„Dziwny ci się kaprys uroił w myśli”.

„Może i dziwny, ale sprawiedliwy — rzekłem. — Nie chcę, abyś chlubiła się cudownym warkoczem, który czarodziejską siłą oczy wszystkich pociąga ku sobie; bądź więc łaskawa, jeśli chcesz widzieć mnie spokojnym, każ sobie ostrzyc włosy”.

„Rozumiem teraz — rzekła Amelia — tu idzie o twoją spokojność”.

Zawołała służącą, kazała sobie odstrzyc warkocz i zalana łzami wyszła do drugiego pokoju.

Przed samą północą, mając przy sobie warkocz Amelii, poszedłem do samotnego mieszkania starca. On nie spał, widziałem, że jeszcze w oknie palił się ogień.

Wchodzę do domu: on siedział przy stole wsparty na ręku, jak gdyby w jakichś pograżony myślach; w kątkach izby poruszyły się z miejsca króliki, oczy ich pałały rubinowym ogniem. On wstał z miejsca i rzekł do mnie:

„A cóż, zrobiłeś pan tak, jak radziłem jemu?”

„Zrobiłem wszystko, jak należało, i mam przy sobie włosy mojej żony”. — To powiedziawszy dobyłem z kieszeni warkocz i położyłem przed nim na stole.

„Otóż prędko pan zobaczysz dziwy”. — To mówiąc wziął ogromną drewnianą misę, napenił wodą, część włosów z warkocza włożył do tego naczynia, stał czas niejaki wlepiwszy wzrok bystry na włosy, ogień na stole palił się ciemno, jakby dogorywał, księżyc wystąpił z czarnych obłoków, zaświecił bladym promieniem przez okno, wnet powstał wiatr; wokoło szumiąc lasy przerywały głucho milczenie; spojrzałem na starca, zdawało się, że usta jego blade jak trupie ruszały się, jak gdyby coś szeptał; trwoga napadła na mnie, dreszcz przebiegł po ciele, na koniec rzekł mi: — „Przybliź się do mnie i patrz, co się dzieje”.

Spojrzałem do misy i widzę dziwy! Żywe włosy wijąc się w różne strony, jakby pijawki biegały po wodzie. Patrzałem długo na to zdumiony. Na koniec wyniósł z izby zmoczone w misie włosy i pozostałą część warkocza i to wszystko wrzucił do rzeki. I zdało mi się, jakoby widział przy świetle księżycy, że wszystkie wijąc się biegały po wierzchu wody.

Po ukończeniu strasznej tej próby — „Bądź pan spokojny — rzekł do mnie — już te włosy tajemniczą potęgą nie będą więcej ku sobie przyciągać oczu gości”.

Po tym okropnym moim postępku Amelia długo skrycie płakała i zdrowia jej co dzień więcej zaczęło ubywać, poczuła wielkie osłabienie w nerwach, w nocy nie mogła zasnąć; gdy tylko oczy zakryła, ciągle marzyły się jej jakieś postacie, jakby powstających z grobów.

Przed zachodem słońca zdarzył się straszny wypadek. Amelia siedziała sama jedna w ogrodzie, lecz gdy zaczął się rozprzestrzeniać zmrok wieczorny, padła rosa na trawy, zrobiło się powietrze zimne i wilgotne, powracała do swego pokoju. Ledwo stąpiła na próg, zakrzyrzała okropnym głosem i padła jakby martwa, zbiegli się wszyscy — podjęli ją, w twarzy kropli krwi nie było; położyli na pościeli i z wielkim staraniem ledwo jej mogli powrócić tchnienie.

Gdy przyszła do przytomności, opowiedziała, że wtenczas ten czarny starzec pokazał się jej w okropnej postaci: krwawym ogniem świeciły się oczy, trzymał ogromny nóż w ręku i groził jej śmiercią.

Widząc, do jakiego stopnia zrujnowane jej zdrowie i zupełnie osłabione nerwy, poczułem nareszcie w sercu litość i wnet posłałem, aby jak można prędzej przywieźć doktora.

Co dzień biegały posłańce do miasta z receptami, użyto wszelkich środków medycyny, aby umocnić jej siły. Kilka dni przeszło, lekarstwa były bezskuteczne, nie zrobiły żadnej lepszej przemiany w jej zdrowiu, lecz jeszcze więcej uczyniły ją słabą i cierpiącą.

Rodzice dowiedziawszy się o niebezpiecznej chorobie swej córki przyjechali ją odwiedzić, lecz jej chęci były i rada doktora, aby w domu rodzicielskim brała kurację, gdyż tam prędzej może uspokoją się jej myśli i lekarstwo lepiej będzie skutkować.

Zgodziłem się na to — i Amelia z ojcem i matką wyjechała z mego domu obiecując

powrócić, jak tylko jej zdrowie cokolwiek będzie w lepszym stanie.

Po trzech dniach odebrałem list z czarną pieczęcią. Przebiegając go oczyma spotkałem te wyrazy: Amelia smutne swe życie zakończyła wczoraj o godzinie piątej po południu.

Gdy to przeczytał, nagle wszystkie włosy poruszyły się na mojej głowie, strasznie zaczęły wrzeszczeć, okropna na mnie napadła trwoga, postrzegłem wtenczas, do jakiego stopnia nieszczęścia doprowadził mnie ten starzec okrutny. Porywam pistolet nabity, przybiegam z zamiarem zabicia go natychmiast... ledwo otworzyłem drzwi, z pustej izby wyleciało ogromne stado nietoperzy i z strasznym piskiem snuło się w powietrzu nad dachem tej chaty i około drzew, a starca i jego królików już i śladu tam nie było.

Rzuciłem dom swój, straszno w nim mieszkać, straszno wyjść w pole i widzieć łąki, pagórki i lasy, bo wszędzie tam zjawia się przed mymi oczyma czarna, jakby szatana, postać okrutnego starca.

— Otóż, doktorze, spowiedź z mego życia.

Po krótkim milczeniu położył rękę na głowie i patrząc się w lustro rzekł:

— I teraz włosy ruszają się i krzyczą. Czy już wiesz sposób, jak zaradzić temu nieszczęściu?

Doktor starając się go pocieszyć poprosił do siebie, dał adres swego mieszkania i wnet wyszliśmy z traktieru, a on tam został. Po dwóch dniach wyjechałem z Witebska i nie widziałem go więcej.

ANTONI LANGE

## WŁADCA CZASU

We czwartek z powodu rekreacji południowej profesor Jan Kanty Szelest wrócił już koło godziny pierwszej do domu, gdzie mu stróż wręczył list oraz mały pakiecik, przyniesiony przez pocztyliona. Zarówno list jak i pakiet datowany był z Indii i pochodził od Symforiona Larysza.

Larysz był to znany uczyony, który z górą rok temu udał się do Indii dla badań nad psychofizyką braminów oraz innymi sprawami związanymi z tym przedmiotem.

Larysz znany był głównie w świecie naukowym jako wynalazca nowego mikroskopu zwanego metamikroskopem. Najdoskonalszy mikroskop nie powiększa przedmiotów więcej nad 1500 do 2000 razy. Ciało rozmiarów 0,0001 milimetra przybiera w nim wielkość 0,15 do 0,2 milimetra.

Metamikroskop Larysza zbudowany był w ten sposób, że za pomocą całego szeregu zwierciadełek wklęsłych i wypukłych, połączonych z mikroskopem ulepszonym, badane ciało odbijało się na ekranie w powiększeniu milionowym, czyli sięgało rozmiarów jednego metra.

Profesor Szelest studiował botanikę i badał tajemnicę budowy roślin; interesowało go zwłaszcza krażenie soków, rozwijanie się komórek i zjawisko wzrastania. Uchwycić wzrastanie na gorącym uczynku, ujrzeć istotę wewnętrzną tego fenomenu, przeniknąć objawy, które z tym faktem się łączą — oto było marzenie Szelesta. Profesor Szelest z niezmiernym entuzjazmem powitał metamikroskop Larysza, ale ta konstrukcja nie rozwiązywała jeszcze trudności; dla celów, jakie sobie założył był Szelest, konieczne było opanowanie czasu: jak opanować czas? Jak rozciągnąć moment w bezmiary? Słowem, jak uczynić dla kategorii czasu to, co dla kategorii przestrzeni robi mikroskop? Nad tymi zagadnieniami nieraz długie

rozprawy toczył Szelest z Laryszem.

Larysz w sprawie istoty czasu miał swoje własne, choć niezupełnie rozjaśnione poglądy, i liczył, że mu psychofizyka indyjska niektóre braki jego myśli uzupełni. Od dawna wybierał się do Indii — i gdy wreszcie plan swój urzeczywistnił, zapowiedział, że w danym razie natychmiast go zawiadomi o wyniku swych poszukiwań. Toteż profesor Szelest żarliwie pochwycił dc rąk i otworzył pakiecik. W przesyłce była niewielka flaszczyka zawierająca sto gramów czerwonego płynu, barwy soku wiśniowego. Na wierzchu miała białą kartkę w literach indyjskich, których Szelest nie umiał odczytać, oraz niżej w literach łacińskich: *anehaspati*.

Oto są słowa listu:

Kochany Janie Kanty! Mogą ci nareszcie przestać szczęśliwą wiadomość o naszej sprawie. Przypadek usłużył mi doskonale.

Czy pamiętasz naszego kolegę z Paryża, Indyjczyka Radzendra-Lalamitrę? Był to człowiek zarówno głęboko wtajemniczony we wszystkie dziedziny wiedzy europejskiej, jako też i w prastarą mądrość braminów. Nie da się zaprzeczyć, że o ile Europa w technice doszła do wysokiej doskonałości, o tyle zaniedbała śledzenie tajemnic duszy ludzkiej. Nie dziw też, że co do znajomości zjawisk psychicznych, jesteśmy po prostu dziećmi wobec nieograniczonej, bezdennej wiedzy braminów w tym przedmiocie.

Przybywszy do miasta Hastinapury, szczęśliwie spotkałem się z Lalamitrą, który zresztą przeważnie oddał się sprawom politycznym. Dzięki niemu jednakże poznałem się z kilku braminami, jak Nisikanta, Czandraloka, Ramasita i innymi ludźmi ze wszech miar godnymi najwyższego szacunku, zarówno dla swej cnoty jako też mądrości. Ludzie ci zastanawiali się niemało nad istotą czasu. Jest to kategoria wcale odmienna od przestrzeni, jakkolwiek ściśle z nią skoordynowana. Czas ma wartość nie tylko zewnętrzną, ale też i wewnętrzną. Jeżeli czytamy w księgach indyjskich, że ten a ten święty żył dziesięć tysięcy lat — to znaczy tylko, że umiał on godzinę rozciągnąć na setki lat: dzięki potędze swego ducha pomnażał czas wedle woli i zwiększał po stokroć swoje życie nadając mu niesłychaną intensywność. Podług mądrości indyjskiej dziś i wczoraj, i jutro — jest to zawsze to samo. Minuta jedna strawiona w najwyższej potędze ducha znaczy tyle, co sto lat; na odwrót, sto lat przeżytych roślinnie albo mineralnie znaczy tyleż co jedna minuta. Rozciągliwość czasu zatem leży w naszej mocy, o czym wiedzą Hindowie, i o ile sobie przypominam, mówił nam Lalamitra, że nawet mają oni pewną tajemniczą roślinkę, która zowie się *p a n e m c z a s u*, a która mechanicznie to czyni, do czego inni dochodzą wewnętrzną doskonałością. Bramini mianowicie mają dwie metody utrwalania, przewyższenia potęgi czasu, panowania nad nim, wreszcie wprost wychodzenia poza więzy czasu.

Metoda pierwsza, wyższa — dostępna jest tylko tym, którzy osiągnęli największą dostojność ducha; dzięki długiej uprawie naszych sił duchowych czas na nasz rozkaz się zatrzymuje, cofa w najdalsze wczoraj lub płynie w nieznanne jutro; ściąga całe wieki w jedno mgnienie lub przeciwnie, jedną minutę rozciąga na długie stulecia; na koniec, stosownie do naszej woli, czas znika zupełnie, stajemy poza granicą wszelkiego postrzegania czasu, innymi słowy, zdobywamy nieśmiertelność. Druga metoda, niższa — opiera się na pokładzie fizjologicznym, mianowicie na zażywcę pewnej jagody. Ta druga metoda, mówił mi Nisikanta, dla was, Europejczyków, istot gruboskórnych i mięsożernych, jest odpowiedniejsza, choć nietrwała; pierwszą dopiero za tysiąc lat zrozumiecie.

W towarzystwie kilku braminów wyruszyłem w góry Himalajskie, aby dostać tę roślinkę. Jest to trawka, zwana *anehaspati*, tj. pan, władca czasu; przypomina nieco naszą niepokalanekę, czyli *agnus castus*, ma drobne jagódki pięknej barwy, jak *nertera depressa*. Smak miły — kwaskowaty. Trzy lub cztery jagody wystarczą dla wywołania skutku na piętnaście — dwadzieścia minut naszego czasu pospolitego, który zamienia się w setki i tysiące lat prawie natychmiastowo.

Roślina ta jest bardzo rzadka; rośnie tylko na dwóch szczytach, wysokich na dziesięć — dwanaście tysięcy metrów, zwanych Taravanta i Matravanta. Droga prowadzi tam piękna, lecz stroma i niebezpieczna. Jednakże moi przewodnicy bramini doprowadzili mnie szczęśliwie na szczyty, gdzie zebrałem sobie znakomity zapas *anehaspati*. Po powrocie do Hastinapury zażywałem kilkakrotnie tę roślinkę w postaci jagód i przekonałem się, że jej działanie jest wprost cudowne. Mechanicznie rozciągnąwszy czas widzisz zjawisk cztery — pięć tysięcy razy więcej niż normalnie albo raczej rozbie-

rasz jedno zjawisko na cztery — pięć tysięcy oddzielnych momentów, przy czym całość przybiera kształty zupełnie nowe, niespodziewane, odmienne od naszej pospolitej spostrzegawczości.

Badania mikroskopowe przy pomocy *anehaspati* otwierają nam światy nie znanych dotychczas tajemnic. Przesyłam ci tę roślinkę w formie syropu, gdyż lękam się, aby jagody w tak długiej przeprawie nie zatraciły swej własności. Syrop jest trwały, choć oczywiście nie działa tak potężnie jak świeża roślina. Bierz na jedno doświadczenie nie więcej nad dziesięć — dwanaście kropeł, najlepiej w kieliszku dobrego wina burgundzkiego. Uprzedzam cię, że po zażyciu wpadniesz w jedno — lub dwuminutowe omdlenie; potem jednak natychmiast, jakby z odnowioną duszą, możesz do badań przystąpić. Bądź zdrow i pisz mi do Hastinapury o wyniku swoich doświadczeń. Radžendra-Lalamitra przesyła ci serdeczne ukłony; również i moi mistrze-bramini, którzy cię znają z moich opowiadań.

Profesor Szelest był oszołomiony. Już czuł się panem czasu, już bez namysłu chciał wypić dziesięć kropeł nadesłanego mu płynu, ale się wstrzymał.

— Spokoju, spokoju! — powiedział sobie i przede wszystkim mikroskop przygotował, ekran nastawił. Potem zaczął wśród preparatów wybierać ten, który mu się zdawał najwłaściwszy. Miał tam różne pleśnie i grzybki, w parafinie utrwalone; miał bakcyle, mikrokokki, spirochyty; miał *laubouleniales*, niewidzialne mchy, kwitnące na ciele żuków wodnych itd. Miał wreszcie porost barwy złotozielonawej, który sam odkrył na kwiatach fuksji, a który od imienia kobiety umiłowanej niegdyś i utraconej zbyt rychło — nazwał *Vandamaria Szelesti*.

Ten więc porost wybrał nasz profesor do badań. W odpowiednie miejsce mikroskopu włożył szkiełko z preparatem, nastawił zwierciadełko i rzucił na ekran.

Zapуścił stopy w laboratorium i natychmiast ujrzał na płótnie obraz, który nie wiadomo dlaczego wydawał mu się dzisiaj zamglony. Obraz ten rozmiarów prawie jednego metra ukazywał się jako nagromadzenie wodnistozielonych kulek ze złotawymi jąderkami; szkliste soki toczyły się z energią poprzez komórki błyskające tęczo; potem nastawała ciemność.

Profesor nastawił aparat fotograficzny i zjął obraz. Dopiero wówczas zaczął się przygotowywać do nowej, nieznannej pracy. Wziął nowy preparat *Vandamarii* — i umieścił go w mikroskopie. W uroczystym nastroju ducha wypił dwanaście kropeł płynu z Indii przysłanego — i czekał na wrażenia. W pierwszej chwili nie czuł żadnej zmiany, ale wnet pociemniało mu w oczach i zdawało mu się, jakby zapadał w sen pod chloroformem. Był jednak dość przytomny, aby śledzić stan swego ducha; czuł, że jakiś fluid nowy się w nim rozwija; niby to był on, ten sam, co poprzednio, a przecież inny.

Szelest nazwał później ten fluid: *multiplicator temporis*. Patrząc dokoła — czuł raczej, niż widział, że świat znieruchomiał; chwilę nasz badacz znajdował się w bezwzględnej ciemności i znieświadomieniu.

Naraz się zbudził, bardziej ześrodkowany w duchu niż kiedykolwiek. Czuł w sobie jakby nową potęgę, powiedzmy — bardzo natężone poczucie nowego, czwartego wymiaru: czasu.

Spojrzał na zegarek: była godzina 2 minut 12 sekund 37 tercji 5, co szybko zapisał.

Na ekranie miał przed sobą obraz ten sam, co przedtem, ale wnet mgła przesłaniająca jego tajniki rozwiała się i szczegóły wydobywały się wciąż wyraziściej.

To, co uważał za komórkowatą plazmę, była to jakby zielonawosrebrna mgławica, niezmiernie szybko wirująca dokoła osi. Naraz mgławica ta zapłonęła purpurowo i rozpadła się na kilkanaście kulek mniejszych i większych; jedna z nich, centralna, miała rozmiary pomarańczy katańskiej, barwę złotopąsową i w ciemnym laboratorium nawet rzucała rodzaj promieni. Inne — mniej świetne, ale jaskrawe kulki, z odcieniem zielonym — zaczęły krążyć dokoła tej wielkiej kuli czerwonej, każda po swoim kole albo raczej po elipsie.

Światło tych kulek bladło powoli i gasło, gdy pomarańcza wciąż świeciła. Krążąc, owe kulki zwracały się raz jedną, raz drugą stroną ku pomarańczy i gdy z jednej strony były oświetlone, z drugiej tonęły w ciemności. Jedna zwłaszcza kulka, najzieleńsza, zwróciła uwagę Szelesta.

Nakręcił odpowiednie zwierciadełko mikroskopu, tak że wszystkie kulki wraz z pomarańczą zniknęły i pozostała tylko jedna, którą Szelest nazwał *Mea*, t. j. moja; zajmowała ona cały ekran. Błękitnawa, jakby eteryczna błonka otaczała całą sferę *Mei*. Kula ta krążyła nieustannie dokoła swej osi i raz była świetlana, jakby złota, raz znowu zielonawoszara. Im bliżej się profesor przyglądał ruchom na tej kuli, tym wyraźniej widział olbrzymie przewroty na jej powierzchni; od czasu do czasu z jej wnętrza buchały jakieś dymy i ogniki, to znowu płyn bezbarwny, niby wodospad, walił z błonki otaczającej kulę.

Na tej powierzchni Szelest rozróżnił dwojaki pokrycie twardsze, zielonawobrunatne, które nazwał „ładem”, i błękitnawopłynne, które nazwał „wodą”. Naraz z błony zewnętrznej zaczął padać białuchny proszek, niby mąka, a to, co nasz uczony nazwał wodą, przybrało postać szkła. Wybuchy ogniowe ucichły, a to, co Szelest określił jako ziemię i morze — na pewien czas się ustaliło.

Jakby w natchnieniu Szelest wynalazł sobie metodę liczenia obrotów tej kuli i obliczył, że od chwili, gdy ją ujrzał po raz pierwszy w blaskach wielkiej pomarańczy, minęło cztery tysiące lat; od chwili zaś, gdy ujrzał mgławicę *Vandamarii*, lat siedem tysięcy.

*Mea* była ostatecznie sformowana. Szkło na nowo przybrało postać płynną, a biały proszek zniknął i kula zaczęła się pokrywać mchem zielonym, porostami cudnych kształtów, a w przezroczystym płynie (morzu) ukazały się kolorowe istoty, niewątpliwie żywe, podobne do bakcyliów i wrotek. Inne zaczęły biegać w mroku mchów i paproci, a niektóre latały po powietrzu. Nie mógł oczywiście profesor inaczej nazwać tych stworów, jak florą i fauną *Mei*.

Tu Szelest uderzył w pewien sztyfcik mikroskopu, a znakomita część kuli zniknęła; pozostał tylko jej szmat powiększony do rozmiarów metra. Szmat pozornie był nieruchomy. Ujrzał wtedy profesor niby krajobraz, w którym można było odróżnić (mówiąc po ziemsku) brzeg morza, skały, lasy, puszcze. Tysiące żywych infuzoriów krążyło po tych przestworzach, pozerając się, walcząc ze sobą, mnożąc się, rosnąc i umierając. Pokolenia mijały za pokoleniami, lata i wieki płynęły, a świat ten się rozwijał coraz barwniejszy i coraz pełniejszy zjawisk nowych.

Śród mieszkańców *Mei* ukazał się twór podobny do jaszczurki, który zaczął naraz chodzić na dwóch tylnych nogach, a przednich używał do walki z innymi. Ten kangur osobliwy (*baccillus bipes Szelesti*) był różnych barw: czerwony, żółty, czarny, biały, niebieski. Szelest zauważył, że ten Przecinek, skaczący jak pchła, a przednimi łapy wyrrywający z ziemi mchy i paprocie, walczył ze wszystkimi stworami w wodzie, w lasach i w powietrzu. Nadto zaś jaszczurki owe łączyły się ze sobą stosownie do koloru — i prowadziły zażarte wojny.

Biała gromada pozerwała czarną, niebieska czerwoną itd. Bakcyle te jednak z niesłychaną energią pracowały tworząc niby mrowiska. Wydobywszy jakieś świecące blaszki, zaczęły rąbać lasy i skały, budować pryzmatyczne, gliniane domki (niby termity); w łupinach puszczały się na morze.

Niedługo też — w wielu miejscowościach — zmieniła się postać *Mei*; lasy poznikały, a na wyřbach ukazała się sztucznie hodowana śnieć. Mrowiska otaczano jakby obwarowaniem. Jaszczurki te, jak wiemy, nie żyły ze sobą w zgodzie i na wzór tego, jak mrówka opanowała mszycę, tutaj gromada biała utrzymywała w stanie mszyc — gromadę czarną; podobnie gromada czerwona — niebieską. Naraz gromada biała wyruszyła wielką masą przeciw czerwonej i straszna wojna trwająca długie lata zawrzała między nimi. Tysiące ginęło już to białych, już czerwonych; wreszcie czerwoni upadli do stanowiska czarnych, a niebiescy zajęli miejsca czerwonych w dawnym kraju. I oto znów czerwoni i czarni gromadzili się na jakieś potajemne zebrania — i naraz czerwoni i czarni wyruszyli przeciw białym i niebieskim, i straszną między nimi rzeź sprawili. Teraz zapanowali czarni i czerwoni jako mrówki, a biali i niebiescy służyli im za mszyce.

Był zaś pośród białych jeden ze świecącą złotą główką i ten krążył od białych do

czerwonych i niebieskich i coś im przekładał... (Niestety, choć rzeczą pewną jest, że owe istoty miały własną mowę — nie masz mikrofonu, co by ją nam utrwalił i zakomunikował). Z drżeniem atmosfery widoczne było, że bakcyle krzyczą oburzone; niektórzy tylko, różnej barwy, stanęli przed złotogłowym, ale pozostała gromada, zbrojna w świecące szpileczki, rzuciła się przeciw nim oraz ich przywódcy — i w mgnieniu oka ich rozsiekli, a złotą główkę oddawszy wbili ją na długą szpilkę i tak obnosili po mieście.

Obraz ten napełnił melancholią serce Szelesta. Płakał niemal nad tą piękną złotą główką jakiegoś bakcyła najwyższego typu, którego zamordowali barbarzyńcy. Nie chciał już widzieć tej grozy.

Odwrócił sztyfcik i znów wywołał na ekranie całą kulę *Mei*. Zauważył na niej prawidłowe linie, które w pierwszej chwili porównał do kanałów na Marsie. Tu i ówdzie szły metalowe druciki, po których się toczyły puzderka na kółeczkach. Po morzach płynęły liczne łupinki z jaszczurkami różnych barw. Liczba mrowisk znacznie się powiększyła, ale w wielu miejscach było dużo białego proszku. Zwłaszcza koło biegunów znaczne przestrzenie były pokryte niby mączką i szkłem. Z tych stron jaszczurki coraz tłumniej zmierzały do równika. Jakoż kwitnące niedawno lasy znikwały, mrowiska padały w ruinę, a wśród bakcyłów trwała coraz srozsza walka o byt. Tysiące tworów ginęło w śniegach i lodach, a zwłaszcza pyszni władcy owego globu.

Światło, dawniej tak promienne, które na *Meę* padało z wielkiej pomarańczy, było coraz bledsze, a gdy kula odwróciła się na osi — była niemal zupełnie czarna. Momentalnie zaś obliczył Szelest: minęło lat trzydzieści tysięcy...

Poruszył znów w sposób właściwy jedno zwierciadełko i znów ujrzał obraz pierwotny z wielką pomarańczą w środku; ale nie była już ona paśowa jak przedtem (tj. trzydzieści tysięcy lat temu); miała odcień bladożółty, który stopniowo przechodził w białoszary, węglanobury i na koniec w zgoła czarny. Noc zapanowała w tym świecie.

Z przerażeniem też widział Szelest, że krążenie kulek dokoła czarnej kuli środkowej trwało jeszcze pewien czas, a potem ustało — naraz wszystkie runęły w otchłań waląc się jedne na drugie. Ciemność zaległa ekran i niewątpliwie profesor miał prawo sądzić, że w mikroskopie coś się zepsuło i obraz zniknął skutkiem pęknięcia szkiełek. Ale naraz — po czterech tysiącach lat — w samym środku ekranu błysło srebrne oczko, które, zdaje się, na nowo rozpaliło ogień wewnętrzny tych zwalonych na siebie słońc i planet — i wrychle białozłota, gęsta, płynna masa zaczęła się toczyć wokoło.

Rzekłbyś, palingeneza światów zmarłych.

Siedemdziesiąt dwa tysiące lat przemineło. Nowy okres bytu się rozpoczął.

Szelest był oczarowany, gotowy modlić się do Brahmy za łaskę, którą obdarzył Larysza.

Jednakże w tej samej chwili, kiedy się zaczynało odrodzenie kosmosu, co zniknął w straszliwej katastrofie, widok cały zbladł i zamarł i Szelest ujrzał na ekranie zwykły, powiększony obraz *Vandamarrii*; splot okrągławych komórek z jąderkami świecącymi, napełnionych sokiem bladozielonym.

*Anehaspati* działać przestało.

Szelest spojrzął na zegarek: była godzina 2 minut 32 sekund 51 tercji 38.

Cały ten olbrzymi, na 72 000 lat obliczony przewrót — powstanie i zagłada potężnego systemu globów — trwał 20 minut 14 sekund i 33 tercje.

BRUNO SCHULZ

## KARAKONY

Było to w okresie szarych dni, które nastąpiły po świetnej kolorowości genialnej epoki mego ojca. Były to długie tygodnie depresji, ciężkie tygodnie bez niedziel i świąt, przy zamkniętym niebie i w zubożałym krajobrazie. Ojca już wówczas nie było. Górne pokoje wysprzątało i wynajęto pewnej telefonistce. Z całego ptasiego gospodarstwa pozostał nam jedyny egzemplarz, wypchany kondor, stojący na półce w salonie. W chłodnym półmroku zamkniętych firanek stał on tam, jak za życia, na jednej nodze, w pozie buddyjskiego mędrca, a gorzka jego, wyschła twarz ascety skamieniała w wyraz ostatecznej obojętności i abnegacji. Oczy wypadły, a przez wyplakane, łzawe orbity sypały się trociny. Tylko rogowate egipskie narośle na nagim potężnym dziobie i na łysej szyi, narośle i gruzły spłowiałobłękitnej barwy nadawały tej starczej głowie coś dostojnie hieratycznego.

Pierzasty habit jego był już w wielu miejscach przeżarty przez mole i gubił miękkie, szare pierze, które Adela raz w tygodniu wymiatała wraz z bezimiennym kurzem pokoju. W wyłusianych miejscach widać było workowate, grube płótno, z którego wyłaziły kłaki konopne. Miałem ukryty żal do matki za łatwość, z jaką przeszła do porządku dziennego nad stratą ojca. Nigdy go nie kochała — myślałem — a ponieważ ojciec nie był zakorzeniony w sercu żadnej kobiety, przeto nie mógł też wrócić w żadną realność i unosił się wiecznie na peryferii życia, w półrealnych regionach, na krawędziach rzeczywistości. Nawet na uczciwą, obywatelską śmierć nie zasłużył sobie — myślałem — wszystko u niego musiało być dziwaczne i wątpliwe. Postanowiłem w stosownej chwili zaskoczyć matkę otwartą rozmową. Owego dnia (był ciężki dzień zimowy i od rana już sypał się miękki puch zmięzchu) matka miała migrenę i leżała na sofie samotnie w salonie.

W tym rzadko odwiedzanym, paradnym pokoju panował od czasu zniknięcia ojca wzorowy porządek, pielęgnowany woskiem i szczotkami przez Adelę. Meble przykryte były pokrowcami; wszystkie sprzęty poddały się żelaznej dyscyplinie, jaką Adela roztoczyła nad tym pokojem. Tylko pęk piór pawich, stojących w wazie na komodzie, nie dał się utrzymać w ryzach. Był to element swawolny, niebezpieczny, o nieuchwytniej rewolucyjności, jak rozhułkana klasa gimnazjalistek, pełna dewocji w oczy, a rozpustnej swawoli poza oczyma. Świdrowały te oczy dzień cały i wierciły dziury w ścianach, mrugały, tłoczyły się, trzepocąc rzęsami, z palcem przy ustach, jedne przez drugie, pełne chichotu i psoty. Napełniały pokój świergotem i szeptem, rozsypywały się, jak motyle, dookoła wieloramiennej lampy, uderzały tłumem barwnym w matowe, starcze zwierciadła, odwykłe od ruchu i wesołości, zaglądały przez dziurki od kluczy. Nawet w obecności matki, leżącej z zawiązaną głową na sofie, nie mogły się powstrzymać, robiły perskie oczko, dawały sobie znaki, mówiły niemym, kolorowym alfabetem, pełnym sekretnych znaczeń. Irytowało mnie to szydercze porozumienie, ta migotliwa zmowa poza moimi plecami. Z kolanami przyciśniętymi do sofy matki, badając dwoma palcami, jakby w zamyśleniu, delikatną materię jej szlafroka, rzekłem niby mimochodem:

— Chciałem cię już od dawna zapytać: prawda, że to jest on? — I chociaż nie wskazałem nawet spojrzeniem na kondora, matka odgadła od razu, zmieszała się bardzo i spuściła oczy. Dałem umyślnie upłynąć chwili, żeby wykosztować jej zmieszanie, po czym z cichym spokojem, opanowując wzbierający gniew, spytałem: — Jaki sens mają w takim razie te wszystkie plotki i kłamstwa, które rozsiewasz o ojcu?

Lecz jej rysy, które w pierwszej chwili rozpadły się były w panice, zaczęły się znowu porządkować.

— Jakie kłamstwa? — spytała, mrugając oczyma, które były puste, nalane ciemnym



błękitem, bez białka.

— Znam je od Adeli — rzekłem — ale wiem, że pochodzą od ciebie; chcę wiedzieć prawdę.

Usta jej drżały lekko, źrenice, unikając mego wzroku, powędrowały w kąt oka.

— Nie kłamałam — rzekła, a usta jej napęczniały i stały się małe zarazem..

Uczułem, że mnie kokietuje jak kobieta mężczyznę.

— Z tymi karakonami to prawda — sam przecież pamiętasz....

Zmieszałem się. Pamiętałem w istocie tę inwazję karakonów, ten zalew czarnego rojowiska, które nappełniało ciemność nocną, pajęczą bieganiną. Wszystkie szpary pełne były drgających wąsów, każda szczelina mogła wystrzelić z nagła karakonom, z każdego pęknięcia podłogi mogła zlegnąć się ta czarna błyskawica, lecąca oszalałym zygzakiem po podłodze. Ach, ten dziki obłęd popłochu, pisany błyszczącą, czarną linią na tablicy podłogi. Ach, te krzyki grozy ojca, skaczącego z krzesła na krzesło z dziirytem w ręku. Nie przyjmując jadła ani napoju, z wypiekami gorączki na twarzy, z konwulsją wstrętu wrytą dookoła ust, ojciec mój zdziczał zupełnie. Jasne było, że tego napięcia nienawiści żaden organizm długo wytrzymać nie może. Straszliwa odraza zamieniła jego twarz w stężałą maską tragiczną, w której tylko źrenice, ukryte za dolną powieką, leżały na czatach, napięte jak cięciwy, w wiecznej podejrzliwości. Z dzikim wrzaskiem zrywał się nagle z siedzenia, leciał na oślep w kąt pokoju i już podnosił dziiryt, na którym utkwiony ogromny karakon przebierał rozpaczliwie gmatwaniną swych nóg. Adela przychodziła wówczas blademu ze zgrozy z pomocą i odbierała lancę wraz z utkwionym trofeum, ażeby ją utopić w cebrzyku. Już wówczas jednak nie umiałbym być powiedzieć, czy obrazy te zaszczepiły mi opowiadania Adeli, czy też sam byłem ich świadkiem. Ojciec mój nie posiadał już wtedy tej siły odpornej, która zdrowych ludzi broni od fascynacji wstrętu. Zamiast odgraniczyć się od straszliwej siły atrakcyjnej tej fascynacji, ojciec mój, wydany na łup szału, wplątywał się w nią coraz bardziej. Smutne skutki nie dały długo na siebie czekać. Wnet pojawiły się pierwsze podejrzane znaki, które nappełniły nas przerażeniem i smutkiem. Zachowanie ojca zmieniło się. Szał jego, euforia jego podniecenia przygasała. W ruchach i mimice jęły się zdradzać znaki złego sumienia. Zaczął nas unikać. Krył się dzień cały po kątach, w szafach, pod pierzyną. Widziałem go nieraz, jak w zamysle- niu oglądał własne ręce, badał konsystencję skóry, paznokci, na których występować zaczęły czarne plamy, błyszczące, czarne plamy, jak łuski karakona.

W dzień opierał się jeszcze ostatkami sił, walczył, ale w nocy fascynacja uderzała nań potężnymi atakami. Widziałem go późną nocą, w świetle świecy, stojącej na podłodze. Mój ojciec leżał na ziemi nagi, popstrzony czarnymi plamami totemu, pokreślony liniami żeber, fantastycznym rysunkiem przeświecającej na zewnątrz anatomii, leżał na czworakach, opętany fascynacją awersji, która go wciągała w głąb swych zawiłych dróg. Mój ojciec poruszał się wielocłonkowym, skomplikowanym ruchem dziwnego rytuału, w którym ze zgrozą pozna-łem imitację ceremoniału karakoniego.

Od tego czasu wyrzekliśmy się ojca. Podobieństwo do karakona występowało z dniem każdym wyraźniej — mój ojciec zamieniał się w karakona.

Zaczęliśmy się przyzwyczajać do tego. Widywaliśmy go coraz rzadziej, całymi tygodniami znikał gdzieś na swych karakonach drogach — przestaliśmy go odróżniać, zlał się w zupełności z tym czarnym niesamowitym plemieniem. Kto mógł powiedzieć, czy żył gdzieś jeszcze w jakiejś szparze podłogi, czy przebiegał nocami pokoje, zaplątany w afery karakonie, czy też był może między tymi martwymi owadami, które Adela co rana znajdowała brzuchem do góry leżące i najeżone nogami i które ze wstrętem brała na śmietniczkę i wyrzucała?

— A jednak — powiedziałem zdetonowany — jestem pewny, że ten kondor to on.

Matka spojrzała na mnie spod rzes: — Nie dręcz mnie, drogi, mówiłam ci już przecież, że ojciec podróżuje jako komiwoja-żer po kraju, przecież wiesz, że czasem w nocy przyjeżdża do domu, ażeby przed świtem jeszcze dalej odjechać.

STEFAN GRABIŃSKI

## W DOMU SARY

Już na ostatnim posiedzeniu w klubie zachowanie się i postawa Stosławskiego bardzo mi się nie podobały. Ten zwykle wesoły i otwarty człowiek zmienił się do niepoznania. W dyskusji nie brał udziału lub też wygłaszał zdania bez związku z poruszonym tematem, budząc zdumienie obecnych; u kilku złośliwych zauważyłem nawet ironiczne spojrzenia zwrócone w stronę mego niefortunnego druha. Usiłowałem bronić go, wiążąc gwałtem rzuczone przezeń słowa z tokiem prowadzonej rozmowy — wtedy uśmiechnął się blado, jakby dziękując mi za ratunek, i do końca już milczał uparcie.

W ogóle sprawiał już wtedy nader przykre wrażenie. Nie tylko bowiem raziła dziwna małowówność, tak sprzeczna z dawnym usposobieniem, lecz niepokoił też zagadkowy wygląd zewnętrzny. Zwykle wyświeżony, nawet przesadnie elegancki, przyszedł Stosławski tego wieczora w stroju zaniedbanym, niemal opuszczony. Twarz niegdyś zdrową, tryskającą młodym, bujnym życiem, oblekła chorobliwa bladość, oczy przesłoniła mgła, której beztreściwość tworzyła bolesny kontrast ze szlachetną linią rysów.

Tknięty złym przeczuciem zaprosiłem go po sesji do siebie i poddałem troskliwym oględzinom lekarskim. Nie opierał się, chociaż już była pora spóźniona, i pozwolił się zbadać cierpliwie. Oprócz znacznego wyczerpania nerwów i ogólnego osłabienia nie znalazłem nic podejrzanego. Zastanawiała tylko przyczyna.

— Ej, Kaziu — zażartowałem grożąc mu palcem — za dużo się bawisz! Kobietki, co? Za wiele, mój kochany, za wiele! Musisz uważać więcej na siebie. Tak dalej iść nie może. Wyczerpiesz się wkrótce. A potem co?

Potrąciłem o właściwą strunę.

— Kobiety — zauważył w zamyśleniu — kobiety... Dlaczego mówisz o wielu, nie o jednej?

— O ile cię znam, mój kochany — odparłem uśmiechnięty — żadnej dotąd nie udało się usidlić zepsutego ulubieńca płci pięknej. Czyżbyś się naprawdę tak gwałtownie zmienił? Trudno przypuścić, żebyś był zakochany.

— Użyłeś tylko niewłaściwego wyrażenia. Czy nie widzisz poza miłością i chwilową żądzą innej możliwości?

— O czym myślisz?

— O opętaniu płciowym. Rozumiesz mnie?

— Nie bardzo.

— Ależ to nader proste. Pewnego pięknego dnia spotykasz wyjątkową kobietę, uosobie nie płci, i odtąd, od pierwszego z nią stosunku, nie możesz się z nią rozstać. Nienawidzisz jej, rad byś zrzucić kajdany, lecz wysiłki są nadaremne. Jesteś opętany; cały widnokrąg myślowy zamyka się w wyłącznym kole jej ciała, jej kształtów, spojrzeń, dotknięć, obcowanie fizyczne z nią staje się formą bytu. Kobieta przeradza się w bożyszczę złe i nienawistne, lecz niemniej ponętne, któremu musisz ulegać bezwzględnie...

— Przestań u niej bywać. Czy nie możesz zdobyć się na męską wolę?

— Nie mogę, nie mogę. Jestem bezsilny. Czy wiesz? Przeprowadziłem się do niej; mieszkamy wspólnie od dwóch lat w jej willi za miastem na Polance.

— Ach, teraz już rozumiem, dlaczego nie spotykano cię od pewnego czasu na ulicy, w kawiarniach, w teatrze. Czy ona zabrania ci wychodzić?

— Bynajmniej — sam nie mam do tego ochoty. Zrazu nie unikałem towarzystwa ludzi, z czasem zacząłem się ograniczać do sfery wyłącznego obcowania z nią. Nie odczuwam już

teraz potrzeby wymiany myśli z ludźmi, z którymi nie mam nic wspólnego. Dziś przypadkiem tylko znalazłem się w klubie. Nic mnie teraz nie zajmuje, wszystko zobojętniało mi doszczętnie... Mój stosunek do świata staje się coraz luźniejszy; idę w jakimś kierunku odśrodkowym, zawisłem jakby między niebem a ziemią. Dziś jeszcze zdaję sobie z tego sprawę, lecz kto wie, jak będzie potem...

Patrzyłem nań badawczo, z głębokim współczuciem.

— Źle z tobą, Kaziu — przerwałem po chwili zaległe milczenie — trzeba się leczyć. Masz rozstrojone nerwy. Może zupełnie niesłusznie posądzasz ją o ujemny wpływ; może zarody choroby tkwiły w tobie przed tą znajomością?

Potrząsnął przecząco głową:

— Nie, mam pełne przekonanie pod tym względem. Zauważyłem symptomy w rok po wspólnym pożyciu. Zresztą to nie jest rozstrój nerwowy. W tym tkwi coś zupełnie innego, coś, o czym się nie śniło psychiatrom naszym.

— Być może. Lecz kto jest tym demonem, tym wampirem w kobiecej postaci? Czy możesz mi wymienić jej nazwisko?

— Nazywa się Sara Braga...

— Sara Braga... dziwne nazwisko. Czy to Żydówka? Imię przypomina Stary Testament.

— Nie. Podobno jest protestantką. Rodzina wymarła. Na podstawie jej skąpych informacji doszedłem do wniosku, że płynie w jej żyłach krew Kastylii zmieszana później z pierwiastkiem germańskim; przedstawia typ szczególnego skrzyżowania szczepów. W ogóle trudno mi było dowiedzieć się czegoś więcej, bo o sobie i swej przeszłości mówić nie lubi. Przed laty miała owdowieć. Kto był jej mężem, nie wiem; nosi nazwisko swojej rodziny.

— Czy wiek jej ci znany?

— Utrzymuje, że ma lat trzydzieści, chociaż na pierwszy rzut oka wygląda na młodszą. Orientacja w tym wypadku trudna i łatwo się pomylić. Nie używa żadnych sztucznych środków do podniesienia zewnętrznego wyglądu, owszem, ma żywiołowy wstręt do wszelkich kosmetyków i barwiczki. Żyjąc z nią tak blisko, wiem o tym wybornie... Czy uwierzysz, że krążą o niej i jej wieku dziwne pogłoski? Z kilku przypadkiem pochwyconych aluzji i półsłówek służby wywnioskowałem, że Sara jest znacznie starszą, niż się wydaje. Jest to pod każdym względem zagadkowa kobieta. Tajemnica rozsiadła się w jej domu, tajemnica ciemna i zła jak jego mieszkanka.

Przesunął znużonym gestem rękę po czole:

— Zmęczyłeś mnie, Władku, zmuszając do skupienia uwagi. Mam szalony ból głowy. Żegnaj.

— Wybacz, lecz zrobiłem to z przyjaźni. Zatrwożył mnie twój wygląd. Ból usunę z łatwością; zatrzymaj się tylko jeszcze przez chwilkę; uspię cię na pięć minut i sugestią usunę cierpienie. Czy zgadzasz się?

— No, dobrze. Tylko nie zatrzymuj mnie już długo.

Przystąpiłem bezzwłocznie do operacji. Mając wprawę w hipnotyzowaniu, za dwie minuty wprawiłem go w stan głębokiego uśpienia... Nagle przy poddawaniu sugestii przeciw bólowi głowy wpadłem na pewną myśl. Wiedząc, że trudno mi będzie w stanie normalnym namówić go do powtórnej wizyty u mnie lub w klubie, kazałem mu we śnie odwiedzić mnie za miesiąc o tej samej porze. Prędzej widzieć się z nim nie mogłem, gdyż w tym czasie byłem zajęty intensywną pracą i wyjeżdżałem często. Wydawszy oba rozkazy, wykonałem szybko kilka *passes contraires* i Stosławski obudził się.

— No, jakże się czujesz? — zapytałem.

— Ból ustał zupełnie. Dziękuję ci. A teraz odchodzę. Żegnaj!

— Raczej: do widzenia! Kiedyż do mnie zagłędiesz?

— Nie wiem; może już nigdy. Nie mogę nic obiecywać.

Uściskał mi mocno rękę i odszedł.

Gdy umilkły już kroki gościa na korytarzu, wróciłem do salonu, w którym unosiły się jeszcze kłęby dymu z wypalonych przez nas papierosów, usiadłem przy kominku i machinalnie gładząc lśniąca sierść mego wiernego Astora zapadłem w zamyślenie.

Sara Braga! Sara Braga!... Z nazwiskiem tym już raz się w życiu spotkałem, chociaż osoby nie znam. Sara Braga... Tak! Teraz przypominam sobie jak przez mgłę; wyczytałem je w spisie pacjentów mego byłego mistrza, profesora Franciszka Żmudy, lat temu kilkanaście. Byłem wtedy jeszcze młodym adeptem medycyny. Kopię spisu na szczęście zachowałem: rejestr był mi potrzebny, bo zawierał obok nazwisk diagnozę chorób i środki terapeutyczne.

Trzeba to odszukać i przeglądać. Może się dowiem bliższych szczegółów.

Otworzyłem szafkę biblioteczną i zacząłem przerzucać gruby foliał. Szedłem latami wstecz, nie bardzo dowierzając pamięci. Nagle pod datą z miesiąca lipca i następnych r. 1875 odczytałem:

*Sara Braga, zamieszkała w willi „Tofana” na Polance, ur. w r.1830, lat 45 — organizm wyjątkowo odporny na przemiany wieku — skłonności psychopatyczne na tle seksualnym — objawy psychicznego sadyzmu.*

Następowały skrótory dotyczące terapii i wskazanych zabiegów.

A zatem dziś miałaby lat mniej więcej osiemdziesiąt! Fenomenalne! Nie do uwierzenia!... Stosławski utrzymuje, że młoda i piękna! Chyba to kto inny? Lecz adres mieszkania zgadza się przedziwnie. Willa „Tofana” na Polance, to jest w podmiejskiej dzielnicy, rodzaju stołecznego letniska — to brzmi dziwnie! Lecz w jakim związku pozostaje to wszystko z chorobą Kazia? To, co mówił, zbyt było niejasne i podmiotowe, by móc wyciągnąć jakiegokolwiek wnioski. Pozostawmy sprawę czasowi.

Jakoż obowiązki zawodowe zmusiły mnie nazajutrz do natychmiastowego wyjazdu. Natłok zajęć i wytężona praca tak mię pochłonięły, że niemal zapomniałem o historii Stosławskiego. Dopiero po całomiesięcznej nieobecności, wróciwszy do miasta, przypomniałem sobie, że nazajutrz przypada termin spełnienia mego rozkazu. I rzeczywiście, koło godziny czwartej po południu wszedł do mego salonu automatycznym krokiem Stosławski.

Kazałem mu usiąść, uspiłem ponownie i pochwaliwszy za sumienne wywiązanie się z zadania, obudziłem go.

Oprzytomniawszy, ze zdziwieniem rozglądał się po pokoju, nie mogąc pojąć, skąd się wziął u mnie. Gdy mu wyjaśniłem sytuację, trochę uspokoił się, lecz z twarzy biła niechęć i niezadowolenie.

Przez ten jeden miesiąc przemiany, zauważone przeze mnie ostatnim razem, poczyniły zatrważające postępy; widocznie posuwał się z fatalną szybkością w tajemniczym kierunku.

Zgałębiał naprędce rozmowę umyślnie o rzeczach błahych, dalekich od jego wyjątkowego stanu, ani słowem nie zaczepiając o stosunek z Sarą. Odpowiadał apatycznie, z wysiłkiem, często rwąc wątek rozmowy wtętami bez sensu, bez zewnętrznych spojów.

Niebawem spostrzegłem, że nie orientuje się w rzeczywistości i zatracił niemal zupełnie poczucie czasu i przestrzeni. Perspektywa, bryłowatość chwil i rzeczy przestała istnieć. Wszystko leżało na jednej idealnej płaszczyźnie. Zdarzenia ubiegłe przybrały dramatyczną formę chwili bieżącej, zagadkowe jutro wtargnęło jasnym, oczywistym szlakiem w bezpośrednią obecność jako coś zupełnie równorzędne. Zginęła bezpowrotnie plastyka rzeczy, ustępując miejsca jakiejś paradoksalnej jednoplanowości.

Blade jak płótno, bez kropli krwi oblicze wyzierało na świat jak maska obojętna na jego sprawy, których złożoność jakby znikła pod naporem tajemnych uproszczeń. Podniesiona w górę, alabastrowej białości, prawie przejrzysta ręka czyniła gest wiecznego trwania.

Stał się bezwładny, poruszał się powoli, leniwo, jak we śnie. Obojętnie pozwalał mi się badać. Wystawiłem go pod działanie promieni Roentgena: światło przeszło wyraźnie, natrafiając na anormalnie zmniejszony opór. Wyniki przekraczały rozmiarami dotychczas znane doświadczenia: organizm uległ przerażającej redukcji; w układzie kostnym widoczne były

objawy atrofii, poznikały całe rzesze tkanek, zmarniały całe gniazda komórek. Był lekki jak dziecko; żelazne palce wagi wskazywały na podziałce śmiesznie małą liczbę. Ten człowiek niknął w oczach!

Chciałem go zatrzymać u siebie i o ile by to w ogóle było jeszcze możliwe, przeszkodzić zupełnemu zniszczeniu. Zdawało się, że jego bierność ułatwi mi zadanie i że nie stawi mi oporu. Lecz pomyliłem się. Po dwugodzinnej rozmowie nagle jak automat powstał, zabierając się do wyjścia. Pędziło go do domu, do willi „Tofana”. Zdaje się, że po zniknięciu wszelkich interesów życiowych pozostał tylko ten żywiołowy, niczym niewstrzymany pęd ku niej, ku Sarze, ku której ciążył swą marniejącą osobowością. Trudno się było sprzeciwić. Czułem, że jeśli go nie wypuszczę, stanie się coś złego: w oczach jego zapalały się już i gasły ognie niebezpiecznej, nerwowej siły.

Postanowiłem więc odwieźć go dorożką na miejsce.

Polanka leżała w dość znacznej odległości od środka miasta i dopiero po półgodzinnej jeździe stanęliśmy u celu.

Pomogłem mu wysiąść i odprowadziłem na marmurowe schody, wiodące do willi. U drzwi wchodowych oszklonej werandy przez chwilę zatrzymałem się niepewny, czy wejść z nim do środka, czy zawrócić. Ogarnęła mnie nagle nieprzemierzalna chęć poznania tej kobiety. Lecz nie śmiałem iść dalej. Stosławskim oczywiście nie krępowałem się zupełnie — zdawał się nie uważać zresztą na moją obecność — lecz zachowanie się lokaja, który wybiegł na spotkanie, działało hamująco. Starannie wygolony, we wzorowym fraku fagas powitał wprawdzie mego towarzysza głębokim ukłonem, lecz na twarzy jego igrał uśmiech lekceważącej ironii; na mnie patrzył jak na intruza, którego należy bezzwłocznie wyprosić.

Już chciałem wracać do oczekującego mnie fiakra, gdy wtem aksamitna kotara, oddzielająca werandę od wnętrza domu rozsunała się i na jej oranżowym tle wynurzyła się z głębi postać kobiety.

Nazwać ją piękną znaczyło uchwycić jej powierzchowność z zasadniczo fałszywego punktu patrzenia. Była raczej szatańsko ponętna. Te rysy nieregularne, mięsiste, szerokie wargi i nos silnie rozwinięty nie dawały wrażenia piękna — a jednak twarz o oslepiająco białej, matowej cerze, tym mocniej kontrastująca z płomiennym spojrzeniem czarnych oczu, przykuwała z nieopisaną siłą. Miała w sobie coś z prostoty żywiołu, który pewny swej władzy gardzi akcesoriami.

Nad czystym czołem rozchyłały się łagodnymi falami metalicznie lśniące, krucze włosy spięte u szczytu głowy srebrnym naczółkiem. Ciemnozielona, lekko wycięta suknia z adamaszku spływała gładko wzdłuż wyniosłej postaci, uwydatniając wyborną linię torsu i gibkich bioder.

Wzrąłem się wzrokiem w jej oczy, skupiając w spojrzeniu całą siłę woli. Odpowiedziała parując atak. Tak zmagaliśmy się przez chwilę. Wtem spostrzegłem na jej twarzy jakby wahanie, niepewność, obawę; drgnęła niespokojnie. Wtedy, składając głęboki ukłon, rzekłem, ująwszy rękę Stosławskiego:

Odprowadzam zbiega, polecając go troskliwej opiece łaskawej pani.

I wymieniłem swoje nazwisko.

Sara oddała ukłon skinieniem głowy i odsuwając kotarę poprosiła do wnętrza; przy tym zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi na Stosławskiego, który, jak zahipnotyzowany, nie spuszczał z niej wzroku. Przykro było nań patrzeć. Jakaś bezwzględna, psia pokora wyglądała mu z oczu, utkwionych w nią bez przerwy, jakieś wiernopoddańcze posłuszeństwo. Na dźwięk jej głosu rzucił się cały ku niej, jakby szukając oparcia, opieki; kobieta uśmiechnęła się półpogardliwie, półłaskawie i wstrzymując go niedbałym ruchem ręki, wydała polecenie służce, obojętnemu świadkowi tej sceny:

— Odprowadzisz pana do sypialni; jest znużony, musi odpocząć.

Sługa w milczeniu ujął go pod ramię i niemal włokąc za sobą znikł w bocznych

drzwiach.

Wszedłem za Sarą do salonu.

Był stylowy. Wysoko sklepiony, o dumnie rozpiętych posowach, cały obity był miękką, jedwabną materią koloru terakota. Okien nie było; salon rozświetlał masywny pajak zwisający ze środka stropu.

W przedniej części, niemal pustej, stały pod ścianami dwa rzędy krzeseł z perłową inkrustacją na grzbietach i poręczach. Z nisz pomiędzy nimi wychylały się egzotyczne krzewy w dużych, srebrnych urnach.

Na dalszym planie, w głębi, wznosiło się kilku stopniami podium zasłane suknem o soczystej barwie cynobru. Stół na środku estrady z wazą kwiatów okrywała ciężka, przetykana wisiorami kapa. Parę taboretów, wschodnia otomana i smukłe palisandrowe pianino wypełniały resztę przestrzeni.

Tylną ścianę tworzyła zasłona podobna do kotary u wejścia, zamykając falistym murem ślepe wnętrze.

Stapałem cicho, wnrzając się w puszyste futra kobierców rozesłanych na posadzce. Pani wprowadziła mnie na podium i wskazawszy jedno z krzeseł, sama opuściła się niedbale na otomanę.

Usiadłem w milczeniu. Po chwili Sara wyciągnęła rękę w kierunku małego stolika po puzdro z papierosami. Spozrzegłszy, że sprzęt stoi trochę za daleko, przystawiłem go do sofy, po czym podałem płonąca zapalniczkę.

— Dziękuję.

Zaciągnęła się dymem.

— Pan nie pali?

— Owszem.

Wyjąłem z sąsiedniej przegródki cygaro i wypuszczając w górę fioletowy kłęb zauważyłem z uznaniem:

— Bajeczne!

— Nudny pan jesteś. Czy w podobny sposób zabawiasz zawsze kobiety?

— To zależy od ich pokroju. Z panią na przykład trudno mi rozmawiać; łatwo można wpaść w fałszywy ton. Muszę się oswoić.

Sara popatrzyła mi w oczy usiłując nadać spojrzeniu wyraz jedwabistej miękkości. W tym momencie spostrzegałem w jej rysach uderzające podobieństwo do Stosławskiego. Kobieta zauważyła zdumienie:

— Cóż to pan? Wyglądasz na odkrywcę w chwili genialnego wynalazku.

— Istotnie, odkryłem rzecz szczególną.

Podniosła się drwiąco:

— Proszę, cóż takiego?... Czy wolno wiedzieć?

— Pani jest dziwnie podobna do Kazia.

Twarz Sary zadrgała:

— Przywidzenie.

— Nie, proszę pani. Jestem dość dobrym fizjonomistą. Zresztą można to wytłumaczyć: życie państwo ze sobą od dłuższego czasu... Współzycie tak bliskie upodabnia.

— Hm... czy to pańska teoria?

— Nie, łaskawa pani — teorię tę, zresztą nie nową, dokładniej roztrząsał przed paru laty doktor Franciszek Żmuda.

Przypisując rzekomą teorię Żmudzie kłamałem, chcąc tylko wprowadzić to nazwisko do rozmowy.

— Żmuda? — zapytała ciekawie. — Pan może jest jego uczniem?

— Bynajmniej — wyparłem się energicznie. — Nie znam go nawet. Czytałem tylko jego rozprawkę w miesięczniku medycznym.

— Ach, tak...

— Czy to pani znajomy?

— Tak. Przed rokiem cierpiąc na lekki rozstrój nerwowy byłam czas jakiś jego pacjentką. Bardzo miły człowiek.

Więc to ta sama — pomyślałem — tylko że kurację odbywała znacznie dawniej, bo jeszcze przed trzydziestu pięciu laty to jest w roku 1875. A zatem ta kwitnąca urokiem młodości kobieta miałaby dziś lat osiemdziesiąt! Paradoksalne! Niebawale! A jednak tak być musi; notatki Żmudy i moja pamięć usuwają wątpliwości.

Patrzyłem na Sarę z nieokreślonym lękiem.

— Czemuż pana tak nagle spowaźniał? Myślałby kto, że się czegoś obawiasz?

— Tym razem przywidziało się pani, i to naprawdę. Czegóżbym się miał obawiać. Przejęty tylko jestem wyjątkową jej pięknnością. Podobne kobiety spotyka się rzadko.

Uśmiechnęła się zadowolona.

— Szkaradny pochlebca!

Uderzyła mnie lekko ręką po ramieniu. Chociaż umiem nad sobą panować, mimowolnie zdrząłem pod tym dotknięciem, odchylając przy tym nieco głowę do góry. Wtedy wzrok mój padł na szereg portretów zawieszonych na lewej ścianie pokoju. Odłożyłem cygaro i podszedłem do obrazów.

Było ich dziesięć w dwóch szeregach równoległych; rząd górny obejmował pięć wizerunków Sary — pod nim umieszczono podobizny pięciu nie znanych mi mężczyzn. Od razu rzuciły się w oczy dwa znamienne szczegóły. Na wszystkich portretach Sara była w jednym wieku, jak gdyby obrazy malowano w bliskich od siebie odstępach czasu. Mimo to na każdym wyraz twarzy był inny i to — zadziwiająco podobny do rysów jednego z mężczyzn w szeregu dolnym; słowem, każda z pięciu podobizn Sary miała pod względem podobieństwa swój odpowiednik w wizerunkach mężczyzn.

Zajęty studiowaniem obrazów nie spostrzegłem jej niezadowolenia. Dopiero głos Sary, cierpki i zniecierpliwiony, przerwał mi obserwację:

— Skończył pan już raz tę rewię! Nic tam ciekawego — bohomazy.

— Przeciwnie — doskonale. Co za wyrazistość rysów! Łaskawa pani posiada twarz iście sfinksową; niby ciągle się zmienia, a zawsze ta sama. Lecz i głowy męskie przepyszne — same rasowe typy! Czy to kuzyni? Chyba nie? Zupełnie do siebie niepodobni — każda twarz inna.

— Znajomi — odpowiedziała oschle. — Proszę wrócić tu, bliżej do mnie — dodała ciepłej i wskazała mi miejsce obok siebie na sofie.

Usiadłem zajęty wciąż tajemnicą męskich twarzy, z których każda przypominała żywo Sarę, chociaż między sobą nie miały punktów styczności.

Widząc me zamyślenie starała się usilnie rozproszyć zadumę konwersacją. Wkrótce wpadliśmy na ulubiony u kobiet temat i zaczęliśmy rozmawiać o miłości. Sara od razu wzięła ton namiętny, z predylekcją poruszając wypadki krańcowe graniczące ze zwyrodnieniem. A wszystko umiała podać w formie wytwornej, przedziwnie stylizowanej i ponętnej; chciała widocznie oczarować mnie nie tylko fizyczną urodą, lecz bogactwem ewentualności erotycznych, jakie w niej tkwiły.

Zrozumiawszy wyraźny zamiar miałem się na baczności. Jakiś niepojęty strach odpychał mnie od tej kobiety i nakazywał ostrożność. Mimo to, by jej nie zrazić chłodem, udawałem podrażnienie odpowiadając palącym wzrokiem na spojrzenia jej oczu.

Koło dziesiątej wieczorem pożegnałem się przyrzekając rychłą wizytę.

Nie nastąpiła jednak tak prędko, jak myślałem.

Zawezwany telegraficznie do F., odległego o dwa dni drogi, pojechałem nazajutrz na czas dłuższy, by dopiero w trzy tygodnie potem zjawić się ponownie w willi „Tofana”. Na spotkanie wybiegła Sara wśród oznak żywej radości. Gdy spytałem o Stosławskiego, zachmu-

rzyła się i wzruszając lekceważąco ramionami, odparła:

— Nieciekawo.

Pokrywając oburzenie, jakim przejął mnie bezmierny jej egoizm, wyraziłem życzenie zobaczenia się z nim. Przystąpiła niechętnie dopiero na usilne nalegania:

— Nie mogę panu odmówić; lecz musi pan wejść do sypialni bo stamtąd już się nie rusza.

I wprowadziła mnie przez salon do zacisznej, z wyrafinowaną miękkością urządzonej komnaty.

Widok Stosławskiego zrobił na mnie przerażające wrażenie. Stał przy oknie wpatrzony bezmyślnie w szybę, prawą ręką przebierając we frędzlach portiery. Nie poznał mnie, może nawet nie spostrzegł.

Na twarzy błąkał się nijaki uśmiech, zwiotczałe, białe jak papier usta poruszały się słabo, składając jakieś wyrazy: coś szeptał. Zbliżyłem się nasłuchując. Szept był cichy, ledwo dosłyszalny. Lecz ucho mam bystre i pochwyciłem słowa. Było ich parę tylko i powtarzały się bez przerwy jak w automacie: same bezwstydne, cynicznie pieśzotliwe słowa...

Było w tym coś tak ohydneho i potwornego zarazem, że zadrżawszy cofnąłem się do pierwszej sali.

Tutaj już nie było ratunku. Człowiek ten był stracony.

Zdenerwowany okropnym obrazem, mimo próśb Sary, wróciłem zaraz do siebie.

Przyszło silne postanowienie. W możność ocalenia Stosławskiego zwątpiłem zupełnie; stan, w jaki popadł, przybrał formy zbyt wybujałe, by marzyć o drodze powrotnej. Pozostawała tylko zemsta — spokojna, rozważna, planowa — bo wcale z nie byle jakim przeciwnikiem.

Należało uzbroić się w bezwzględny chłód i odporność na szatańskie wdzięki tej kobiety, której destrukcyjna władza prawdopodobnie rozpoczynała się dopiero z chwilą dopełnienia aktu płciowego. W uszach dźwięczały mi wciąż lekceważone zrazu słowa nieszczęśliwego:

— Zdaje mi się, że gdybym był nie wdawał się z nią w bliższe stosunki, nie uległbym obecnemu stanowi.

Jakąkolwiek rolę odegrał w tej sprawie wpływ Sary, należało strzec się. W każdym razie spostrzegłem, że odczuwa ku mnie niedwuznaczny pociąg i kto wie, czy już w myśli nie wybrała sobie mnie na następcę. Postanowiłem z tego skorzystać, pozornie przystając na ewentualne propozycje. Lecz należało czekać; było jeszcze za wcześnie.

Tymczasem bywałem u niej często, odwiedzając w każdej wolnej chwili. Lecz od ostatniej sceny w sypialni ani razu nie pozwoliła mi widzieć chorego, snadź obawiając się podejrzeń, które by mogły mnie zniechęcić. Ustępowałem, poprzestając na zabawie w salonie i wspólnej lekturze. Tak upływały dni i tygodnie, w ciągu których obserwowałem coraz silniej skłaniającą się ku mnie namiętność Sary. Lecz ani razu nie pozwoliłem przekroczyć granicy określonej towarzyską formą. Moja powściągliwość irytowała ją, podżegając ogień. Z wolna stawałem się panem sytuacji...

Pewnego wieczoru przyjechałem nieco później, bo już koło dziewiątej, by spędzić chwil parę przy wspólnej kolacji.

Czas był pogodny, czerwcowy. Przez otwarte okno jadalni wnącał się łagodny wietrzyk wieczorny, lekko wydymając koronki firanek. Z parku wsączały się do wnętrza aromaty kwiatów, płynął zapach przekwitających jaśminów. Z alei klonów szły skargi słowików, czasem zabłąkał się cichy poświerk zasypiających świerszczy.

Siedziałem wyciągnięty w fotelu, popijając kawę. Sara grała na pianinie. Patrzyłem na gwałtowne ruchy jej rąk. Była piękna w tej chwili. Błądą jej twarz powlókł ciemny rumieniec, oczy miotwały błyskawice, krągła, cudnie sklepiona pierś poruszała pośpiesznym oddechem zwoje białego peniuaru niby fale pian.

Nagle przyszedł mi na myśl Stosławski. Gdzie on teraz, co robi? Może wciśnięty w ką



przyległego pokoju uśmiecha się jak wtedy? A może gra Sary zgalwanizowała na chwilę i ten łachman człowieczy? A wtedy? Jakaż bezdeń rozpaczy skowyczeć musi w tych resztkach człowieczych!

Jak podrzycony zerwałem się z miejsca i kładąc rękę na klawiaturze krzyknąłem:

— Dosyć! Chcę widzieć Stosławskiego! Natychmiast!

Sara, zaskoczona zniecka, wyprostowała się dumnie, mierząc mnie spokojnie oczyma:

— Nie zobaczy go pan.

— Muszę! Rozumie pani — muszę! Dzisiaj, zaraz! W przeciwnym razie...

Lecz nie dokończyłem groźby, bo w tymże momencie szatę Sary zalał szkarłatny odblask, że stanęła przede mną jakby w płomieniach.

— Co to? — zawołaliśmy równocześnie, zapominając o wszystkim.

Oczy nasze skierowane bezwiednie w okno dojrzały spoza szczytów drzew parkowych krwawą łunę pożaru.

Z dali dolatywał już stłumiony przed chwilą przez muzykę gwar zmieszanych głosów i krzyków.

Do jadalni wpadła wybladła służba:

— Jasna pani, Polanka pali się! Dom gajowego koło pałacu cały w ogniu!

Sara pytająco zwróciła się ku mnie.

— Proszę wsiąść do mego powozu, który czeka przed bramą — zdecydowałem szybko.

— A pan?

— Zaraz przyjdę — proszę poczekać w karetce — pojedziemy razem — muszę ocalić portret pani z salonu, ten ostatni najlepszy...

Wyprowadziłem ją i poleciwszy służącemu, by pomógł wsiąść do pojazdu, sam zawróciłem do willi. Chodziło mi nie o portret, lecz o Stosławskiego. Nie mogłem go zostawić na pastwę płomieni.

Wyważyłem gwałtownie drzwi od sypialni i wpadłem do środka wołając:

— Kazik! Kazik! To ja! Gore! Ruszaj stąd! Uciekajmy!

Odpowiedziało milczenie. W sypialni było ciemno, niej widziałem nic. Może zasnął?

Namacałem ręką guzik elektryczny i przekręciłem. Błysk światła spłynął się z krzykiem grozy wydanym z mej piersi.

Na krześle wysuniętym na środek pokoju ujrzałem galaretowatą postać ludzką kształtem i konturami twarzy przypominającą Stosławskiego. Był przejrzysty: widziałem poprzez niego rysujące się wyraźnie sprzęty pokoju...

Nie dowierając wzrokowi dotknąłem go: ręka natrafiła na coś ustępliwego jak gęsta ciecz. Cofnąłem szybko dłoń; z palców moich ześliznęła się jakaś lepka, kleista treść jak żelatyna i uciekła leniwie na podłogę.

Nagle postać zawahała się, śluzowaty kształt zachybotał w dziwnej rozchwiei i rozpadł się na części. Z przezroczystej masy poczęły wysnuwać się pojedyncze pasma niby mgławicowe pierścienie, które uniósłszy się w górę bujały czas pewien i znikwały nie wiadomo jak w przestrzeni. Po paru minutach nie zostało nic — krzesło było puste: Stosławski rozwiął się bez śladu...

Ze zjeżonym włosem wybiegłem z willi i dopadłszy powozu kazałem ruszać co tchu. Jechaliśmy w milczeniu oświeceni łuną szalejącego pożaru. Sara o nic nie pytała, ja też nie miałem ochoty do zwierzeń.

Po przybyciu do miasta umieściłem ją w jednym z hoteli, a sam spędziłem noc u siebie.

Nazajutrz z dzienników dowiedziałem się, że pożar szczęśliwie ugaszono i willa ocalała. Pospieszyłem z wiadomością do Sary, która natychmiast postanowiła wracać. Odwiozłem ją do pałacyku, by odtąd zamieszkać z nią wspólnie; było to jej gorącym życzeniem. Przystąpiłem bez wahania. O Stosławskim nie mówiliśmy, jak gdyby nigdy nie istniał. Rozpoczęła się

druga faza mej znajomości z tą dziwną kobietą...

Od taktyki dotychczasowej nie odstępiałem ani na krok. Chociaż żyliśmy obok siebie w codziennej styczności, stosunek nie przybrał form małżeńskich. Instynkt ostrzegał mnie przed zbytnią zażyłością. Grałem tedy rolę przyjaciela, idealnego opiekuna i doradcy.

Sarę widocznie upór mój rozdrażniał wzmagając chęć przełamania go. Używała tysiąca środków i półśrodków, na jakie tylko może zdobyć się kobieta ponętna, by przezwyciężyć moją odporność.

I przyznać muszę, że przeżywałem nieraz chwile szalonej pokusy — lecz obraz Stosławskiego, okropna wizja jego ostatniej, szczątkowej formy ziemskiego bytowania tam, w tej przepysznej sypialni, mroziła mnie za najłżejszym wspomnieniem, ścinając w łód zapędy krwi.

Moja dziwna powściągliwość zrazu gniewała ją: pierwsze miesiące nienaturalnego współżycia były pasmem gwałtownych scen. Pytany o powód zwałąłem wszystko na karb platonicznego uczucia, jakie rzekomo we mnie obudziła.

— Zbyt wysoko cię cenię, Saro — odpowiadałem zwykle na jej namiętne wybuchy. — Umieściłem cię na zbyt górnym piedestale, by móc sięgnąć ręką po ciebie. Nie chcę brukać swego ideału.

Wtedy wyszydzała mnie nazywając zwyrodniałym idealistą lub jeszcze mniej pochlebnymi epitetami. Znosiłem obelgi z zimną krwią, czekając, jak sprawa rozwinie się później.

Tak minął rok. O ile zrazu Sara żywiła nadzieję zwycięstwa, powoli pewność opuszczała ją. Bezskuteczność coraz silniejszych ataków snadź zbijała ją z tropu — zaczęła patrzeć na mnie ze zdumieniem i — rzecz zastanawiająca — z rodzajem przerażenia. Po czasie nabrałem przekonania, że chęć pożycia małżeńskiego ze mną nie wypłynęła wyłącznie z popędu, lecz miała znacznie głębsze źródła — była dla niej prawdopodobnie kwestią bytu. Fatalnym stało się dla niej, że uległa momentowi pociągu fizycznego ku mojej osobie — fatalnym dla kobiety, która przywykła do zwycięstw, której dotąd nie oparł się żaden mężczyzna. Z chwilą zadzierzgnięcia sieci na osobniku płci przeciwnej wytwarzał się dla niej zapewne specjalny stosunek, który nosił w sobie zarody niebezpieczeństwa dla stron obu: zależało to tylko od zachowania się mężczyzny. Jeśli uległ, Sara miała go w ręku na zawsze. Lecz jeśliby zachował rezerwę, sprawa mogła przybrać obrót groźny dla tej wyjątkowej kobiety. Zdaje się, że w tym wypadku nie mogła przejść spokojnie w ramiona drugiego, nie mogła swobodnie rozpiąć ponownych wnyków na kogo innego — dopóki nie rzuciła pod swoje stopy opornego wybrańca. Dotąd życie jej było zwycięskim pochodem, bezwzględny triumf poskromicielki. Lecz nadeszła chwila odwetu, a ja byłem jego narzędziem. Sara Braga nie mogła zerwać ze mną, nie mogła oddalić mnie mimo daremnych wysiłków.

A siły moje rosły z dniem każdym i wznagałem się w mocy przez nieugiętą wolę. Po roku znikły niemal zupełnie pogróżki i szyderstwa, by przejść w pokorę i prośbę. Sara Braga, dumna, królewska Sara, zaczęła błagać i łasić się u nóg moich.

Bo chodziło o jej piękność, urodę, bo chodziło o jej demoniczną młodość, może i o coś więcej jeszcze: może szło o życie.

Po roku naszego wspólnego pożycia Sara zaczęła widocznie starzeć się. Pewnego dnia zauważyłem w jej kruczonych włosach zdradzieckie srebrne linie, a w kątach ust krzyżową sieć zmarszczek. Wyniosła postać traciła powoli dawną elastyczność, pierś przestała prężyć się gibką falą. Sara wędła jak kwiat zwarzony jesiennym szronem.

Wiedziała o zaszłej zmianie — każde lustro pouczało o tym wiernie — a luster było tyle w willi!

I wtedy ku niewymownej radości rozpacz ujrzałem — piekielną rozpacz dużych, czarnych, ognistych oczu.

Siły moje zwielokrotniły się, jakby potężnym spięciem. Czulem tajemniczą pomoc wokoło siebie, stałem się jakimś magnetycznym ośrodkiem, który przyciągał, wsysał z pery-

ferii ukryte energie drzemiące w tym domu: nie byłem sam w willi. Zaczęły się rozwijać zagadkowe objawy, występowały coraz śmieiej jakieś dotąd uwięzione prądy, rodziły się jakieś moce. Lecz czułem, że były mi przyjazne, że stały po mojej stronie. I ona je spostrzegła — ze zgrozą, z bezgraniczną grozą dopadniętej zwierzyny i zwróciła się do mnie po schron, po opiekę. Naiwna! Jakby nie wiedziała, że to ja właśnie je wyswobodziłem.

Odtąd nie chciała sypiać sama, z lękiem wyczekując wieczornych godzin. W domu przez całą noc paliły się światła i jasno było w willi jak w dzień. Ani na chwilę nie rozstawała się ze mną w obawie przed samotnością, w zabobonnym strachu przed czymś okropnym. A gdy usnęła na parę godzin znużona czuwaniem, miewała! marzenia straszliwe, bo przez sen nieraz słyszałem jej cichy, stłumiony jęk.

Raz, porwawszy się z łóżka, w białiznie z rozpuszczonymi włosami przypadła do mnie w obłąkańczym przerażeniu i przytuliła zakrytą dłońmi twarz do mojej piersi.

— Co tobie? Przyśniło ci się co? — zapytałem, sam zdjęty dreszczem trwogi.

— Boję się — wyszeptała drżąc jak listek — boję się. Tylko nie odchodź ode mnie! Umarłabym w tym domu ze strachu.

Gdyby nie mój stanowczy upór byłaby opuściła pałacyk i przeniosła się gdzie indziej. Lecz przeprowadziłem swą wolę: musiała pozostać.

Wreszcie strach, rozpacz i szal bezsilnej wściekłości dosięgły punktu zwrotnego. Pewnej nocy, opętana dławiącą zmorą, z oczyma wychodzącymi z orbit porwała się w koszuli z łóżka i stanęła nade mną, dysząc ciężko. Z ust jej wyszedł zziębnięty, świszczący szept:

— Bierz mnie, ty kacie jeden! Bierz lub... zginiesz!

W podniesionej ręce błysnęło zimno ostrze weneckiego pugiuału.

Uderzyłem ją wzrokiem: ramię sparaliżowane opadło bezwładnie, sztylet wysliznął się z zeszywniałych palców.

— Cha! cha! cha! — zaśmiałem się siadając w fotelu, na którym po raz ostatni ujrzałem znikającą postać Stosławskiego

— Cha! cha! cha! I na to, jak widzisz, byłem przygotowany. Chciałaś wiedzieć tyle razy, dlaczego gardzę twym ciałem, dlaczego nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. W odpowiedzi przeczytałem ci coś ze starych, świętych ksiąg. No, możesz teraz już usiąść tam naprzeciw — tylko nie ponawiaj próby! Byłaby równie zbyteczną. Czy chcesz posłuchać?

Z rezygnacją dobijanej ofiary obsunęła się na dywan.

Wydobyłem z szafki Stary Testament. Księgę tę ostatnimi czasy studiowałem z zapalem, zatapiając się w jej tajniki, upojony poezją słowa i głębią treści. Otworzyłem księgę trzecią królewską i głosem spokojnym, przejęty ważnością chwili, odczytałem z rozdziału pierwszego następujący urywek:

*...A król Dawid zestarzał się był i miał wiele dni wieku: a gdy go odziewano szatami, nie zagrzewał się.*

*Rzekli mu tedy słudzy jego: Poszukajmy królowi, panu naszemu, młodej panienki, niech stoi przed królem i okrywa go, i śpi na łonie jego, a zagrzewa króla, pana naszego.*

*A tak szukali panienki pięknej we wszystkich granicach izraelskich i znaleźli Abisag Sunamitkę, i przywiedli ją do króla.*

*A była panienka bardzo piękna i sypiała z królem, i służyła mu...*

Przerwałem podnosząc oczy na Sarę.

Wyminięła spojrzenie.

— Cóż? Rozumiesz?

Wzruszyła nerwowo ramionami:

— Cóż mnie to obchodzi? W jakim związku pozostaje ten fragment z nami?

— Nie kłam, Saro! Ty rozumiesz wszystko. Ten sędziwy egoista — to twój praojciec i

mistrz.

— Mówisz jak szaleniec — odparła zacinając z pasją wargi.

— Kłamiesz, Saro! Lecz posłuchaj innych wyjątków z księgi Tobiasza, rozdziałów trzeciego i szóstego. Te wyjaśniają sytuację zupełnie.

— Z księgi Tobiasza? — wyjąkała jak przez sen.

— Tak, z dziejów Tobiasza i Sary; dziwnym zrzędzeniem przypadku jesteś współmieni-  
nicą tej szatańskiej kobiety...

*...Tegoż tedy dnia przydało się, iż Sara córka Raguelowa w Rages, mieście Medskim, i ona usłyszała urąganie od jednej służebnicy ojca swego, bo była wydana za siedem mężów, a czart imieniem Asmodeusz pomordował je, skoro do niej weszli...*

Przerzuciwszy kartkę, czytałem dalej z rozdziału szóstego:

*I odpowiadając, Anioł rzekł: Jest tu mąż imieniem Raguel... a ten ma córkę... Sarę...  
Twoja ma być wszystka majątność jej i masz ją pojąć za żonę...*

*Odpowiedział tedy Tobiasz i rzekł: Słyszę, że była wydana za siedmiu mężów, a pomar-  
li; alem i to słyszał, że je czart zamordował... Otóż się boję, by snadź i mnie się to nie stało...*

*Rzekł mu tedy Anioł Rafael: Posłuchaj mnie, a pokażęć, którzy to są, nad którymi czart  
przemoc może. Ci bowiem, którzy w małżeństwo tak wstępują, że Boga od siebie... wyrzucają,  
a swej lubości tak dosyć czynią, jako koń i muł, którzy rozumu nie mają... nad tymi czart ma  
moc...*

*Ale gdy ją ty pojmiesz, wszedłszy do łóżnicy wstrzymujże się od niej przez trzy dni, a  
niczym się innym jedno modlitwami z nią nie będziesz zabawiał.*

Zamknąłem Biblię i spojrzałem na Sarę.

Nigdy nie zapomnę jej w owym tragicznym momencie. Jak pantera rzuciła się ku mnie z drapieżnie zakrzywionymi palcami:

— Ty łotrze podły! Podszedłeś mnie, zniszczyłeś, zdeptałeś i teraz jeszcze chcesz się pastwić nade mną!

Chwyciłem mocno zwiniętą do ciosu pięść i rozbroiłem:

— Uspokój się, wiedźmo! Dziś to nasza noc ostatnia — jutro opuszczę ten dom na  
zawsze. Lecz nie spędzisz wraz ze mną tych paru godzin, których jeszcze nie dostaje do  
brzasku. Obmierzło mi twe towarzystwo. Ponieważ zachowujesz się jak megiera, zostawię cię  
samą tam w salonie. Chcę odpocząć tutaj sam nareszcie.

Opierając się zawlokłem niemal przemocą wśród uporczywego szamotania się do  
skrzęcej się od świateł sali. Potem zamknąwszy za nią drzwi, wróciłem do sypialni i z  
rozstrojonymi walką nerwami oparłem się ciężko o framugę okna, wpatrując się w noc.

Wtem rozpruł ciszę okropny, rozdzierający krzyk kobiety. Był tak przeraźliwy, tak  
przejmujący, że mimo wszystko wtargnąłem z powrotem do salonu.

Tu było ciemno. Przed chwilą jeszcze pokój zalany potokami światła teraz nurzał się w  
najgłębszej nocy: pogasty nagle elektryczne lampiony, zmierzchły fantastyczne żyrandole.  
Krzyk ustał nagle i zapanowała głucha duszna cisza.

Przejęty nieokreślonym lękiem, przyniosłem z sypialni płonąca lampę. Światło padło na  
estradę w głębi... Na stopniach ostatnich leżała na wznak z rozkrzyżowanymi ramionami  
Sara. Z twarzy jej wykrzywionej okropnie uczuciem grozy patrzyły na mnie zeszlone w bez-  
ruchu śmierci oczy: zginęła momentalnie pod wpływem jakiegoś nieludzkiego przerażenia.

STEFAN GRABIŃSKI

## NA TROPIE

Obudziłem się z głową ciężką jak ołów, śmiertelnie znużony. Spojrzałem na zegar: była dwunasta w południe. Spałem dziś niezwykle długo.

W całym domu cisza skwarne południa, senne odrętwienie lipcowego upału. Byłem sam. Stary Jan wyniósł się gdzieś jak zwykle do sąsiadów na poobiednią fajeczkę, zostawiając mnie na łasce Opatrzności.

Z niewymownym trudem podłożyłem ręce pod głowę wlepiając wzrok w sufit. Jakieś potworne wyczerpanie zawiesiło mi u nóg i rąk gigantyczne ciężary i nie pozwalało dźwignąć się z otomany.

Cofnąłem się pamięcią do dnia poprzedniego, lecz nie znalazłem nic, co by mogło wywołać to iście homeryczne rozluźnienie członków. Dzień upłynął mi spokojnie na podmalowywaniu pejzaży; wieczorem przy blasku księżyca odbyłem małą przechadzkę po mieście, po czym koło dziesiątej poszedłem spać. Oto wszystko.

Więc nie tędy droga. W tym tkwi coś innego. A może ja chory? Lecz skądże by znowu?

Wzrok oderwany od mozaiki stropu mimowolnie padł na stalowy ekran wysunięty na środek pokoju. Był to mój hipnoskop. W chwilach wolnych oddaję się studiom z tak ciekawej dziedziny jak hipnoza i doszedłem już do dość obiecujących wyników, zwłaszcza w zakresie samousypiania. Wystarczy mi rzucić parę skupionych spojrzeń w głąb ekranu, a natychmiast zapadam w sen, z którego budzę się o godzinie z góry przez siebie naznaczonej.

W ostatnich jednak czasach zaprzestałem doświadczeń zauważwszy, że wpływają rozstrajająco na mój organizm, gdyż budziłem się jakiś nieswój i jakby odkształcony.

Mimo to widocznie wczoraj coś mnie skusiło po dłuższej przerwie do podjęcia eksperymentu. Tak przynajmniej kazała przypuszczać pozycja ekranu na środku pokoju; zwykle bowiem stoi pod ścianą.

Dziwiła tylko jedna okoliczność. Nie mogłem w żaden sposób przypomnieć sobie, czy istotnie wczoraj wieczorem zaglądałem w hipnoskop. W każdym razie musiało to nastąpić już po powrocie z przechadzki, więc po dziesiątej w nocy. A przecież ostatnim faktem z ubiegłego dnia, jaki mi pozostał w pamięci, była chwila zdejmowania zarzutki, którą zawiesiłem na stojaku. Co się potem stało, nie pamiętam. Prawdopodobnie przyszła mi skądś ochota do autohipnozy, nie omieszkałem jej zaspokoić.

Wszystko więc było wyjaśnione i powód znużenia poniekąd zrozumiały. Chodziło tylko o to, o czym właściwie śniłem i co się ze mną w tym czasie działo. Tu irytowała mnie zawsze szczególna niepamięć, jaka omotywała mi mózg po zbudzeniu się: nigdy nie mogłem sobie niczego przypomnieć.

A perypetie autohipnozy musiały być czasami nader zajmujące. Przekonałem się o tym naocznie w dziwny, przypadkowy niemal sposób.

Pewnego dnia, zbudziwszy się nad ranem, spostrzegłem ze zdumieniem na rusztowaniu przy sztalugach kadłub jakiegoś starego posągu. Kamień był już miejscami zwietrzały i porysowany, mimo to znać było jeszcze ślady mistrzowskiej ręki w bajecznie rysujących się liniach torsu. Nie mogłem zrazu absolutnie dociec, jaką drogą ten fragment dostał się do mej pracowni. Myślałem, że może który ze znajomych chciał mi wypłatać figla, lub że Janowi przyszła ochota uraczenia mnie tym ułamkiem sztuki. Lecz wszelkie dochodzenia spęły na niczym: każdy wruszał ramionami i patrzył na mnie jak na szaleńca.

Poddałem więc szczególny nabytek dokładnej obserwacji i po jakimś czasie doszedłem do przekonania, że gdzieś już widziałem ten ułamek o tragicznym rzucie głowy. Przed kilku

laty, przechodząc koło starego parku w odległej dzielnicy miasta, spostrzegłem w głębi na półrozwalonym piedestale silnie zwietrzały posąg bez rąk, ledwo trzymający się podstawy. Robota wpadła mi jednak w oko i zrobiła wrażenie. Jakiś czas nawet nosiłem się z myślą przeniesienia go na paletę. Potem zapomniałem najzupełniej.

Prawdopodobnie tedy w chwili samousypiania, w tym ostatnim momencie, który rozgranicza jawę od snu, przemknęło mi w myśli wyobrażenie posagu, połączone może z chęcią sprowadzenia go do siebie. Tę ostatnią, niemal już pod progiem świadomości zrodzoną myśl, zaciągnąłem ze sobą jak niewód w mglistą topiel snu, gdzie drogą autosugestii przemieniła się w nieprzeparty rozkaz. Poszedłem i przyniosłem.

O tożsamości posagu przekonałem się podczas jednej z przechadzek, którą umyślnie odbyłem wkrótce potem w kierunku wspomnianego parku. Zostałem tu wszystko tak jak przed laty; lecz w miejscu, na którym stał niegdyś zdefektowany tors, obecnie sterczał nagi, ogołocony postument; tylko paprocie wybudajwszy wysoko ponad brzegi, otuliły go zielonymi splewami, jakby zakrywając ze wstydem bielejącą nagość.

Do dziś dnia nie mogę przecież zrozumieć, w jaki sposób przeniosłem ciężki, kamienny kadłub z parku do pracowni: zaprawdę potrzeba było do tego sił olbrzyma. Działał tu chyba jakiś wściekły, bezwzględny nakaz wnętrza, jakiś kategoriyczny imperatyw, wobec którego nie ma namysłu ni wahania; wszystkie siły zestokrotniają się, wszystkie ścięgną prężą w szalonym wysiłku, by zaspokoić, wypełnić coś, co żarzącymi głoskami wypaliło się we wnękach duszy; dźwiga się jakaś niesamowita, nerwowa moc i pędzi na łeb, na szyję, przez debry, wykroty, łamie, druzgoce, wali w proch do stóp swych wszystko, co staje na zawadzie, i dopiła celu zziązana, krwią ociekła, lecz triumfująca...

Co mnie jednak najbardziej zaniepokoiło przy tym dziwacznym zdarzeniu — to przypuszczalne rozrastanie się do rozmiarów wewnętrznego nakazu owej ostatniej, może całkiem przelotnej myśli w chwili zasypiania. Wszystko zależało od tej ostatniej, niemal w przedśniaku snu wałęsającej się myśli.

Podniosłem się ciężko z postania i zacząłem ubierać się. Po chwili zauważyłem ze zdumieniem, że wdziałem ubranie wizytowe zamiast zwykłego, które noszę codziennie. Czyżby mi Jan przygotował je umyślnie na dzisiaj? O ile sobie przypominam, nie wydałem mu żadnych specjalnych instrukcji, a wczoraj u nikogo z wizytą nie byłem. Być może więc uważał, że może codzienne szaty już zbyt wytarte i nie wypada mi się w nich pokazywać nawet w „brudny” dzień. Już to w ogóle postępował sobie ze mną dość samowładnie. Pocziwina!

Byłem cały tak „zbity”, że nie chciało mi się ponownie przebierać i włożyłem mój świeżo wykończony, czarny jak kruk tużurek.

Było mi już jakoś nieswojo: jakieś trudne do określenia uczucie niechęci czy wstrętu nurtowało we mnie od chwili zbudzenia się; w ustach rozpanoszył się gorzki obrzask obrzydzenia.

Przeszedłem się parę razy po pokoju dla otrząśnięcia się z przykrych sensacji i odzyskania równowagi. Raz mijając zwierciadło mimo woli spojrzałem w głąb i przeraziłem się: byłem trupio blady, oczy błyszcząły mi jakimś podnieconym, fosforyzującym blaskiem, a ręce wykonywały szczególne ruchy. Przypatrzyłem im się z uwagą: wyciągałem je na poziomie bioder równolegle naprzód po jednej linii potrząsając nerwowo palcami, z których zdawałem się coś opuszczać. Mogłem się zresztą przychwycić na tym tylko na krótką chwilę, bo zauważywszy to, prawie gwałtem opanowałem się, wsuwając ręce do kieszeni. Czyżby nerwowe delirium?...

W sionce odezwało się charakterystyczne pochrząkiwanie i cmokanie z fajeczki: Jan wracał z pogawędki. Jakoż po chwili wszedł niezupełnie zadowolony ze mnie.

— No, przecież się pan raz pozbierał! Słyszane rzeczy — spać do południa! Dobudzić się nie mogłem. Było tu jakieś panisko długie, chude jak śmierć. Coś gadał o obrazach. Mówiłem, że pan śpi, żeby przyszedł później. Nie chciał ustąpić. Więc zacząłem pana trochę i

ruszać — ale nie pomogło — żelazny sen Pan Bóg tej nocy zesłał, kamienny sen.

— Ma Jan słuszość. Spałem jak zabity. Ale po co u licha zmienił mi Jan ubranie! Przecież nie prosiłem wczoraj o to.

Stary popatrzył na mnie zdumiony, widocznie teraz dopiero spostrzegając, że jestem w wizytowym tużurku.

— Ja zmieniać? A dalibóg — to pan już całkiem chyba tego... — tu zrobił przejrzysty znak na czole. — Wyczyściłem tylko to, co znalazłem rano na krześle. Musiało leżeć nowe — to i jest nowe.

Przerwał, coś sobie przypominając.

— Niech no pan poczeka; coś sobie przypomnę... zaraz... zaraz... Aha, tak... a juści tak. Wczoraj wieczór, najakuratniej pamiętam, miał panisko tamto codzienne z aksamitną kurtą. A jakże, żebym tak zdrów był. Nic innego, tylko pan sam przed spaniem tamto schował, a inne na dziś położył i zapomniał.

Mówił spokojnie jak zwykle, swym serdecznym, dobrotliwie zręczącym tonem. Lecz oczy jego chwilami spoczywały na mnie z pewnym zdumieniem, jakby czymś zaciekawione.

— No dobrze już, dobrze. Tak — musiałem widocznie sam przemienić ubrania, choć nie wiem dziś po co. — Proszę o śniadanie. Dzienniki są?

— A jakże. Właśnie chłopczyśko przyniosło. Jakiś tam nadzwyczajny dodatek, telegram, lichy wie co wsunął mi w łapę. Wziąłem, bo może pan ciekawy. Zaraz przyniosę wszystko.

W parę minut potem dymiła już na stole kawa, rozwierały zapraszająco swe łamy dzienniki.

Wypiłem kawę i zapaliwszy papierosa zabrałem się do odczytywania dzienników. Nawinał mi się pod rękę ów nadzwyczajny telegram, wybity wyjątkowo wcześniej, bo jeszcze przed wydaniem porannym. Na czele rzucał się w oczy tłustym drukiem tytuł sensacyjnego wypadku:

### **TRAGICZNA ŚMIERĆ HRABIANKI W. S.**

Z zasady pogardliwie pomijam wszelkie artykuły z zakresu kryminalistyki; nie lubię krwawych, szpitałem lub mordem zalatujących wrażeń. I tym razem chciałem już odłożyć tę nadzwyczajność na bok, gdy przelotny rzut oka na czerniejące rzędy liter zatrzymał się na jednym wyrazie. Była nim nazwa pewnej podmiejskiej miejscowości, z którą łączyło mnie parę odległych wprawdzie, lecz dość silnych wspomnień.

Podjąłem wzgardzony telegram i przeczytałem następującą, zresztą zwięzle podaną wiadomość:

Dziś w nocy na Wygnance zaszedł dziwny, tragiczny wypadek. Nad ranem w jednej z komnat „Czerwonego Zamku”, dziedzicznej własności hrabiów S., znaleziono zwłoki dwudziestoletniej hrabianki Walerii. Śmierć nastąpiła wskutek celnego ciosu zadanego w serce puginałem. Innych ran ani obrażeń na ciele dotąd nie stwierdzono. Sprawa przedstawia się ciemno i tajemniczo. Obszerniejszych wiadomości udzielimy w numerze porannym.

Jak już nadmieniałem, uwagę moją zatrzymała na sobie nazwa miejscowości. Była nią wspomniana Wygnanka, rodzaj przysiółka czy podmiejskiego folwarku oddalonego od miasta niespełna o milę. W okolicy tej byłem wprawdzie raz tylko w życiu, lecz doznałem wtedy tak silnego wzruszenia, że złączenie jej nazwy z sensacyjnym wypadkiem skłoniło mię do bliższego wglądnięcia w sprawę.

Z „Czerwonym Zamkiem” łączyło mnie wspomnienie przepięknej kobiety widzianej raz przed laty. Byłaby nią właśnie tragiczna ofiara ubiegłej nocy?

Podjąłem z kolei numer poranny chcąc dowiedzieć się czegoś bardziej określonego.

Oto, co znalazłem:

## TAJEMNICZA ZBRODNI

Okropny wypadek, który zaszedł dziś w nocy ze środy na czwartek w „Czerwonym Zamku”, nosi na sobie piętno czegoś tajemniczego. Po bliższym zbadaniu sprawy wykluczono możliwość samobójstwa; panna Waleria S. padła ofiarą jakiejś mściwej, zbrodniczej ręki. Świadczą o tym następujące, dreszczem grozy przejmujące fakty.

Gdy dziś nad ranem koło godziny 8 pani Maria S. po jednodniowej nieobecności powróciła do zamku, zastała u bramy wjazdowej niemal całą służbę w trwożnym pomieszczeniu: twarze wszystkich zakłopotane z tajonym wylękiem patrzyły w oczy pani. Pani S. tknięta przecuciem zapytała o zdrowie ukochanej córki Walerii, którą pozostawiła wyjątkowo w domu. Wtedy wystąpiła w imieniu innych stara piastunka Nastusia oświadczając z drżeniem w głosie, że panienka albo zasnęła, albo, co nie daj Boże, zasnęła; dotąd bowiem z sypialni nie wyszła, chociaż wczoraj wieczorem zapowiedziała, że wstanie wcześniej, by powitać matkę. Budzić nikt dotąd nie śmiał, zresztą panienka onegdaj zamknęła się od wnętrza, a dostać się do pokoju inną drogą nie można.

Zaniepokojona pani S. natychmiast pośpieszyła na górę i zaczęła gwałtownie potrząsać klamką od drzwi sypialni córki. Gdy po kilku podobnych próbach z wnętrza nie odpowiedziano, zaleciwszy zupełne milczenie, przyłożyła ucho do wlotu klucza, nasłuchując oddechu śpiącej. Lecz wewnątrz panowało głuche milczenie. Wtedy przerażona kazała bezzwłocznie wyważyć zaryglowane podwoje. Po wejściu do środka pierwsze spojrzenie skierowała pani S. na łóżko córki. Oto, jaki widok przedstawił się oczom nieszczęśliwej, jak gromem rażonej matki.

Pod kobiercem białych lilii leżała na wznak z rękoma złożonymi jak do modlitwy Waleria. W piersi, w okolicy serca, tkwiła rękojeść pugiuału; spod kwiatów, na kołdrze, rąbku koszuli na piersiach i białym wełnistym dywanie przeglądały skrzące plamy krwi. Nieszczęśliwa zdawała się spać: przymknięte oczy, twarz cicha, rysy bez bólu nadawały jej wygląd pograżonej w głębokim spoczynku. Lecz serce przeszyte stałą nie biło: w łożu był trup.

Zawiadomiony telefonicznie przez odchodzącą niemal od zmysłów matkę urząd policyjny wysłał na miejsce zbrodni komisarza i rzeczoznawców. Jak wykazała ekspertyza lekarska, zginęła panna Waleria wskutek niezwykle celnego ciosu zadanego sztylblem długości półtora dcm w prawą komorę sercową. Uderzenie było silne — pugiuał zanurzył się po rękojeść. Najprawdopodobniej śmierć nastąpiła momentalnie, bez przebudzenia się ofiary. Świadczą o tym zamknięte oczy i pogodny wyraz twarzy.

Rzeczoznawcy utrzymują, że zamachu dokonano już po północy, między godziną drugą a trzecią nad ranem.

Z kolei przystąpiła policja do poszukiwań zbrodniarza. Tu od razu napotkano na niezwykle trudności... Przede wszystkim wysunęła się na plan pierwszy kwestia motywów. Rabunek, chęć zysku są stanowczo wykluczone; w sypialni jak i w całym zamku wszystko znaleziono nie tkniętym. Więc chyba zemsta lub zazdrość. Tu wyłoniło się pytanie: czy sprawcą zbrodni jest kobieta, czy mężczyzna? Pytanie, na które dotąd nikt nie zdołał dać stanowczej odpowiedzi. Zmarła była kobietą niezwyklej urody; musiała mieć bez wątpienia wiele nieprzyjaciółek, budzić niejednokrotnie chęć współzawodniczenia wśród mężczyzn.

Zrazu sądzono, że do orientacji pomogą lilie, pod którymi znaleziono zwłoki: szczegół dziwny, pełen ponurej, cmentarnej poezji. Lecz tu sprawa utknęła bez wyjścia; większość uznała go za przebiegły środek, użyty dla zmylenia pościgu. Może przyszłość użyje lepszych wyjaśnień. W ogóle podnieść musimy, że poprzez całą tę grozą ziejącą tragedią „Czerwonego Zamku” przewija się rys niesamowity i zagadkowy.

Nie wiadomo przede wszystkim, w jaki sposób sprawca mordu dostał się do komnaty sypialnej panny Walerii. Jak zeznała w śledztwie matka, zastała nad ranem sypialnię zaryglowaną od wnętrza. Wyjeżdżając bowiem, kazała córce zamknąć się na noc, izolując ją w ten sposób od służby śpiącej na dole w czeladnej. Obok sypialni ciągnie się długi szereg sal stojących pustką od czasu śmierci pana domu. Zajmują je chyba krewni w czasie rodzinnych zjazdów. Lecz w ostatnich dniach nikogo z przyjezdnych nie było; tylko w pokoju sąsiadującym z sypialnią pań zamku spała krytycznej nocy pokojowa panny Walerii, Małgorzata, która utrzymuje, że nic podejrzanego nie słyszała. Wejścia



innego nie ma, okna znaleziono rano pozamykane jak onegdaj wieczorem. Przypuściwszy nawet, że zbrodniarz jakimś dziwnym sposobem, może w porozumieniu z kimś ze służby, wkręcił się do wnętrza zamku, staje się przed nierozwiązalną zagadką, jak zdołał dostać się przez zaryglowane drzwi lub zamknięte okna do sypialni bez wywołania łośkotu i obudzenia nim ofiary.

Miejmy jednak nadzieję, że sprawność naszych agentów wkrótce wprowadzi władze na właściwy trop i rzuci jaśniejsze światło na mroczną aferę. Szczegółowe streszczenie śledztwa podamy w numerze wieczornym.

Przeczytawszy dość pobieżnie to *résumé* dochodzeń, obróciłem stronicę dziennika, by przypatrzeć się podobieżnie zamordowanej, którą umieszczono nieco dalej.

Wystarczył mi jeden rzut oka na twarz ofiary, by przekonać się, że podejrzenia me co do jej identyczności były najzupełniej uzasadnione: p. Walerię znałem; była nią ta sama kobieta, którą przed dwoma laty ujrzałem na krótką chwilę, by się już więcej w życiu z nią nie spotkać. A jednak silne wrażenie, jakiego wtedy doznałem, pozostawiło ślad niezatarty.

Był nim obraz natchniony widokiem tej idealnie pięknej kobiety wykonany wkrótce potem w przeciągu kilku godzin wytężonej, twórczej pracy. Kreacja ta była dla mnie wyzwoleniem: po skończeniu obrazu odetchnąłem i zwróciłem się ku pogodnym pomysłom. Pamięć Walerii poczęła przesłaniać się powoli coraz gęstszym woalem, że cała przygoda w końcu wyglądała na przelotną wizję. Dziś pod wpływem straszego jej zgonu wspomnienia odżyły budząc dawno przebrzmiałe echa.

Podniosłem story i usiadłszy pod oknem zacząłem jak najdokładniej studiować wizerunek zdjęty na miejscu zbrodni. Rycina była wykonana doskonale. Chociaż nieszczęśliwej nie widziałem już od lat dwu, rysy jej oddane z przedziwną wiernością nie pozostawiały ani cienia wątpliwości. Była to ta sama twarz przypominająca subtelnością rysunku ascetyczne, jak z wosku niepokalanej białości wycięte owale świętych dziewic, to samo chłodne, marmurowe czoło z chryzmatem nie zmaconej pogody. Z tym wyrazem twarzy dziwnie zestrajał się ubiór głowy i tło atłasowej poduszki, które wskutek szczególnego ułożenia fałdów i zgięć utworzyły dookoła jak gdyby szeroki, biały kornet. Dłonie skrzyżowane cicho na piersi dopełniały obrazu tej dostojnej, przezystej śmierci. Wyglądała na świętą zakonu, radosną wyzwoleniem z grzesznej ziemi, uśmiechniętą do rozkoszy nieba.

Powoli poprzez natłok przypuszczeń, kombinacji, domysłów wydarło się silne, nieukożone pragnienie zwiedzenia miejsca zbrodni. Szalona jakaś ciekawość wlokła na ponury teren nocnego uczynku, pchała do rozpatrzenia sytuacji.

Zrzuciłem lekkie, sukienne ciżmy i sięgnąłem po trzewiki pod otomanę. Jakież było me zdumienie, gdy zamiast zwykłych, spacerowych, wy dobyłem nowe, przed kilku dniami nabyte lakiery. Wściekły, odrzuciłem je precz i gwałtownie otworzyłem szafkę nocną, w nadziei, że tam znajdę me codzienne obuwie. Lecz poszukiwania były bezskuteczne, bo trzewików nie znalazłem. Zrezygnowany więc, nie chcąc tracić czasu na dochodzenia, wdziałem wzgardzone lakiery i wyszedłem z domu drzwiami od strony ulicy, zamknąwszy mieszkanie na klucz.

W pół godziny potem byłem na trakcie, co długą, białą wstęgą snuł się ku Wygnance.

Było koło trzeciej. Malowniczość krajobrazu podniesiona grą słonecznych promieni sprawiała wrażenie rozbieżne z tym, czego by należało się spodziewać; wszystko witałem jako rzeczy przykro rozpoznane, wszystko wracało niemile znajomym. Drażniło mnie przy tym uczucie fałszywego oświetlenia: było przejaskrawione i stąd jakieś inne, niewłaściwe. Zacząłem dobierać w wyobraźni innych naświetleń, by rzeczom przywrócić „właściwy” nastrój i duszę. I tak niepostrzeżenie żółtoczerwone smugi, którymi słońce zasłało skiby łańców, powoli zbladły, zbłękitniały, by wreszcie rozblysnąć srebrnozieloną poświatą księżycy. Świat ściemniał na chwilę, sposepniał na granat, by znów roziskrzyć się światłem białej, miesięcznej nocy.

W jakiejś chwili chód mój jak gdyby zmienił się; przestał być układem ruchów świadomej siebie woli, przybrał charakter czegoś drewnianego: zeszytniał; szedłem jak automat. Z

wyprężonymi przed się rękoma szedłem naprzód, wskazując dłonią cel drogi...

Po lewej ścieliły się zanurzone we mgłach otawisk łany zbóż i poruszone wiatrem szemrały tajemnym pochrzestem kłosów...

Po prawej ciągnął się stary, biały mur najpierw jakiegoś cmentarza, potem parku czy ogrodu, tworząc jedną, długą bez końca linię. Gałęzie kalin przerzuciwszy się przez zmurszałe zreby chwiały się na wietrze ciche, zwierzając nocy smutek ogrojca śmierci. Delikatne witki wierzb kołysane letnim podmuchem opłakiwały na murach człowieczą, smutną dolę. Cień jakiś skurczony przesuwiał się wzdłuż ścian, to w górę piał, to wydłużał, aż znikł w sadzie. Majaki mżyły na odartej z wapna ścianie. Poznały mnie z daleka i znakami przyzwały do siebie. Poruszały się kłapiącym ruchem ich potworne żuchwy, zakrzywiały krogulczym szponem kosmate ręce, to znów biegly naprzód, zachęcając do naśladowania — złe, rozchichotane, nieuchwytnie...

Naraz coś pod nogami zagruchotało głuchym, dudniącym odzewem: szedłem przez most. Ten łoskot samotny wśród bezdennej ciszy świata był tak straszny, że zwinąłem się w opętańczej trwodze i zatkawszy uszy zacząłem biec, by dłużej nie słyszeć. Nie mogłem znieść dudnienia; przypominało coś okropnego, było aż nadto dobrze znane, choć nieokreślone miejscem ni czasem.

Przebiegłem most zapuszczając się w aleję topól.

Powiewały majestatycznie gibkimi wierzchołkami, podając jedna drugiej wiatrową gawędę. Chwiejąc się na nogach wybrnąłem z alei i stanąłem u wylotu. Noc znikła, zgasło upiornie światło miesięczne, poza- padały się łapczywe cienie: byłem pod zamkiem koło stawiska w ciepłe, słoneczne popołudnie.

Przetarłem oczy, niepewny, czy śnię, czy marzę, i puściłem się wzdłuż murów. Zamek z tej strony przedstawiał się stosunkowo najbardziej dostępnie; zresztą zewsząd broniły go spadziste mury. Z gościńcem łączył go most zwodzony, który na noc cofano na bastiony.

Tylko stąd od południa przerwany mur ustępował miejsca wspierającej się o bok grodziska ścianie.

Więc chyba tędy mógł morderca dosięgnąć połowy wysokości zamku. Lecz i tak pozostawała do pierwszego okna wielka przestrzeń zupełnie gładka, bez śladu wrębów.

Opuściłem głowę bezradnie bijąc się z tysiącem domysłów. Nie pozostawało nic innego, chyba przypuścić, że zbrodniarz działał w stanie jakichś niezwykle wzmożonych zdolności, pod naciskiem nerwowej, wściekle ześrodkowanej siły, która pcha po gładkich jak szkło powierzchniach, utrzymuje w równowadze nad przepaścią, podnosi od zewnątrz zasuwę od okien, działa lekko, cicho, nieprzeparta, zajadła... Nie mogłem rozwiązać zagadki.

Zniechęcony, zwłaszcza po zauważeniu w pobliżu paru kręcących się indywiduów, które od chwili ciekawie śledziły moje ruchy, zawróciłem na gościniec i wkrótce przesuwałem się znów pomiędzy szeregami topól.

Spokojne, wystające słońce przeglądało kolejną pomykającą w dal rzędy drzew, znaczyło chwile rzutami cieni. Gdzieś dzieciół kował zapamiętałe dziuplę, kukułka wróżyła szczęście. Żłocista, nagrzana godzina piąta.

Skąd wzięła się owa zmora miesięczna? — myślałem intensywnie.

Najprawdopodobniej wczułem się głęboko w przypuszczalny stan duszy zbrodniarza idącego na czyn w nocy, przy księżycu, i przeżyłem jego udrękę. Plastyka i natężenie perypetii świadczyły tylko o mojej wrażliwości. Przebieg niby powtórzonych przeżyć mordercy opierał się co do joty na wynikach, do których doszedłem drogą analizy faktów podanych w dzienniku. Wszystko tedy na pozór było w porządku. A jednak w głębi nurtowały mnie jakieś na pół świadome myśli, zadające kłam wszystkiemu, bystre, logiczne, uparte.

Udawałem przecież, że wszystko jest na miejscu, i cieszyłem się spokojem nie zmaconej powierzchni.

Rzeczywiście miałem już tego dość. Tragedia Wygnanki wciągnęła mnie zbyt osobiście

w swe wiry tak, że zachodziła obawa, bym się nie dał im wchłonać. Ostatecznie pal licho wszystko! Co mnie to obchodzi? Należało z wolna wycofać się.

Lecz myśl krążyła po objazdach, zmierzając z ukosa do drażliwego punktu. Niepokój nieznośny zapuścił mi w duszę chłodne jak stal wzierniki i już, już zbierał rozpiezchłe chwilowo oka matni, gdy wtem szczegół zewnętrzny skierował uwagę na co innego i ku mej głębokiej radości nie pozwolił dokończyć skojarzenia.

Zbliżywszy się na odległość paru kroków do fatalnego mostu uczułem, że przejść go nie zdołam.

Obawa posłyszenia owego dudnienia, co głuchym wspomnieniem błąkało się w zaułkach mózgu, rzuciła mnie gwałtownie wstecz. Nie pozostawało nic jak obejść go spodem.

Bez namysłu porzuciłem gościniec i zacząłem schodzić w rów, na szczęście zupełnie suchy. Zstępując po bujnie trawą zarosłym szkarpie spostrzegłem, że ktoś mnie w tym uprzędził. Darń była miejscami uszkodzona i zdarta i nosiła wyraźnie ślady obuwia powstałe z obsuwania się po zboczu.

Ponieważ rów był na razie suchy, ślady urywały się tuż pod szkarpem. Odkryłem jednak ciąg dalszy po zbliżeniu się na linię mostu, pod którym przewijała się rzeczka, ginąc dalej wśród niezmiernych obszarów nieużytków.

Więc ktoś również porzucił szosę tuż przed mostem. Szczególne! Może z tych samych powodów?

Ponętą ewentualność skłoniła mnie do dalszego śledzenia tropów. Dlatego przeskoczywszy wąski pas wody nie wróciłem już na gościniec, lecz zboczyłem w kierunku śladów. Przyjrawszy się im dokładniej doszedłem do przekonania, że pochodziły od trzewika męskiego i były trochę szersze od mych lakierów.

Zrazu szły brzegiem rowu równoległe do gościńca, lecz wkrótce kierunek nagle się zmienił: trop skręcił w prawo między pola i nieużytki, znacząc się wyraźnie na gliniastym, wilgotnym podglebiu.

Widocznie nad ranem po pogodnej nocy spadł deszcz i przepoił ziemię; trakt wysechł rychło, gdy grunt niski, ilasty zachował dotąd utajoną wilgoć.

Chociaż droga tędy była ogromnie uciążliwa, przecież nieznajomy nie wrócił na szosę, lecz brnął przez puste, grząskie pola, bez ścieżek, miedz, drogowskazów, jakby zautomatyzowany w raz obrany kierunku.

Nie byłbym poszedł za jego przykładem, gdyby nie ciekawość, dokąd też zawiedzie.

Niebawem zastanowiła mnie niejednostajność linii; biegła to w prawo, to w lewo, uskakując dziko na boki, zakreślając dziwaczne gzygzaki. Wreszcie utworzyła gwałtowny kabłąk, który obiegłszy szerokim kołem pole, powrócił do punktu wyjścia.

Miałem przed sobą ciekawą zagadkę. Albo był to ślad jakiegoś maniaka lub też trop człowieka głęboko nad czymś zamyślonego.

Może uparta myśl, zatoczywszy kolisty obieg, stanęła znów u wrót znękanego mózgu; może wędrowca opętała fatalnie jakaś idea, nie wypuszczając go mimo wysiłków z błędnego koliska?

Stanąłem w jego tajemniczym środku i rzuciłem okiem przed siebie.

Z wolna zwinięta w kłębek linia rozprężyła się i popęzła chwiejnie naprzód. Opętaniec przeciął nareszcie magiczny krąg i wyzwalając się z trudem podążył prosto odruchem woli. Jakoś falistość znaków nieznacznie wyrównała się, krok zmęźniał i z bezprzykładną chyżością zmierzał ku miastu.

Nie mogłem nadażyć tym nieludzkim skokom, które garnęły pod siebie parę metrów na raz; ten człowiek widocznie uciekał. Lecz nie spuszczałem go z oka i szedłem tuż za nim.

Było mi ciężko i z biedą podnosiłem nogi. Ilasty i na pół tylko podeschły grunt czepiał się obuwia, które też wkrótce pokryło się cegląstą gliną.

Byłem smutny.

Po zgnęanej głowie snuły się myśli, niby tumany mgieł pędzone biczami wichury; rozbłyskiwały i gasły jakieś światła dźwigane w górę przez nieznane ręce.

Z dali gwarzyło już miasto, konały przeciąglą skargą fabryczne syreny. Dźwięk mnie doleciał smętny, rozlewny... Poznałem. To trębacz grał na farnej wieży hejnał ku czci Panny Marii. Poważna, czcigodna melodia...

Zacząłem rozglądać się uważniej po najbliższej okolicy. Trop zdaje się zbliżył się teraz ku straconemu już dawno z oczu gościńcowi. O ile mogłem się zorientować w położeniu, minąłem już linie podmiejskich browarów i zmierzałem od strony nieużytków ku miastu.

Szedłem z zapartym tchem spodziewając się, że lada chwila kroki zбочą z pola i zawiną do któregoś domu.

Nagle zabiło mi serce.

Okolica wydała się bardzo dobrze znaną; rozpoznałem tylne partie domów wychodzących na ogrody i sady.

Przyspieszyłem kroku z oczyma wbitymi w dziwny trop, głuszac wrzawę nacierających wściekle myśli...

Wtem natknąłem się na jakąś zaporę. Podniosłem oczy i ujrzałem się u furki mego własnego ogródka. Gorączkowo otworzyłem i wszedłem do środka. Ślad wił się bez przerwy dalej, dobiegał samych drzwi mego domu.

Szarpnąłem drzwi. Były zamknięte.

Jakieś atomy dotąd rozpierchłe, porozrzućane jak opiłki żelaza, polaryzowały się z przeklętą chyżością, porwane przez nadchodzący z dali prąd. Czułem już, czułem nieubłagane zbliżenie się porządkującej bezład fali.

Stałem bezradny czas pewien na progu, nie odrywając wzroku od śladów; wszystkie szły do domu, a dom był zamknięty.

Wtem rzuciłem spojrzenie nieco w lewo od wejścia i odkryłem nowe linie odcisków; jeden poczynął się u progu trochę dalej i biegł w głąb ogrodu, drugi jak gdyby wracał, po drodze krzyżując się z tamtym i docierał z powrotem do wejścia tylko całkiem z boku, tak, że go zrazu nie zauważyłem.

Poszedłem za pierwszym w głąb. Wkrótce ślad skrzył koło rogu domu i podążał między klomby kwiatów.

Nagle zachnąłem się; trop kończył się przy ulubionym klombie białych lilii. Lecz moich jasnych kwiatów nie było — wszystkie wyrwała czyjaś straszna ręka; na środku sterczały tylko złamane łodygi.

— To on!

Gnało mnie do domu, do wnętrza. Nie szukając klucza, z szaloną siłą pchnąłem drzwi i wyważwszy z zawias runąłem do środka.

Zacząłem na nowo czegoś szukać. Otworzyłem szafę, biurko, stół, przeglądałem wszystkie szuflady, skrytki, wpadłem do pokoiku Jana, przerzuciłem całe stopy rupieci, książek, bielizny. Nie znalazłem nic.

Przypadkiem wzrok padł na szerniałe drzwiczki pieca.

— Może tam?

Wyrwałem prawie blachę, chciwie zanurzając ręce w czeluść.

Nareszcie głęboko, głęboko natknąłem się na coś twardego. Wyszarpnąłem, wydarłem... Było małe zawiniątko: trzewiki moje zawałane po kostki czerwoną gliną i moje codzienne ubranie z aksamitną kurtką.

Rozwinałem miękkie, zmięte...

— Tak! To ja!

Było zbluzgane krwią Walerii.

KAROL IRZYKOWSKI

## KOWADŁO MORDA

*Stefanowi Grabińskiemu,  
twórcy czarokregu kolejowego,  
ten apokryf poświęcam.*

Jedyny pasażer pierwszej klasy, wyciągnięty wygodnie na trzech miejscach przedziału, spał w najlepsze, mimo straszliwego zimna. Światło elektryczne, rzucające nań promienie wprost przez otwór w nadtłuczonym kloszu, nie przeszkadzało mu wcale. Zdawał się martwym. Jego ciężkie buty, zaokrąglone na stopach w dziwaczny sposób, wystawały daleko ponad poduszeczkę, o którą niedbale oparł dolne kończyny.

Jednak na stacji w Wylocie wyruszono go z legowiska. Do przedziału weszli ogromni na pozór ludzie, w czapicach, wyglądający jak wielkie pękate wory, zawiązane wysoko. Lecz gdy zrzucili sute szuby, okazali się w zgrabnych futerkach, a potem z futerek wykluli się smukli młodzieńcy w sportowych ubraniach. Za nimi posługacze wnieśli mnóstwo tobołów: bogate nesesery, skórzane walizy, torby, lornetki i strzelby w futerałach.

Dotychczasowy dzierżyciel przedziału wstał niechętnie i siadając pod oknem spuścił nogi na podłogę z tak niespodziewanym i sensacyjnym hukiem, jakby były z łowiu. Przybyli, krzątający się około zapłacenia posługaczy, wzdrgnęli się na chwilę i spojrzeli w tę stronę. Nie zauważywszy jednak potem nic szczególnego, przystąpili do dalszego urządzania się w przedziale.

Gdy pociąg ruszył, niebawem cały przedział został futrami niby wytapetowany. Zamiast czapic nasadzili młodzieńcy na głowy sportowe kaszkiety, wyjęli z walizek termofory i flaszki z wódką, *Mercur de France* i parę humorystycznych czasopism polskich. Zajadając i popijając, pykając z krótkich fajeczek, rozmawiali o polowaniu, z którego właśnie wracali.

Człowiek z hałaśliwymi butami zapalił sobie tymczasem cygaro. Stercząc z malutkich ust uwydatniało ono komicznie owal jego twarzy, pozbawionej zupełnie zarostu, podczas gdy w ustach promieniami nieprzyzwoicie zbiegały się pokarbowane fałdy warg. Obojętny na rozmowę współpasażerów, oparł głowę na jednym z ich wykwinnych futer i niebawem zachrapał, skrzypiąc przy tym jak miech. Z otwartych ust wypadło mu zgasłe cygaro, owisła dolna warga odsłaniała nader liczne białe zęby.

— Patrzcie, patrzcie, coś mu wisi z gęby! — zauważył jeden z młodych ludzi.

— Kawalek czerwonej nitki! Suchotnik, czy Bóg wi co! Panie, panie, usuń no się pan od mojego futra!

„Bóg wi co” odsunął się i skłonił głowę na drugą stronę. Prawą nogę wyciągnął przy tym na siedzenie przed sobą i przygniótł je niemiłosiernie. Współpasażerowie obserwowali przez chwilę jego nieforemny but, lecz nie rozczulając się tym zbytnio, wnet wrócili do swojej rozmowy.

— Gdyby nie twoja starka, Jules, byłbym musiał użyć innego środka na rozgrzewkę — rzekł najstarszy, najwyższy i najtęższy z myśliwych, łypiąc oczyma w stronę nieznanego.

— Rozumiem cię, Jean! — odrzekł tajemniczo Jules, chudy, lecz żyłasty efeb.

— Zapewne masz na myśli bicie w pysk — wypaplał niedelikatnie trzeci, zwany przez tamtych François, najmniejszy z nich, lecz zato należycie czupurny.

— Ja nie biję w pysk z zasady, tylko gdy potrzeba — skromnie eksplikował swoją naturę Jean.

— Nie z zasady, tylko z przyzwyczajenia — pochlebiał mu Jules.

— Nie z zasady, tylko z frontu? — dodał dowcipnie François, pełen uznania dla Jeana. Właśnie palcami, tkwiącymi w rękawiczce, rozrywał *Mercure de France*.

— Ile razy biję w pysk, przez dwa dni potem żałuję, ale cóż, taką mam ciężką rękę, a w niej świad. A biłem już siedem czy osiem razy. Tego, co było przed dwoma dniami — o czym wiecie — nie liczę. Cała służba, każdy robotnik, wszystko jest teraz u nas zdenerwowane, i tylko go o co poprosisz, a on zaraz ni stąd ni zowąd głos podnosi: Czy pan myśli, że ja tu dla pana? Pan wie, ile teraz chleb kosztuje? I tak dalej. Lepiej trzeba go było za złośliwe uszkodzenie cudzej własności oddać w ręce policjanta.

— Nic nie szkodzi, niech chamy nie myślą sobie, że tylko oni mają pięści. Hołota by się zanadto rozwydrzyła! — uspokajał François ewentualne skrupuły Jeana.

— Ale powiem wam, jak to ja kiedy indziej bijałem po mordzie. Naturalnie nie liczę tego, co było przy wojsku — to sami wiecie, że każdy oficer musi bić po pysku, na to nie ma rady, niech sobie socjaliści o tym, co chcą, gadają. Ale opowiem wam, jak to się dla mnie zaczęło, jak to było po raz pierwszy...

— Kiedy się rozdziewiczyłeś pod tym względem! — pomógł Jules.

— Właściwie zaczęło się to jeszcze dawniej, kiedyśmy wojowali z andrusami po przedmieściach...

— Chodziło się z bokserem...

— Bokserem huknąć kogo w pysk, to padam do nóg!

— Otóż była wtedy wielka reduta. Ja byłem przebrany za pierrota. Po dwunastu kieliszkach założyłem się o flaszkę szampana, że w ciągu godziny zrobię jakąś awanturę aż miło. Jaką, sam jeszcze nie wiedziałem. Kręcę się po sali, a tu już trzy kwadranse minęło. Za mną Zdzych, Stach i inni świadkowie zakładu. Co tu robić? Całowałem i ścisnąłem maski, ale to świadkom nie wystarczało. Nareszcie się jednej dorwałem, która szła pod rękę z kozakiem. Zaczepiłem nie ją, ale kozaka, krzyknąłem nań z góry po rosyjsku: Brat, broś etu płot! Wybałuszyl na mnie oczy i zaczyna mi coś persadować — po polsku. Pasja mnie porwała. On — po polsku! A właśnie reflektor, ustawiony na galerii, rzucał na salę gamę różnych światel: zielone, czerwone, żółte, i nagle na krąg, w którym staliśmy krzycząc, padło światło fioletowe. Wtedy jakby na sygnał łupnąłem go w pysk, i jemu zapewne stało się przed oczyma ultrafioletowo. Komedia to była nie lada, bo w tej chwili także muzyka się wdała, zacząwszy grać: Boże wspieraj, Boże ochroń... Niespodziewanie awantura przybrała charakter polityczny, bo było to przed wojną. Na sali zaczęła się bitwa, ale goście chcący tańczyć wyrzucili ją do sąsiedniego pokoju. Guzy oberwała jedna i druga strona, aż w końcu wyjaśniło się wszystko przy 'kieliszkach mojego wygranego szampana.

— Czy to był kozak autentyczny? — spytał niedomyślny François.

— Ojej, jaki ty jesteś... przecież ci mówiłem, że to była reduta.

— Mnie raz na balu lepiej poszło — opowiadał Jules korzystając ze sposobności wspomnień balowych. W sąsiedniej sali restauracyjnej siada naprzeciw mnie bogacz taki, co to wiecie... jak ja mam dwa guziki u koszuli, to on ma trzy dziurki, a w każdej brylant, za który mógłby kupić mnie razem z moim ojcem i babką. I mówi do mnie po pijanemu: Możebyśmy zatańczyli cake-walka? A ja do niego: Może byśmy zatańczyli majufes? Sczerwieniął mój bogacz, pochyła się ku mnie i ochryplym głosem pyta: Co? co? czego pan sobie życzy? — Życzę sobie dać panu w mordę — odpowiadam i chlasnąłem go po nosie. On rzuca się na mnie, rycząc jak wół — wtedy poprawiłem i chłopczyk był wnet gotów. Zwalił się pod stół i stamtąd krzyczy: Pan mi zapłaci za cwikier! Teraz kelnerzy rzucili się na mnie — zapewne dawał sute napiwki — ale ja natychmiast puściłem w ruch swoje kułaki młynkiem boksowym... no i wycofałem się w porządku. Potem ciągnęli mnie po sądach, ale to już do rzeczy nie należy. Za cwikier zapłaciłem. Ale zresztą z zasady nie biję nigdy tak, żeby aż puszczać komu farbę z nosa.

Tu zauważyli, jak pasażer, który dotychczas niby spał pod oknem, obudził się już i

przysłuchuje się rozmowie. Kawał z cwikiem pokwitował krótkim śmiechem, podobnym do szczekania pincza. Następnie pokazał nagle jedną swą łapę podobną do pletwy, o barwie brązu, i oparł na stoliczku pod oknem tak ciężko, że deska aż zatrzeszczała. Właściciele pięknych futer z pełnym uznaniem z zapałem przypatrywali się tej dłoni, do której wnet się przyłączyła druga taka sama. Obie były zajęte rozdrapywaniem śniegu, pokrywającego szybę, po czym zniecierpliwiony pasażer jednym silnym chuchnięciem oczyścił dużą przestrzeń szyby i badał okolicę, która podczas jazdy mijała wstecz pociągu.

— Panowie nie wiecie, czy był już Rozporek? — zapytał.

— Nie było jeszcze, będzie za kilka stacji.

— A to mam jeszcze czas!

Obie jego ręce były teraz widzialne ogółowi. W milczeniu konstatowali ich istnienie trzech budrysi, nie wiadomo, czy z zazdrością, wyliczając sobie zapewne w duchu, ile pyskobić można by wykrzesać z takich rąk jak z rogu obfitości. Wreszcie Jean zabrał głos znowu, tym razem podnosząc go i akcentując słowa, zwrócone jakby w stronę nieznanego.

— Ja się nieco inaczej zapatruję na bicie w twarz do krwi, ale i ja już wiele razy spardonowałem. Mimo pozorów nie jestem zabijaką z natury. Ale jak na mnie przyjdzie chwila, to choćby to był sam Cyganiewicz czy filar betonowy, dostanie w mordę.

— Nawet filar betonowy dostanie w mordę! — powtórzył szybko François nadając tym słowom znaczenie jeszcze wyraźniej ostrzegające.

Jegomość pod oknem „śmiechoszczeknął”, a potem jakby się zmieszał lub zawstydził, bo schował łapy — lecz niebawem wyjął je znowu na wierzch i zaczął nimi wykonywać podejrzane manipulacje na swojej głowie, skrobiąc się w nią co chwila w stronę wspaniałych futer.

Jean ostentacyjnie odgiął futro z pobliza skrobiącego się indywiduum, dał wyraz obrzydzeniu, spluwając zgrubnie przez zęby na podłogę, po czym kontynuował swoje wspomnienia głosem stanowczym i groźnym.

— U mnie tylko raz skończyło się pojedynkiem. Miałem spór z pewnym oficerem, którego nazwiska wam nie wymienię, i zanosilo się na to, że albo on mnie uderzy w twarz, albo ja jego. Wybrałem to ostatnie i aby go uprzedzić, sam poszedłem do niego pod jakimś tam pozorem. Zdziwił się bardzo, siadł okrakiem na krzesło i zaczyna na mnie miotać tymi wszystkimi obelgami, które mu się nazywały na wątrobie. Ja czując, czym to się ma skończyć, palnąłem go z całej siły — a był to chłop morowy, wyższy i silniejszy ode mnie. Porwał się, ale uwikłał się w szablę, poprawiłem mu i wyniosłem się natychmiast. W pojedynku on dostał po ręce, ja pod ucho i tak się sprawa honorowo zakończyła. — Panie łaskawy, nie zbliżaj się pan do mojego futra, to nie poduszka! Najprzód pan się skrobie, potem pan się wyciera w nasze futra, kto pan jesteś?

Ten spod okna zadziaukał znowu.

— Podobna rzecz i mnie się zdarzyła — homeryzował teraz z kolei Jules. — Pokłóciliśmy się o mojego psa, który obszczekiwał utrzymankę mego przeciwnika. Choć był ogromny jak atleta, kołatnąłem go w głowę tak, że zgłupiał i — czy uwierzycie? Zamiast mi oddać, stchórzył i uciekł, a potem zaskarżył mnie do sądu. Przychodzi do rozprawy, a sędzia woła do mnie: niech oskarżyciel tam siada!... a do niego... niech mi oskarżony powie... Ależ panie sędzio, to pomyłka! — Co, pan jest oskarżycielem? — dziwi się sędzia i... phuuu! — wybuchła śmiechem, a razem z nim adwokaci, świadkowie i cały prześwietny trybunał. I jeszcze kilka razy sędzia tak się pomylił i phuuuu! trząsał się sąd od śmiechu.

— Ciekawym, jak ten olbrzym usprawiedliwiał swą bierność — pytał François. — Że też się nie wstydził...

— Cóż zrobić, gdy kto tchórz... On się skarżył, że został przeze mnie napadnięty „znie-nacka i podstępnie” — jak się wyraził jego adwokat. Skazano mnie wtedy na trzy dni aresztu z zamianą na 50 koron.

— To bardzo tanio!

— Ja to samo powiedziałem, wysłuchawszy wyroku. Sędzia upomniał mnie, ale ciągle trzymał chusteczkę pod nosem, śmiejąc się.

W śmiechu spod okna dosłuchali się przyjaciele tym razem jakby warczenia.

— Teraz ten facet jest trupem cywilnym! — dodał melancholijnie Jules.

— Ja z zasady — pouczał Jean — jeżeli biję w twarz, to już mocno, ażeby nie mieć potem dalszych konsekwencji. Nie rozumiem takiego bicia, jakie urządził ten poseł, który chciał skarcić jakiegoś redaktora. Wziął sobie świadków, wpadł do redakcji, zaledwie dotknął redaktora w brodę czy w wąsy i zaraz uciekł ze świadkami, aby co tchu zawiadomić inne redakcje o swoim bohaterskim czynie. Potem jeszcze chodził po ulicach jak triumfator. Takie głupie bicie nie jest w moim guście. Jak bić, to już z odpowiednim rozmachem, całą dłońią albo jeszcze lepiej kantem, i nie pod ucho ani pod nos, ani w kark, tylko akurat w mordę.

— To jest szkoła klasycznego pyskobicia — przytwierdzał z podziwem François.

— I zapewniam was moi drodzy, że w większości wypadków pyskobicie kończy się korzystnie dla tego, który zaczyna. Przede wszystkim wzbudza respekt u przeciwnika. Co do tego, to opowiem wam jeszcze taki epizod — a było to również już dawno. W teatrze siedział przede mną jakiś jegomość z długimi włosami, niby artysta, i ciągle coś szeptał do ucha swemu towarzyszowi. Przeszkadzali mi, psykałem na nich, mówię: panowie, cicho! Podczas przerwy zbliżył się do mnie ten artysta i pyta: Do kogo pan mówił: „cicho?”

— Do pana.

— Jakim prawem? Czy wiesz pan, kto ja jestem?

— To mnie nic nie obchodzi, pan masz cicho siedzieć. — Od słowa do słowa, przekomarzaliśmy się, kto ma stulić pysk, aż zastosowałem pyskobicie. On się uczeplił mego gardła, rozdarł mi krawatę, zaczęliśmy się szarpać, rozjęto nas, wymieniliśmy bilety. Na drugi dzień czekam na próżno sekundantów. Wieczorem miałem posiedzenie jakiegoś komitetu w moim pokoju, i pomyślcie sobie, ku mojemu najwyższemu zdumieniu, wchodzi także ten artysta... Ja witam go jako gospodarz, i zaproponowałem go potem na wiceprezesa. Zawarliśmy miłą znajomość i właśnie niedawno spotkałem go znowu w teatrze: siedział już ze swoją żoną o kilka miejsc przede mną i podczas przerwy podszedł do mnie, uśmiechnięty z zapytaniem: Czy pana to może jeszcze denerwuje, że przed nim siedzę? — O, bynajmniej, niech pan będzie łaskaw nie krępować się!... Ale niech no pan się trochę krępuje i nie dotyka mego futra.

— Ja także doświadczyłem tego samego — wytajemniczał się Jules. — Miałem raz romansik z niewiastą, której mąż, obskurna figura, był ogromnie zazdrosny i ciągle nam przeszkadzał. Aż raz przy sposobności grzmotnąłem go w twarz i to mu tak zaimponowało, że od-tąd nie zawadzał mi zupełnie, wynosił się dyskretnie, ile razy mi było potrzeba... Co ten pan u licha ma w głowie? Biedronki?

Tu człowiek spod okna zwrócił się nagle w stronę François i warknął:

— A pan?

Z miną tak sugestywną, że François od razu zrozumiał, iż teraz kolej na niego rzucać na ekran swoje pyskobójcze przygody.

— Nie mam jeszcze takich trofeów jak wy, ale już zacząłem niezgorzej. Niejaką praktykę mam jeszcze z czasów gimnazjalnych, kiedy dawałem się we znaki Żydom w święto Hamana. Tak dobrze mnie znali, że gdzie tylko była ich większa kupa, a ja wynurzyłem się na horyzoncie, przylatywał do nich czujny stróż i wołał: Leszczyński gajt! i zaraz rozpraszała się cała czereda. Ale potem mam na sumieniu jeden policzek przykry: wymierzyłem go po maturze profesorowi od filologii klasycznej za to, że mnie wciąż sekował. Biedny człeczyna, podobno tak sobie to wziął do serca, że podał się na pensję, a nawet się rozchorował.

Na tym skończyła się na razie wspianiała seria pomordobitych trupów cywilnych i nastąpiła pauza, którą nieznajomy podkreślił, szurgając nogami po podłodze i robiąc rękami gesty takie, jakby miał zamiar wstać i coś przedsięwziąć.



Młodzi ludzie porozumieli się wzrokiem i wyszli na korytarzyk.

— No, cóż zrobimy?

— Przecież nas rozmyślnie drażni!

— Ale po cośmy właściwie to wszystko opowiadali?

— Jak przed księdzem na spowiedzi!

— Co jego to wszystko obchodzi?

— To ten cham swoją bliskością wypatroszał nas ze wspomnień!

— Ciekawym zobaczyć, po co ta czerwona nitka, która mi wisi z gęby!

— Buch go w twarz!

— Buch go w pysk!

— Buch go w mordę!

— Buch go w mordę! — Powtórzyli wszyscy trzej unisono i śpiewnie jak w dramatach Rostworowskiego.

— Chyba we trzech damy mu rady!

— Na wszelki wypadek w otwartej torebce mam niemiecki kastet plebiscytowy.

— Tylko z zimną krwią, panowie! — upominał jeszcze Jean — nie dajmy się niepotrzebnie sprowokować.

Weszli na powrót do przedziału. Człowiek spod okna spojrzął na swój zegarek, potem wyegzaminowawszy jeszcze raz szklanym spojrzeniem towarzyszy podróży, zagadnął ich w ten sposób:

— Dotychczas słyszałem tylko o tym, jak panowie dawali w mordę, a teraz chciałbym się dowiedzieć, czy który z panów już brał w mordę?

Wszyscy trzej powstali od razu, kipiąc oburzeniem i zaciskając pięści. Uspokoił ich łagodnym ruchem wielkiej łapy, wykonanym w powietrzu.

— Proszę mnie nie rozumieć mylnie, moi panowie. Ta kwestia interesuje mnie teoretycznie i statystycznie, bo napisałem memoriał do Wysokiego Sejmu, żeby ustanowić jeden uroczysty dzień w roku, w którym by wszyscy mogli załatwić odroczone tudzież bieżące pyskobicia.

— Pan nie jest zwolennikiem policzkowania? — podjął dyskurs Jean. — Czy pan nie miał jeszcze nigdy w życiu sytuacji, w której pan widział, że jedynym wyjściem jest uderzenie w twarz? Ale przede wszystkim, gdy dżentelmeni z sobą rozmawiają, choćby nawet w podróży, powinni się sobie przedstawić. Moje nazwisko — Popiel.

— Moje Leszczyński! — rzekł François.

— Już słyszałem — potwierdził obcy, zwracając się kolejno w stronę Juliusza.

— Moje Wiśniowiecki!

Poczuł dotknięcie łapy nieznanego, które jednak było tylko zimne i ciężkie, lecz nie gniotące.

— Moje nazwisko — rzekł — jest nieco trudne do zapamiętania, dlatego wręczam panom swój bilet wizytowy — lecz broń Boże, nie wyzywam nikogo na pojedynek.

Pochylili się ciekawie nad ozdobną dużą kartą, podobną raczej do ofert firm handlowych, i wyczytali nazwisko:

### Val Codo d'Amor

— Wcale pan do amora niepodobny — zauważył Jules.

— Trafnie pan powiedział i to mnie właśnie martwi — mówił Val Codo z olśniewającą dobroduszością. — Bo nie chciałbym z nikim wejść w zatarg, który by się mógł skończyć tak paskudnie. Ja jestem właśnie akumulatorem miłości... ale to nie należy do rzeczy. Wracając do rzeczy: Czy nie zauważyli panowie, że teraz cała Polska od Gdańska do Śniatynia pierze się po pyskach i że należałoby coś nareszcie z tym zrobić?

— Czy pan myśli, że to tylko u nas? Na całym świecie panuje ten zwyczaj.

— Ach, ja nie pragnę usuwać tradycji narodowych, przeciwnie, przeciwnie... Przecież nasz wieszcz Sienkiewicz opowiada, że polski Pan Jezus praskał śmierć po pysku. Ale zdaje mi się, że zawsze tam, gdzie jedna strona bije w mordę, musi być druga strona, która bierze w mordę. To przecież jasne. I to branie w mordę jest bardzo ważne...

— Aha, pan jest filantropem — sztychł uspokojony już Jules. — Myśmy też zaraz przeczuwali w panu coś niby z księdza; gdy pan tak siedział wtulony w swój fotel, wyglądał pan jak spowiednik w konfesjonale.

— Bo też ja istotnie pochodzę z rodziny księży, jestem prawnikiem ks. Baudouina, tego, co to, jak panowie wiedzą, nadstawił drugi policzek. Musi być podział pracy.

— Ale niechże pan nam teraz wyjaśni, co to za nitka, którą pan ciągle żuje w ustach?

— Ach, to jest ta czerwona nić tradycji, o której wciąż piszą dzienniki.

— A skąd się pan nabawił tej wszawicy?

— O panowie, moja głowa, to nie byle jaka głowa! Gdzie się ta głowa nie poniewiera, gdybyście panowie wiedzieli! Po szynkach, po kawiarniach, po koszarach, po wiecach, po szkołach, po balach, po domach prywatnych...

— Bywalec z pana! Ale niech no nam teraz pan opowie jaką anegdotkę!

Val Codo żywo wstał ze swego konfesjonatu i przesiadłszy się naprzeciwko na środkowe miejsce tuż obok Julesa, jął opowiadać:

— Jak panom wiadomo, jadę do Rozporoka. To jest miścina nieduża, ale już głośna. Tam bowiem żyje pewien człowiek... pewien człowiek...

Tu położył poufale jedną dłoń na kolanie Juliusza, a drugą na kolanie Jana i mówił dalej z fanatyczną ekstazą:

— Albowiem jeszcze większą rozkoszą, proszę panów, niż bić po mordzie jest — brać w mordę!

Nachylili się ku niemu ponuro i zagadkowo.

— Tego właśnie człowieka w Rozporoku wszyscy biją po mordzie: starosta, dyrektor seminarium, generałowie i oficerowie, poczmistrz, ksiądz pleban, zwykli obywatele, nawet Żydzi i dzieci. Bo, proszę panów, on ma twarz, która — jak się to mówi — sama się prosi, aby ją bić w mordę. On ma twarz — ot taką!!

Twarz jego, która już od paru chwil dziwnie się mieniła, ustaliła się wreszcie w kształt potwornej dyni, jednak o cerze nadzwyczajnej, posiadającej urok dojrzałego jabłka, lub świeżej brzoskwini. Rurką hermafrodytycznych ust dmuchał na trzech budrysów kłębami zimnego powietrza, wydymając przez to jeszcze bardziej swoje nabrzmiałe policzki. Oczy zanikły mu prawie na tym globusie, ale świecił ich wyraz kuszący i złośliwy.

W milczeniu mijały sekundy. Młodzieńcom tłukły się serca.

— Czy panowie nie czują — spytał jeszcze Val Codo, cedząc słowa — że tu jest cokolwiek za zimno? Czy nie warto by uczynić coś dla rozgrzewki?

Warknął, zatarł ręce przed nosami trzech towarzyszy i popluwając w dłonie, gotował się jakby do jakiejś roboty.

Pierwszy ocknął się François.

— Wal w gębę, kto w Boga wierzy! — zawołał.

— Buch w pysk! — przytwierdził siarczyście Jules.

— Buch w mordę! — zdecydował poważny Jean.

— Buch w mordę! — powtórzyli unisono jak w dramatach Rostworowskiego.

Uroczyście zdjęli rękawiczki.

Pierwszy odwinął się Jean i z ogromnym rozmachem lunął w piękną cerę pana Val Codo d'Amor. Z drugiej strony łupnął go z całej siły w oblicze Jules.

— Teraz ty mały! — rzekł prawnik ks. Baudouina, wskazując na François.

Ten nie dał się prosić, wlaź na fotel i pięścią wyrzwał potwora w sam ryj.

Jean walił w cyferblat, Jules huknął go po fizjonomii, François wyrównał z drugiej strony, rypiąc go w papę.

Następnie Jean pomacał go w jadaczkę, Jules strzelił mu w jaszczyk, a François zamalował go w paszczkę.

— Zaczekajcie, panowie, chwilę — rzekł niezrównany obiekt pyskobicia — zrobimy porządek z zębami.

I pociągnawszy za czerwony sznureczek, wystający z ust, rozdziawił je jak mógł najszerzej. Z ust posypały się na ziemię wybite zęby, na kształt ryżu wysypującego się z dziur torebki powojennej.

Po tej operacji przystąpiono do dalszych rękoczynów. Zaczął na odmianę François: głośnał widziadło mocno po buzi; pośpieszył mu z posiłkami Jules i trzasnął to lichu w ordynarny jego visage; zakończył Juan i gruchnął je w plugawe lice. Następnie już bez kolejki łomotali człowieka rażno w portal, psuli mu jego facjatę, ujeżdżali mu pięściami w bramę, kropili go w telefon, wlepiali mu apuchtiny, łaskotali go po gębuli, tłukli go w makutrę, i bęc, i bęc, łup, łup, szast, szast, bili go w mordę od ucha do ucha. Razy szły coraz rażniej, jak hepanie cepów na klepisku u coraz częściej nieznajomy pociągał za czerwony sznureczek, aby wypluć zbyteczne już zęby.

Ale w miarę swego rozjuszenia trzej sojusznicy czuli, jak morda Val Codo coraz bardziej twardnieje i przyszła im jedna i ta sama złowroga myśl:

— Beton!!

Wstrzymali się na chwilę i spojrzeli na siebie wzajemnie jakby po to, żeby się znowu porozumieć. Ale Val Codo nie dopuścił do tego. W chwili wolnej od brania w mordę, gęba jego rozszerzyła się nagle w śmiech szeroki jak u księżycy w pełni i coś zaryczało w nim, dudniąc triumfalnie, w piersiach, w brzuchu, aż do nóg. Tego nie mogli wytrzymać i jakby magnetycznie przyciągnięci, bili go dalej po mordzie, automatycznie opadając z sił i podwajając swe siły. Bili go pięściami i kantami dłoni już bez wyboru, po gębie, po głowie, w uszy, w kark, walili go we wszelkie walory jego przypuszczalnego ciała — a wszędzie znajdowali mordę!!

Aż im dłonie popuchły, a zza paznokci pokazała się krew.

Val Codo zaś rozparł się wygodnie na fotelu, ujawszy się łapami za wydatne uda, które odpowiednio rozszerzył.

Odpadli od niego jak opite pijawki i odpoczywali dychając ciężko.

On zapalił cygare i czekał litościwie. Po czym jednak wyjął zegarek, zafrasował się i zagasiwszy cygare, rzekł:

— Dojeżdżamy już do Rozporka; jeżeli panowie mają jeszcze trochę skorzystać, nie można zwlekać. Panowie już cokolwiek odpoczęli... Nuże, buch go w mordę!

— Buch go w mordę! — odpowiedziała zrozpaczonym szeptem nieszczęsna trójka i dźwignęła się jakby na rozkaz. Pomału jednak weszli znów we właściwy rytm, ale ręce nie trafiały już porządnie w cel, ślaniali się na nogach, wzrok ich zamglił się, aż stała się rzecz straszna:

Zrazu przez pomyłkę, potem z coraz większym rozwścieczeniem zaczęli się wzajemnie między sobą prać i prażyć po mordach, odczuwając to jakby ulgę po nienaturalnej operacji, dokonywanej na bałwanie. Wleźli mu na kolana jak niesforne dzieci, szczypali i drapali się po twarzach, targali się za włosy, darli na sobie krawatki, a z pięknych futer leciał wyskubany puch...

— Rozporek!

Pociąg stanął nagle, szum i zamęt w głowach ustał a zmęczona trójka zapragnęła naraz snu. Val Codo zrzucił ich na kanapki, obmacał każdemu ubranie i wyciągnawszy ich portfele, oznajmił:

— Jako honorarium biorę sobie od każdego z panów tylko ekwiwalent dwóch dolarów

po kursie urzędowym. Bardzo tanio, a rzetelnie zapracowane. Reszty nie tykam.

I ciągnącymi krokami jak kaleka wysunął się powoli z przedziału. Pociąg stał jeszcze. Zwycięzeni zwycięzcy, odegnawszy sen, całym wysiłkiem woli rzucili się za nim na korytarzyk. Już go nie było. Otwarli okno, patrząc z wytężeniem w czarne zwały nocy, naładowane pod dachem peronu.

Jacyś posługacze wieźli coś na dużych taczkach. Był to czworogranny przedmiot kształtu szafy. Ktoś szedł przodem, niosąc pod pachą jakąś dużą kulę zawiniętą w szmaty.

— Czy odśrubowałeś mu łeb? — zapytano z tyłu.

— No, a jakże! Przykryjcie go teraz pokrowcem, aby się nie poziębił, wiecie, że niedawno miał zapalenie nerek.

— Niesmarowany wewnątrz oliwą!

— A więc jazda!

— Jazda! — zawołał także konduktor pociągu i dalsze zajścia na peronie w Rozporoku pograżyły się dlat rzęch młodych ludzi w paszczy niewiadomego.

Wrócili do przedziału i wśród sterty porozrzucanych futer szukali gorączkowo jakiegoś biletu wizytowego.

Wreszcie go znaleźli i podnosząc wysoko ku lampie, słabym wzrokiem wyczytali napis odmienny niż ten, który im został w omylnej widocznie pamięci. Napis głosił:

**KOWADŁO MORDA**  
**prawnuk księdza Baudouina**  
**automat do bicia w mordę**  
**wynajmuje się obywatelom**  
**Rozporek, ul. Długie Uszy 1.44.**

Teraz poszukiwali jeszcze czegoś na ziemi, skąd lśniło ku nim kryształową bielą. Dotknęli podłogi, rozcierali to coś między palcami... był to świeży śnieg.

— Skąd się tu wziął? — mruknął Jules. — Czyżby przez otwarte okno?

François udawał, że już śpi.

— Zdaje się, Julku, że dostaliśmy od kogoś w... E, do diabła, co mnie to obchodzi! — szepnęła Jean do siebie, zasypiając. Dobranoc, chłopcy! — dodał głośno.

— Dobranoc, Jasiu! Buch...

— Buch...

— Et, stulcie pyski i śpijcie.

MICHAŁ CHOROMAŃSKI

## KRZYŻÓWKA

Golił się przed lustrem i myślał:

„Franek mnie zastrzeli, na pewno zastrzeli. Trzeba powiedzieć, żeby nikogo do mnie nie wpuszczali. Ale jak to zrobić? Zdjąć z drzwi kartkę, że do Grzegorza Hysza należy dzwonić dwa razy. Wszystko jedno, zadzwoni, niech nawet raz, i zapyta Zagajkę, czy tu mieszka doktor Hysz. Proszę bardzo, proszę bardzo, drzwi na prawo. Nie słyszałem, żeby wychodził. Albo jeszcze gorzej, drzwi otworzy pani Kubłakowa, powie: ktoo, czeego, i od razu cofnie się

do kuchni. Franek poruszy wąsikami, powie szarmancko: dziękuję bardzo, i przejdzie przez przedsionek. Kubłakowa ma przeszło osiemdziesiąt lat i ledwie powłóczy nogami. Zagajłło przynajmniej jest tęgi, ale też podszyty tchórzem, za drzwi się z pewnością nie wychyli, jeżeli postyszy strzał. Zresztą, mój Boże, cóż to za nonsens. Oczywiście, że się zaciąłem. Trzeba będzie potem przyłożyć kawałek papieru. Dlaczego nonsens? Franek może wieczorem obserwo-  
wać dom z ulicy. Jeżeli w naszym mieszkaniu pali się światło tylko w narożnym pokoju, wiadomo będzie, że jestem w domu. To domyślna kanalia. Nie będzie dzwonił, zacznie dobijać się pięścią. Zasłoni sobie chustką usta i powie zmienionym głosem, że to telegram. Potem, nawet nie wchodząc, wystrzeli wprost przez szparę kilka razy. Będzie celował w pierś i w brzuch, bo mówił że trafieni w brzuch najwięcej się męczą. Znowu nonsens. Po co by miał hałasować, z pewnością zbiegliby się lokatorzy z innych mieszkań. A może nie. Kto postyszy strzał z rewolweru, kiedy na całą klatkę schodową rozlegają się dźwięki głośników? Będę rzeźił wraz z jakąś taneczną melodią. Ta sama krew, która teraz miesza się z mydłem, zaleje moją koszulę i ubranie. Mydlę się zupełnie różową pianą, obrzydliwość. Czy to maszynka do golenia się rozkręciła, czy też drży mi ręka? Po co zmieniać ostrze, to tylko skóra ze strachu zrobiła się niewrażliwa. Nie wiem, czy ze strachu skóra może stwardnieć. Dlaczego przycho-  
dzą mi do głowy same niedorzeczności? Życie to nie kryminał, życie jest znacznie prostsze. Skąd Frankowi do rewolweru? Wszystkiemu winien ten telefon. I po co on dzwonił?! Franek mnie zabije. Niekoniecznie z rewolweru, zadźga mnie nożem. Jak to on powiedział przez telefon? Grzegorz, chcę się z tobą dziś zobaczyć. Głos miał przy tym taki przymilny. Trzeba się umyć”.

Otworzył kran i umył sobie twarz zimną wodą. Potem zwilżył włosy mokrą dłonią. Wydało mu się, że woda trochę go orzeźwiła, ale kiedy rozejrzał się po łazience, zobaczył, że wanna, zlew, ręczniki patrzą na niego, obce i nieznajome. Kiedy szedł przez przedsionek, wydało mu się, że znajduje się w cudzym mieszkaniu. Nie poznał własnego pałta wiszącego na wieszaku. Jakiś brązowy kapelusz wisiał obok. Przecież to nie mój kapelusz. Na miłość boską, kto chodzi w brązowym kapeluszu? Franek! Zatrzymał się i ręką pomacał kapelusz. Nie bądź osłem. To kapelusz Zagajłły. Dlaczegoż ja go w takim razie nie poznaję? O, masz tobie! Podszedł do wejściowych drzwi. Drzwi nie są zamknięte na łańcuch, łańcuch zwisa. To nie do wiary. A klucz? Spróbował klucza w zamku. Tak jest. Drzwi są niezamknięte. Ciarki przeszły mu po grzbiecie i uczył leciutkie mrowienie na policzkach. Kto osioł? Jakiś osioł zostawił drzwi otwarte. Trzeba zrobić z tym porządek. Starej Kubłakowej wszystko wylatuje z pamięci. Zaraz zawieszę łańcuch i przekręcę dwukrotnie klucz w zamku, o! Trzeba po prostu skrzyknąć jej syna, kiedy ją odwiedzi. Panie inżynierze, niech pan wpłynie na swoją matkę, żeby zamykała drzwi. Mogą się zakraść do mieszkania i wszystko wynieść. Człowiek nie jest pewny ani dnia, ani godziny. Oczywiście nie chodzi o złodziei, ale o Franka. Szkoda, że nie mogę o tym powiedzieć. Ciekaw jestem, czy i w pokoju wszystko wyda mi się obce. Otóż to.

Wszedł do swego pokoju, w pantoflach, w spodniach i w rozpiętej koszuli. Na przegubie łokcia zwisał mu włosy ręcznik, a w garści trzymał przyrządy do golenia. Obejrzał pokój tak, jak gdyby widział go po raz pierwszy w życiu. To było zadziwiające! Nieprzytulny, nie zamieszany przez nikogo lokal. Nie, w tym pokoju nie można czuć się bezpiecznym. Gdzie lusterko? Czy wciąż jeszcze krwawię? O, leży pod gazetą. Wziął do ręki kieszonkowe kwadratowe lusterko i przyjrzał się w nim sobie z trwożną ciekawością. Czyjeś nieznajome, zielonkawobrazowe oczy patrzyły na niego. Ciekawe, czy można nie poznać własnej twarzy. Dziwne. Przecież patrzę na samego siebie z ciekawością, a twarz w lustrze patrzy na mnie z wyrazem lęku. Kropla krwi ciekła mu po podbródku. Oderwał kawałek gazety i przyłożył do ranki. Papierek przykleił się i od razu zrobił się czerwony. Wtem głośne pukanie rozległo się w przedsionku. Już? Żadna inna myśl nie przyszła mu do głowy. Ktoś się dobija. Niemal podskoczył na krzeselku, potem zamarł. Głośny, nieoczekiwany dzwonek rozbrzmiewał po całym

mieszkań. Dlaczego nigdy przedtem ten dzwonek tak głośno nie dzwonił? Oczywiście, że nie otworzę. Zagajło jest w domu. O, coś mamrocze w przedpokoju. Czy już otworzył? Klak. To łańcuch opadł i uderzył o futrynę.

— Kto zamknął drzwi? Wyniosłam śmieci, wracam, a drzwi zamknięte!

Nic się nie stało, to głos Kubłakowej. Niech krzyczy. Przynajmniej domowe codzienne hałasy.

Usiadł na łóżku i zaczął wzuwać buty. Palce miał nieposłuszne. A jednak drżą mi ręce, dlatego się zaciałem. Że też dzisiaj, po tym telefonie, zobaczyłem krew. I zobaczyłem te moje, niby własne, piwne oczy. Franek lubi piwo. Przyjdzie do mnie na pewno po kilku butelkach pilznera. Sięgnie do kieszeni i wyjmie jakiś kozik. Znowu o tym samym! Zadźgać człowieka nożem, to nie takie proste. Trzeba będzie nie spuszczać oczu z jego rąk. Co to może, kiedy Franek jest o głowę wyższy ode mnie? Mam siły w mięśniach tyle, co piętnastoletni chłopak. Obrzydliwość. Jeden but już gotów. Teraz drugi. Te sznurowadła są stare i strzępią się na końcach. Dlaczego Franek ma przyjść do mnie, skoro chciał się ze mną umówić w mieście? Nonsens. W bezludnym miejscu się z nim nie spotkam. W kawiarni nic mi nie może zrobić. Miał więc jakiś inny plan. Zadzwonił o ósmej rano, bo wiedział, że jeszcze jestem w domu. Czy dobrze zrobiłem, że odpowiedziałem mu tak obcesowo? Może nie. Może lepiej było grać na zwłokę. Na pewno wyczuł, że ja się go boję. Dziwne, że nie od razu poznałem jego głos w słuchawce. — Grzegorz, zadzwoniłem tak wcześnie, bo wiem, że z pewnością wybierasz się do kościoła. — A kto mówi? — Franek. — Zamilkłem. Zamiast zawołać jednym tchem: A, dzień dobry ci, Franku — milczałem. Minęła może minuta, zanim się odezwał. — Czy jesteś? — Jestem. — Dlaczego mówisz takim słabym głosem, nic nie słychać. — Ja nie mówię słabym głosem, to na pewno w słuchawce coś brzęczy, Franku. — Aha, tak jest lepiej, znacznie lepiej. Doskonale cię słyszę, jesteś klawy chłop, Grzegorz! — Dlaczego wspomniał o kościele? Czy dlatego, że dziś niedziela? Nie. Bo...

Zawiązał sznurowadła i noga opadła mu na podłogę. Nagle sprężył się i tułowiem, czujnie, przechylił się naprzód. Jednocześnie zrozumiał, co znaczyło słowo kościół. Jak mogłem wtedy nie zrozumieć, co to miało znaczyć? Jednocześnie ostry dzwonek rozległ się znowu w przedsionku. Nie poznawał dźwięków. Znowu ktoś się będzie dobijał do drzwi. Dzwonek dzwonił w różnych odstępach, a jednak nie poznawał, że to był telefon. Niech dzwonią, to nie do mnie. Mimo to słuchał, stuknęły drzwi i wyszedł Zagajło. To dobrze.

— Słucham. Koogo?

Może to syn Kubłakowej. A może pomyłka. Zaraz powie: po-mył-ka. Co?

— Zaraz poproszę.

— Co? — Słuchać było kroki i ktoś zapukał do jego drzwi. — Zaraz poproszę? Kogo? Mnie?

— Kto tam? — spytał.

— Do pana telefon.

— Do mnie?

Wstał. Niech to diabli wezmą. Znowu do mnie telefon. Może ze szpitala. Niech i tak będzie, wszystko jedno, kto dzwoni, zawsze raźniej. Wyszedł do przedsionka, zapinając na sobie koszulę. Telefon stał na etażerce, a słuchawka zwisała na sznurze na tle białej ściany. Jeszcze się z lekka obracała, kiedy wziął ją do ręki. Można będzie umówić się z kimś i pójść dajmy na to do operetki. Nie! Sam do domu wracać nie będę. Ale zobaczymy najpierw, kto to jest. Przyłożył słuchawkę do ucha i powiedział ucieszonym głosem:

— Jestem przy aparacie, tu mówi doktor Hysz.

— Hysiu — powiedział ktoś.

— Słucham, nie poznaję głosu.

— Nie poznajesz głosu, Hysiu? — powtórzył ktoś.

— Kto mówi? — zakrzyknął.

— O, teraz to ja twego głosu nie poznaję, dlaczego krzyczysz, masz czas.

Uczuł wstrętą słabość z początku w nogach, potem w całym ciele. Trzeba coś mówić. Byle zaraz. Nic mi nie przychodzi do głowy. Nie wolno go zrazić. Więc spokój. Trzeba coś powiedzieć, bo milczenie trwa zbyt długo. Zaczął się w słuchawce, widzę go, jak zwisa na aparacie. Trzeba powiedzieć coś zupełnie naturalnego. Za późno, bo już krzyknąłem. Trach! błysło mu w mózgu, n a s r o z ł ą c z o n o.

— Nas rozłączono — powiedział. Głos wydobywał mu się z krtani słaby i drżący. Obrzydliwość.

— Kto nas rozłączył? Dlaczego milczałeś, Hysiu? — powiedział ktoś.

— Ja nie milczałem, to telefonistka.

— Jaka telefonistka? — powiedział ktoś.

— Nie wiem. Rozłączyła nas i dlatego mnie nie słyszałeś.

— A skąd wiesz, że ja ciebie nie słyszałem, Hysiu?

Złapał, złapał mnie. Szeroko rozwartymi oczami patrzył przed siebie, na ścianę. Tynk był tandetny, a ściana porysowana. Trzeba coś mówić, prędzej.

— W słuchawce była cisza, dlatego pomyślałem, że nas rozłączono.

— Jaka cisza, kiedy słyszałem twój oddech, Hysiu.

— Nie rozumiem, czego chcesz!

— O, tak jest lepiej, znacznie lepiej — powiedział ktoś.

Był to tenor, zawadiacki, śpiewny tenorek.

— Ty ją zwymyślasz, Grzegorzu?

— Kogo zwymyślam?

— No tę babkę.

— Jaką babkę, Franku? Co ty wygadujesz!

— Telefonistkę. Znowu milczysz?

— Nie milczę, Franku, po prostu nie rozumiem, czego się czepiasz.

— Kto? Ja? Coraz lepiej. Jesteś klawy, Grzegorzu.

— Słucham.

— Mówię, że jesteś klawy.

— Więc?

— Ale niezupełnie. Niezupełnie jesteś klawy. Rozumiesz?

Rozpinał i zapinał na piersi guzik.

— Czy jesteś wstawiony, Franku?

— Broń Panie Boże!

Tenorem w membrane coś mruknął, wydało mu się, że: „ciuc-ciuć”. Uspokoił się trochę i czuł, że głos mu okrzepł. Byle wytrzymać parę minut i nic po sobie nie dać poznać. Może Franek naprawdę jest wstawiony. Może dlatego po raz drugi telefonuje. Pijanego mniej się boję niż trzeźwego.

— Grzegorzu — powiedział tenorek.

— Słucham.

— Grzegorzu — powtórzył tenorek. — Dlaczego nie chcesz się ze mną dziś zobaczyć?

— Powiedziałem ci już, Franku, że jestem zajęty.

— A do kościoła nie poszedłeś?

Znowu uczul słabość w nogach. Kościół. Wciąż powtarza o tym kościele. Wiedział, że głos mu się zaraz załamie, coś omdlewającego czuł w gardle.

— To ty coś wspomniałeś o kościele, ale nie ja, Franku.

— Czy jesteś religijny, czy też zaziębiony — powiedział z troską tenorek.

— Nie jestem zaziębiony.

— Masz głos taki słabiuchny. A może to telefonistka?

— Żadna telefonistka, mówię do ciebie zupełnie normalnie.

— Pilnuj zdrowia, Grzegorzu — powiedział tenorek.  
— Dlaczego mam pilnować zdrowia?  
— O, znowu masz ten sam głos. Pójdź do laryngologa, do koleżki.  
— Nie zwracaj mi głowy, Franku.  
— O, wreszcie! Zupełnie dobrze. Męskie słowo. To odłóż słuchawkę, skoro cię irytuje.  
— Naprawdę, irytujesz mnie!  
— Nie trzeba się irytować, Hysiu, a fe... Grzegorzu!  
— Słucham.  
— Grzegorzu — powtórzył tenorek unizonym tonem — bądź dobrym koleżką.  
— Jestem, Franku.  
— Doskonale. Chcę z tobą porozmawiać, zanim cię zobaczę leżącego w kościele.  
— Dlaczego leżącego? — spytał mdlejącym głosem. — W kościele siedzą.  
— Nie wszyscy. Można i leżeć.  
— Nie rozumiem.  
— Krzyżem, powiadam, leżeć krzyżem.  
Otarł sobie twarz ręką i westchnął. Był spocony, chłodnym, lepkiem potem.  
— Czy ty westchnąłeś, czy to mi się tylko wydało?  
— Westchnąłem, bo coś tam baj durzysz.  
— Bajdurzę? To odłóż słuchawkę, ofermo jedna!  
— Już raz to dzisiaj zrobiłem, idź się prześpij.  
— Kiedyż ja, dziękuję, spałem tej nocy bardzo dobrze. Więc nie chcesz się ze mną zobaczyć?

— Ja dziś jestem zajęty.

— No, to przepraszam — powiedział tenorek przymilnie.

Ze słuchawką przy uchu czekał. W membranach było cicho, słuchawki widocznie nie odłożono. Wtedy ostrożnie nacisnął palcem widelki.

Wrócił do pokoju i znowu wydało mu się, że nigdy przedtem w pokoju tym nie był. Łóżko było nie posłane, na prześcieradle leżały rozrzucone nogawice niebieskiej piżamy. Można było pomyśleć, że nogawice gdzieś biegną w panice. Panika to trafne słowo. Uciekłbym chętnie na prowincję. Zaszyć się w jakieś dziurze, w jakimś prowincjonalnym szpitalu i przeczekać parę lat. Z pewnością by mnie nie odszukał. Ale na to trzeba czasu. A co będzie jutro? Może naprawdę lepiej pójść do szpitala, mimo że się ma wolny dzień. Posiedzieć w dyżurce i napić się kawy. Powiem, że przechodziłem obok i wstąpiłem. Zażyję też coś na uspokojenie.

Zawiązał brązowozłocisty krawat i włożył brązową marynarkę. Zapiął ją na guzik i rozpiął. Franek mnie zabije. Na pewno zabije. Bawił się guzikiem, aż czuł, że zwisa mu na jednej nitce. O, trzeba to przyszyć. Zdejmę marynarkę i przyszyję guzik. O, ręce mi już nie drżą. Jest lepiej, znacznie lepiej. Wzdrygnął się. To on tak powtarzał, że znacznie lepiej. Nie trzeba o tym myśleć. Po prostu zapomnieć. O, biorę do rąk igłę i nitkę i... Ręce mu tak skakały, że wyglądało, jak gdyby poruszał nimi naumyślnie, w górę i w dół, jak gdyby igła i nitka były kukiełkami, którymi się bawił. Obrzydliwość. Podszedł słabnąc do okna, patrzcie! Ta sama ulica, a jednak wygląda, jak gdyby była w innym mieście. Przechodnie szli w ciemnoszarych, workowatych ubraniach. Drzewka już były jesienne. Zobaczył budkę z gazetami na rogu i niemal że się przestraszył. Ta sama budka stała na rogu, koło mieszkania Franka, pamiętał, jak kiedyś czekał koło niej na niego. Kiedyż to było? Brr... To mi się wszystko wydaje, jestem u siebie w domu. Stałem przy oknie, bo myślałem, że będzie lepiej widać ucho igielne. Jakie to wstrętne.

Nie mógł opanować swoich rąk, nitka z igłą, w podskokach, mijały się w powietrzu. Oparł się łokciem o framugę okna, rękę podniósł do ust i poślinił nitkę. Dom to jeszcze pół biedy, najgorsze z tym chodzeniem do szpitala. Trzeba było przejść pięć przecznic od przy-



stanku tramwajowego. O zmroku na ulicach już zupełnie pusto. Franek wyłoni się z jakiejś bramy, nawet wiem z której. Pod arkadami. Tam jest podwórze o podwójnym wyjściu. Nonsens. Będzie się bał, że zacznę krzyczeć. A kto posłyszysz? A jak posłyszysz, to czy wybiegną na ulicę? Każdy będzie się cieszył, że to się nie jemu przytrafiło. Znam tych drani. Najwyżej wyjrzą przez okno. Zresztą wtedy będzie już za późno. Mój Boże, jak mnie mdli. Nie przyszyję guzika!

Położył igłę i nitkę na parapecie. Coś go ścisnęło w dołku i uczył przykre łechtanie. Nudności wzbierały w nim i szły do góry do przełyku. Najlepiej się położyć! Położył się w butach na łóżku. Piżamowe spodnie wystawały spod niego, biegnąc. W uczuciu mdłości było coś kołyszącego, „to od zmiany poziomów”, pomyślał. O, jest mi trochę lżej. O mało nie krzyczał: aaa! — tak bolesna była myśl o telefonie. Przypomniawszy sobie, że Franek telefonował tego rana po raz drugi, i uświadomił sobie, dlaczego to robił. Pastwił się nade mną! Wyobraził sobie samego siebie klęczącego przed Frankiem ze złożonymi jak do modlitwy dłońmi. A może się zlituje? Obrzydzenie nie tyle ogarnęło go, co po nim się rozlało, i znowu przemieniło się w nudności. Zabije, z pewnością zabije. Mówił, że w kościele są nie tylko siedzące miejsca... Mam wrażenie, że jestem spocony.

Pomacał sobie kark — był mokry. Ciało przy dotknięciu wydało mu się obce, „najlepiej nie zagłębiać się” — pomyślał. Wyobraził sobie, że wchodzi do szpitala i wkłada kitel. Tak, lepiej myśleć o tym, to uspokaja. Pielęgniarka mówi, że ordynator się spóźni. Wszędzie biel, pachnie lekarstwami, a na szklanej płycie niklowego stolika w dyżurce stoi flakonik z kwiatkami. Był do pana telefon — powie pielęgniarka. — A kto dzwonił? — spyta nastroszony. — Jakiś pan. Powiedział, że się nazywa Franek i że pan doktor będzie wiedział kto.

Niech tak będzie, wszystko jedno, pójdę do szpitala. Leżał jednak nieruchomo, z rękami wyciągniętymi wzdłuż tułowia. Ku jego przerażeniu w przedsionku rozległ się wibrującą nutą dzwonek. Świdrujący, bezduszny dźwięk uderzył go po nerwach. Dlaczego się boisz, to nie on. On mieszka koło budki z gazetami, na drugim krańcu miasta. To do Zagajłły. Dziś wszystko się powtarza dwa razy. Dwa razy telefon, dwa razy Zagajłło wychodzi do przedpokoju i otwiera drzwi. Nerwowo się poruszył, przewrócił się na bok i oparł się o dłoń. Nasłuchiwał.

Zagajłło wyszedł do przedsionka, słyhać było, jak drepcze nogami w pantoflach. Klak! To już było. Znowu łańcuch uderzył o odrzwia. Dureń! Dlaczego nie zapytał przedtem, kto dzwoni!

— Pan do kogo? — zapytał Zagajłło.

Nic nie było słyhać. A jednak to nie do niego. Może do Kubłakowej.

— Owszem, jest w domu — powiedział Zagajłło.

Nic nie było słyhać. Na pewno ten ktoś stoi jeszcze w klatce schodowej i rozmawia przez próg. Nagle posłyszawszy szarpnięcie, jedno, a potem drugie.

— Proszę bardzo, proszę bardzo — powiedział Zagajłło — zapuka pan do tych drzwi.

— Dziękuję bardzo — odpowiedział znajomy głos.

Zerwał się i usiadł na łóżku. Kosmyk włosów zwił mu na czoło. Ktoś kostkami palców zapukał do drzwi kilkakrotnie.

— Proszę — powiedział odruchowo, nie zastanawiając się.

Drzwi uchyliły się z początku ledwie, ledwie, jak gdyby ktoś chciał zajrzeć tylko przez szparkę, potem rozwarły się szerzej i do pokoju wszedł jakiś mężczyzna słusznego wzrostu. Jedną rękę trzymał jeszcze na klamce drzwi, a w drugiej trzymał pudełko cukierków. Był w spiczastych, gładkich półbucikach i na sobie miał wąskie, niczym dudki, spodnie, niebieskie, z prążkowanego aksamitu. Bury sweter z szalowym kołnierzem opinał mu wzniesione do góry barki, miało się wrażenie, że chce ukryć głowę w ramionach. Elegancki motylek, niebieski w czerwone groszki, usiadł mu na kołnierzyku pod grdyką. Nie mógł oderwać od niego oczu.

— Franku — powiedział.

— Koleżko — powiedział mężczyzna. Postąpił jeszcze krok naprzód i z wolna przy-

mknął za sobą drzwi.

Drzwi skrzypiały okropnie, rozdzierająco, na cały dom. Potem wszystko ucichło. Oparł się dłońmi o materac, wysilił się i wstał. „Koniec — pomyślał — to już koniec”.

— Powiedziałem ci, że idę do szpitala — powiedział.

— Właśnie — powiedział tenorem mężczyzna.

Brązowa marynarka, ze zwisającą na niej niteczką zamiast guzika, leżała na krzeselku. „Włożyć ją i powiedzieć, że już wychodzę” — pomyślał.

— Brzydki szpital — powiedział mężczyzna. Dopiero teraz zdjął z głowy pluszowy, jak u Zagajłły, kapelusz.

Był to ciemny brunet i wijące się upomadowane włosy przechowywały ślady grzebie-  
nia. — Brzydki szpital — powtórzył z wyrzutem mężczyzna — jak chcesz, to ci opowiem.

— Nie mam czasu, Franku. Daję słowo, że już się spóźniłem.

Mężczyzna westchnął. Zerknął w bok, na stół, potem na stole położył kapelusz. Usiadł na wolnym krzeselku obok. W ręce wciąż trzymał pudełko cukierków.

— A fe — powiedział.

Miał ciemne, prawie czarne, bardzo błyszczące oczka, których wyraz był pełen kare-  
sów. Miał czarny, puszysty wąsik, który się poruszał, gdy się uśmiechał. Miał dołek na pod-  
bródku. „Koniec, to już koniec. Patrzę na niego i nie ruszam się. Jak to wygląda?” — pomy-  
ślał. Przełknął ślinę.

— Dlaczego mówisz: a fe, Franku? — powiedział.

— Bo zatelefonowałem od razu po naszej rozmowie do szpitala i powiedziano mi, że  
dzisiaj doktor Hysz nie ma dyżuru. Brzydki szpital.

Uczuł, jak kolana się pod nim ugięły. Złapał, znowu złapał! Mężczyzna patrzył na niego  
pieszczotliwie. Wtedy, żeby nie upaść, oparł się dłonią o plecy krzeselka i usiadł, wprost na  
marynarkę.

— Zgniecie się — powiedział mężczyzna.

— To nic — odpowiedział.

— Tak jest lepiej, znacznie lepiej, Grzegorzu. Niech się gniecie.

— Skąd telefonowałeś, Franku?

— Z cukierni na dole — odpowiedział mężczyzna.

— Mów, Franku, prędzej, czego chcesz? — powiedział.

— Skąd ten papierek? — powiedział nagle mężczyzna.

— Jaki papierek?

— Albo ja wiem, jaki. Papierek.

— Mówisz zagadkami, Franku — powiedział.

— Nie mówię zagadkami, a mówię papierek. Czerwony.

— Nie widzę żadnego czerwonego papierka.

— Na buzi — powiedział mężczyzna.

Pokrył się chłodnym potem i mimo woli cofnął się tułowiem.

— Jaka buzia?

— O Chryste, jakież on niedomyślny!

Mężczyzna wskazującym palcem podrapał się po podbródku. Jak gdyby dawał mu coś  
do zrozumienia. Odruchowo podniósł rękę i dotknął palcem podbródka również.

— Nie z tej strony — powiedział mężczyzna — z drugiej.

Wtedy pomacał się z drugiej strony i w palcach pozostał mu zakrwawiony papierek,  
skraweczek gazety, którym zalepił ranę.

— Zaciałem się przy goleniu — powiedział.

— Aj, aj, aj — potrząsnął głową mężczyzna. Wąsik mu się poruszył i pod nim ukazała  
się lśniąca biel zębów. — Mówiłem ci, uważaj na zdrowie, Hysiu. Ten tylko się dowie, kto  
cię straci. Wieszcz powiedział. Jesteś doktorem, a nie umiesz trzymać w rękach brzytwy.

— Nie jestem chirurgiem, Franku.

— Co ty mówisz? Nieuźeli! Zapomniałem, że jesteś analityk.

Dopiero teraz mężczyzna położył na rogu stołu pudełko z cukierkami. „Trzeba uważać na jego ręce” — myślał patrząc mężczyźnie na rękę: miał grubą, z czerwonego złota obrączkę, a na piątym paluszku pierścionek z rubinkiem. Mężczyzna złożył na brzuchu, pod swetrem, obie ręce i zaczął kciukami kręcić młynka. Widać było, że się nie śpieszył.

— Przyniosłem ci coś słodkiego na ce — powiedział mężczyzna.

— Jak to na ce? — spytał nie zrozumiawszy. Wciąż czekał na coś strasznego.

— A krzyżówki rozwiązujesz?

— Rozwiązuję.

— A więc coś słodkiego z pięciu liter, zaczyna się na ce.

„Cukierki!” — pomyślał. Mignęło mu przed oczami to słowo i wydało mu się, że ma znacznie więcej liter niż pięć. Chciał policzyć i nie mógł. Nonsens!

— Cukier! — wyrzekł.

Mężczyzna patrzył na niego z uśmiechniętą pobłażliwością.

— Analityk, a nie może zgadnąć — powiedział. — Krzyżówka to nie medycyna, trzeba myśleć. Czy ty, Hysiu, myślisz, kiedy masz przed sobą chorego?

— Myślę — odpowiedział, znów słabnąc.

— Nieuźeli? — powiedział mężczyzna.

„Zaraz zacnie o tym mówić” — trajkotało mu w głowie. Zarazem obślizły bezwład rozplynał mu się po całym ciele. Trzeba odwrócić jego uwagę od tego tematu, ale jak? Nic mi nie przychodzi na myśl. Zaraz zacnie o tym mówić. I rzeczywiście:

— Jestem chory — powiedział oblesnie mężczyzna.

Milczał.

— Dlaczego milczysz, Grzegorzu? Jakież z ciebie lekarz, skoro milczysz, kiedy pacjent użala się przed tobą na chorobę. Czy jesteś lekarzem?

— Jestem.

— Słabiuchny masz głosik. Jak w telefonie. Mówiłeś, że to telefonistka, a fe.

Poruszył się nagle na krześle. Nie wiadomo skąd, ale odnalazł w sobie jeszcze trochę siły.

— Gały ranek zawracasz mi głowę, Franku — wykrzyknął półgłosem.

— Niegrzecznie — odpowiedział mężczyzna.

Za drzwiami słyhać było, jak Zagajłło rozmawia z Kubłakową. Na pewno wychodzi z domu. Za oknem zakwilił klakson. Potem wszystko znowu zamarło.

— Wiesz, że jestem od ciebie starszy wiekiem — powiedział mężczyzna.

— Wiem — odpowiedział. Znowu oklapł na krześle.

— Rozmawiaj ze mną jak ze starszym, dobrze?

Milczał.

— O czym to myśmy mówili?

— O telefonistce.

— Nie, Hysiu, to nieładnie. Mówiłem o tym, że jestem chory. Czy nie jestem chory?

Milczał.

— Telefonistko! — wyrzekł z widoczną przyjemnością mężczyzna. — W szpitalu do ciebie powinni mówić nie panie doktorze, a pani telefonistko. Kiedyś ty ukończył wydział medyczny?

— Niedawno.

— Bardzo niedawno, Grzegorzu. Jesteś jeszcze niedoświadczonym medykiem. Powiedz: tak czy nie?

— Tak — odpowiedział.

— Widzisz, Grzegorzu. Tak jest lepiej, znacznie lepiej. Nie jesteś jeszcze doświadczono-

ny. Masz dwadzieścia kilka lat. Chałata lekarski na tobie leży jak siodło na krowie. Przychodzi do ciebie koleżka i mówi: jestem chory, panie doktorze. Co trzeba odpowiedzieć? Milczysz? Proszę, pani telefonistko, nas nie rozłączać!... Trzeba się grzecznie, Hysiu, zapytać: na co pan jest chory? Wtedy odpowiem: mam przywidzenia.

— Tak — wyszeptał bezdźwięcznie.

— Nieuźeli? — powiedział mężczyzna. — Pan doktor z praktyką staje się coraz lepszym diagnostą. A dlaczegoż to, ofermo jedna, w obecności profesora powiedziałeś, że nic mi nie jest?

— Nic się przecież takiego nie stało — odpowiedział z tym samym wstrętnym drżeniem w głosie. Wydało mu się, że ręce i nogi miał z waty.

Mężczyzna przestał obracać kciukami, rozplótł palce i dłoń położył na pudełku z cukierkami.

— Jeszcze się nic nie stało, ale mogło się stać — powiedział. — Przyszedłem do ciebie, żeby się spytać, panie doktorze, co się dzieje z mymi uszami.

— Z uszami? — powtórzył ze strachem.

— Tak jest, z uszami. To nie krzyżówka, to twój fach, więc powinienesz szybko zgadnąć. — Mężczyzna podniósł rękę do twarzy i pograżył w uchu paluszek z rubinem. Potem paluszkciem w uchu potrząsnął. — Co mi jest? — powiedział z udanym zdziwieniem.

— Słyszysz głosy — odpowiedział ledwie dosłyszalnie.

— Bravo! — zawołał mężczyzna. — Zdałeś egzamin, będziesz dyrektorem kliniki! Mam przywidzenia i słyszę głosy.

Przez chwilę czarne oczka mężczyzny ściemniały jeszcze bardziej i nagle zmatowiały. Patrząc na niego pomyślał z nieoczekiwaną nadzieją: „Franek darował mi życie”. Wszystko, nawet wąsik, nawet obrzydliwa fryzjerska uroda twarzy, wydało mu się drogie.

— A sen? — spytał nagle mężczyzna.

„Co za sen? Jaki sen?” — myślał zgubiony. Radosna nadzieja przeszkadzała mu się skupić. Darował. Najstraszniejsze jest już poza nami.

— Co za sen? Ty śpisz dobrze, Franku — powiedział.

— Nieuźeli? — znowu tenorkiem powiedział mężczyzna. — Pan doktor znów nawala.

Przełknął ślinę.

— Nie nawalam. Po prostu sam mi przez telefon powiedziałeś, że spałeś dobrze — powiedział.

— A ty o tym zapomnij — powiedział mężczyzna. — Zapomniałeś?

— Zapomniałem — odpowiedział.

— Więc zacznijmy od początku. A sen? — spytał mężczyzna.

— Masz koszmary, Franku — powiedział.

— Dostateczne!... — westchnął z zadowoleniem mężczyzna. Jedną rękę trzymał na kolanie, a drugą na pudełku z cukierkami. Wąsik poruszył mu się i znowu łysnęły białe, równe zęby.

Czuł w sobie radosną usługę i czuł, że głowa pracuje mu sprawniej. Już się zaraz udobrucha. Zaproponować mu łapówkę. „Łapówkę” — pomyślał i ni stąd ni zowąd zamigotały mu w oczach ampułki.

— Franku... — zaczął.

— Patrzcie państwo, już pan doktor wydobrał? — powiedział mężczyzna.

— Franku — powtórzył — chcesz, ja ci naszykuję parę pudełek morfiny.

— Hysiu, znowu brykasz — odpowiedział z wyrzutem i godnością mężczyzna. — Ja się pokątnym handlem nie zajmuję.

„Oj, źle” — pomyślał.

— Myślałem, że ci się przysłużę — powiedział.

— Patrzcie państwo, pan doktor je z ręki — powiedział mężczyzna.

Milczeli.

— Ja się pokątnym handlem nie zajmuję — powiedział mężczyzna potem. — Mnie wystarczy moja prywatna inicjatywa. Do mnie klienty po morfinę nie przychodzą, ale po chlebek, maselko i delikatesy. Mam klientelę poważną, nawet jeżeli pijak wejdzie do sklepu, to od razu trzeźwieje. Pijak, jak to było z pijaństwem, Grzegorzu? — nagle spytał mężczyzna.

Przeląkł się znowu.

— Nie przypominam sobie żadnego pijaństwa — powiedział.

— A kto przez telefon powiedział, że jestem pijany? Czy jestem pijany, Hysiu, jak się tobie wydaje?

— Nie jesteś pijany.

— Nieużeli?... A więc z egzaminem skończone. Alkoholizmu nie stwierdzono — mówił mężczyzna poruszając szybko palcami i po pudełku, i po kolanie. — Teraz została tylko krzyżówka.

„Odczep się! — chciał zawołać, ale się bał. — Jeszcze trochę, żeby prędzej sobie poszedł” — pomyślał i uczył, jak wargi mu się same rozsunęły w przypochlebnym uśmiechu.

— Wciąż żartujesz z tą krzyżówką — powiedział słabym głosem.

— Przyuważyłeś! — powiedział tenorkiem mężczyzna.

Nie odrywał oczu od jego rąk. Nagle mężczyzna podniósł rękę z kolana i położył ją obok drugiej na pudełku. Teraz dopiero zauważył, że papier, w którym zawinięte było pudełko, upstrzony był wedlowskimi pieczętkami. „Skąd Wedel w niedzielę?” — pomyślał na wpół przytomnie. Czerwona wstążeczka owiażywała pudełko przepisowo nie na krzyż, ale przez cztery rogi na skos. Mężczyzna ostrożnie dwoma palcami zsunął wstążeczkę z jednego rogu. Paluszek z rubinkiem sterczał mu przy tym do góry.

— Widzisz, niedługo z tobą bawiłem — powiedział mężczyzna.

— Niedługo — powtórzył.

— Zaraz sobie pójdę, tylko pokażę ci, że to nie cukier.

Papier nagle pękł na rogu i wyrzało zza niego coś ciemnego i czerwonego. „Przecież to nie pudełko” — pomyślał czując z powrotem mdłości. Mężczyzna włożył palec do dziurki i szarpnął papierem, rozrywając go od rogu do rogu. „Cegła!” — pomyślał.

Zawinięta w podarty wedlowski papier leżała przed nim cegła.

— Mówiłem ci, że z pięciu liter na ce — powiedział tenorkiem mężczyzna i włożył na głowę kapelusz. — Nie umiesz rozwiązywać krzyżówek, Grzegorzu, a fe. Bywaj, koleżko — dodał jakby obrażonym tonem, otworzył drzwi i wyszedł do przedsionka.

Podreptał za nim tylko do progu. Mężczyzna spokojnie pochylił się, zdjął łańcuch i przekręcił klucz w zamku. Nawet ani razu na niego nie spojrział. Potem otworzył drzwi wejściowe i zniknął w klatce schodowej. Jak przez sen, stąpając na palcach, przeszedł do przedsionka i wyrzał za nim. Na schodach zamierały kroki.

Wtedy byle jak zamknął drzwi i wrócił co prędzej do pokoju. Cegła leżała na stole. „Cegła, cegła, cegła, cegła, cegła” — trajkotało mu w głowie. Oparł się dłonią o ścianę i nie wytrzymał. Zemdliło go i zwymiotował, śliną i powietrzem.

JANUSZ MEISSNER

## DZIWNY PASAŻER

Depesza, jak zwykle w takich wypadkach, była lakoniczna:

„Fokker 319” wylądował przymusowo 17 kilometrów na północny zachód od Warszawy, w majątku Pleszów. Podwozie poważnie uszkodzone. Załoga i pasażerowie zdrowi. Przysłać pomoc.

Boruń.

— Znów? — zapytał inżynier Karnicki.

— Tak, znów Boruń — powiedział dyrektor Rogowicz i zamyślił się. — To już czwarty wypadek w ostatnim półroczu — dodał.

— Ciekaw jestem, czy miał na pokładzie „dziwnego pasażera”.

— Chyba pan w to nie wątpi? Z pewnością opowie nam tę samą historię, którą słyszeliśmy już kilkakrotnie. Myślę, że on się skończył zupełnie jako pilot. Tu ma coś nie w porządku — dyrektor stuknął palcem w czoło.

— Przypuszczam: dziesięć lat w lotnictwie wojskowym, front francuski i radziecki, a potem jeszcze osiem lat na linii pasażerskiej! Cztery czy pięć katastrof (nie z jego winy zresztą), złamanie ręki i kilku żeber, wybicie zębów, i w dodatku trzy rany od kul. To chyba dosyć na jednego człowieka. Boruń na ziemi jest kłębkim nerwów. Czasami robi na mnie wrażenie wariata. Ale czy widział go pan w powietrzu? Ja leciałem z nim kilkakrotnie; jak on panuje nad maszyną! Jest chyba więcej ptakiem niż człowiekiem.

— Mimo to, nie mogę nadal narażać życia pasażerów, którzy z nim lecą, i całości samolotów, które pilotuje.

— Innymi słowy — Boruń przestanie latać?

— No, tak; trudno — dyrektor rozłożył ręce.

Zapanowało krótkie milczenie. Obaj myśleli o losie starego wygi powietrznego: nie można było zostawić go po tyloletniej pracy bez możliwości zarobkowania. Ale na ziemi Boruń był do niczego...

— Wiem już — uśmiechnął się Rogowicz. — Zaproponuję mu stanowisko konwojenta poczty na pośpiesznych samolotach pocztowo-pasażerskich. Będzie mógł nadal latać, a zarazem unieszkodliwi się go jako pilota.

W ten sposób dalsza kariera Borunia została przesądzona, zanim zdążył wytłumaczyć ostatni wypadek.

Tłumaczył go zresztą, jak wszystkie poprzednie, według przewidywań dyrektora.

Wyleciał z Gdańska punktualnie o godzinie drugiej, mając na osiem miejsc w kabinie siedmiu pasażerów, a miejsce obok siebie nie zajęte. W Bydgoszczy lądował o 3 minut 10 i zabrał stamtąd jeszcze jednego pasażera, który wolał siedzieć obok niego. Wystartował o 3.20, po próbie silnika na lotnisku.

Wszystko było jak najlepiej do Modlina. Przelatując po lewej stronie Wisły, nieco na zachód od miasta, Boruń odwrócił głowę i zajrzał do wnętrza kabiny. Wtedy zobaczył, że ósmy fotel jest zajęty przez „dziwnego pasażera”.

Osobnik ten, za każdym razem jednakowo ubrany w brązowy płaszcz sportowy, włochatą miękką czapkę i kraciasty szalik, znany już był pilotowi z poprzednich wypadków. Za każdym razem jego tajemnicze pojawienie się w maszynie zwiastowało awarię, jeśli już nie katastrofę.

Boruń był zupełnie pewien, że z Gdańska leciało siedmiu pasażerów. W Bydgoszczy wsiadł ten jeden, który zajął miejsce obok pilota. Boruń sam zamykał drzwiczki gondoli i pod przysięgą mógłby stwierdzić, że ósmy fotel był nie zajęty. Jakim sposobem pasażer w brązowym płaszczu dostał się w czasie lotu do szczelnie zamkniętej gondoli — Boruń nie wiedział.

W każdym razie, jego pojawienie się nie wróżyło nic dobrego.

Jakoż, po paru minutach, silnik przestał nagle działać. Boruń natychmiast wyszukał równe pole i, zorientowawszy się co do kierunku wiatru, zaczął lądować.

Mój Boże, ileż to razy lądował przymusowo w miejscach zupełnie do tego nie odpowiednich! Siadał na zboczach górskich, między płotami, na szosie, na leśnych polankach i na zrytych okopami terenach w czasie wojny. Wychodził przecież cało — on i jego maszyna. Świadczą o tym chlubne opinie z osiemnastoletniej służby pilota.

Tym razem pole było równe jak stół; wielkie ściernisko po koniczynie. Żadnej bruzdy, żadnego rowu, nic, co mogłoby spowodować wypadek. A jednak... Podwozie odeszło, jak ścięte nożem; nastąpił gwałtowny kapotaż. Szczęściem, nic się nikomu nie stało.

Dziwny pasażer w brązowym płaszczu? — Znikł naturalnie: po otwarciu drzwi od kabiny, wyszło z niej siedem osób.

Tu Boruń zmieszał się widocznie.

— Ja wiem, że pan dyrektor uważa mnie za niespełna rozumu — powiedział, jękając się. — A jednak było z pewnością tak, jak mówię. I nikt we mnie nie wmówi — uniósł się nagle — nikt we mnie nie wmówi, że to przywidzenie! Dziwny pasażer był w kabynie; widziałem go, jak panów widzę teraz.

Inżynier Karnicki kiwał z politowaniem głową.

— A inni pasażerowie? — zapytał spokojnie. — Czy oni też zauważyli obecność tego osobnika w brązowym płaszczu?

Pilot nie odpowiedział. Stał ze spuszczoną głową i milczał.

— Panie Boruń — zaczął łagodnie Rogowicz — czy pamięta pan wszystkie wypadki z dziwnym pasażerem?

Boruń spojrzał na niego, a potem na inżyniera. Był widocznie w najwyższym stopniu zdenerwowany i rozdrażniony. Błądł i czerwieniał; oczy biegały mu niespokojnie.

Rogowicz mówił dalej:

— Za pierwszym razem, lecąc do Lwowa, utrzymywał pan, że w Warszawie wsiadło do maszyny pięciu pasażerów, a w tej liczbie ów jegomość w brązowym płaszczu. Przyleciawszy na miejsce zauważył pan brak tego właśnie pasażera. Jednak sprzedaliśmy wówczas nie pięć, tylko cztery bilety. I rzeczywiście, nie pięciu pan miał pasażerów, tylko czterech.

— Zapomniał pan dyrektor dodać, że wtedy właśnie pękł wał korbowy przy próbie silnika na lotnisku — zauważył Boruń.

— Mniejsza z tym. Musiał pęknąć wcześniej czy później: w jednym wykorbieniu była wewnętrzna wada. Wypadek rzadki, ale w zupełności usprawiedliwiający pęknięcie. Nie o to też chodzi. Kołując z hangaru, zawadził pan o słup na skraju lotniska i uszkodził pan skrzydło, prawda?

Pilot w milczeniu skinął głową. Potem coś chciał powiedzieć, ale tylko machnął ręką z rezygnacją.

— W miesiąc później, lądując bez żadnej przyczyny — bo jak potem sprawdzono silnik był w porządku — lądując między Tczewem a Bydgoszczą, uszkodził pan podwozie. I znów mówił pan o dziwnym pasażerze, który jakoby miał znajdować się w kabynie przed lądowaniem. A przecież w Gdańsku stwierdzono, że nikt podobny z opisu do tego człowieka nie leciał z panem.

Boruń i tym razem chciał odpowiedzieć, ale dyrektor już ciągnął dalej.

— Przedostatnie rozbitcie maszyny między Krakowem a Katowicami usprawiedliwił pan znowu niesamowitą obecnością „dziwnego pasażera”, który miał wsiąść do samolotu na

rakowieckim lotnisku, do Katowic zaś nie przybył wcale. Tak pan przynajmniej twierdził. A przecież wszystkich ośmiu pańskich pasażerów przywieziono samochodem na miejsce. Tych właśnie ośmiu, którzy wsiedli w Krakowie. Dziś wreszcie...

Tu Boruń wybuchnął: niechże mu nie wmawiają, że jest wariatem. Dobrze wie, co mówi! Tym razem wszyscy pasażerowie mogą poświadczyć, że widzieli człowieka, którego tylekroć opisywał.

Karnicki chciał zapytać pasażerów.

— Nie można się przecież ośmieszać — powiedział Rogowicz.

Nazajutrz zawiadomiono Borunia o decyzji dyirekcji. Zbladł, milczał chwilę, jakby odrzuony tym ciosem, a później uśmiechnął się gorzko.

— Dobrze — oświadczył krótko, przygryzając wargi.

Szybko zaznajomił się ze swoimi nowymi obowiązkami. Nie były one trudne: w ciasnym przedziale pocztowym za kabiną pasażerską było jednak dość miejsca, aby wygodnie w czasie lotu segregować paczki i listy.

Latał stale na jednym odcinku: Warszawa—Gdańsk przez Bydgoszcz i z powrotem. W czasie przelotu nad Bydgoszczą zrzucał worek z pocztą na małym jedwabnym spadochronie i odbierał komunikat radiowy o stanie pogody na pozostałym odcinku drogi. W Gdańsku, a w powrotnej turze — w Warszawie — oddawał pozostałą, już rozdzieloną pocztę do dalszej ekspedycji. To wszystko.

Stał się małomówny i ponury. Tylko przy kieliszku zaczynał gadać. I niezmiennie opowiadał wówczas historię o dziwnym pasażerze.

Uważano go za dziwaka i nieszkodliwego wariata, lecz ponieważ obowiązki swoje spełniał bez zarzutu, przestano się nim zajmować.

Tak minęła jesień i nadeszła zima.

Brunatnopłową ziemię otulił pewnej nocy puszysty, biały kożuch śniegu. Tylko tory kolejowe, szosy i drogi szerniały wkrótce, znacząc jednostajną biel linijkami błyszczących szyn i tasiemkami kolein wozów. Tylko sterczały nagie ramiona przydrożnych drzew, spod bufiastych czap i okapów śniegu wyłaniały się ciemne plamy lasów i brudnoszare zręby miejskich domów, ciasno stłoczonych u zbiegu dróg-tasiemek i błyszczących linijek-torów.

Mroźne ranki zasnuwała mgła ciężka i lepka, trzymająca się nisko nad ziemią, a czerwone, stygnące słońce zachodziło wcześniej za ołowiane chmury. Wichry dęły zimnem z północy, albo miotały chmarami śnieżnych płatków, usypując nowe zasy i wydmy. A potem szły wyiskrzzone, szklane dni ciszy i kłującego w oczy blasku. W powietrzu tężał mróz i ciął twarze pilotów tysiącem lodowatych brzytw.

Mimo to ruch na liniach lotniczych nie zmniejszył się i dopiero w połowie grudnia zaczęły się małe niedokładności, powodowane najczęściej mgłą.

Zwiększono środki ostrożności, ale mgły, zwłaszcza na odcinku między Bydgoszczą a Gdańskiem, bywały nieraz tak gęste, że przelot opóźniał się czasem o kilka, a nawet kilkanaście godzin.

Boruń pracował nadal jako konwojent poczty i zdawał się być pogodzony w zupełności ze swym losem.. Przestał nawet wspominać o „dziwnym pasażerze”. Zwierzał się teraz tylko niekiedy przed dawnym kolegą i przyjacielem, Jerzym Ortwinem, który zresztą albo wcale tych zwierzeń nie słuchał, albo, wzruszając ramionami, odpowiadał krótko i niezmiennie: „Bujda, mój kochany”.

Jerzy Ortwin był po Boruniu najstarszym pilotem linii. Ale jego nerwy, zamiast stargać się i rozprzęgnąć po kilkunastu latach powietrznych emocji, zahartowały się na stal w licznych niebezpieczeństwach zawodu lotnika. Ortwin nie uznawał przesądów i nie stosował się do tradycyjnych zwyczajów większości ludzi powietrza. Był człowiekiem, którego nie



byle co mogło wyprowadzić z równowagi. A już najmniej niesamowita postać dziwnego pasażera, zwiastująca katastrofę.

Pewnego popołudnia, kiedy jak zwykle Boruń i Ortwin mieli wylecieć z Warszawy do Gdańska i właśnie kończyli palić ostatniego papierosa przed startem, podszedł do nich inżynier Karnicki.

— Lecę z wami — oświadczył, zatulając się szczelnie w futro i poprawiając okulary. — Muszę być wieczorem w naszym oddziale gdańskim. Jest miejsce, prawda?

— Tylko jedno, obok mnie — powiedział Ortwin.

— Mamy dwunastu pasażerów. Pan jest trzynasty — zauważył Boruń.

Karnicki spojrzał na niego uważnie.

— Wierzy pan w feralność trzynastki?

Boruń wzruszył ramionami.

— Już wychodzą — powiedział.

Istotnie, z poczekalni wyszło dwanaście osób. Numerowi nieśli za nimi walizki.

— Chodźmy — powiedział Ortwin.

Zajęli miejsca; inżynier obok pilota, Boruń za kabiną pasażerską, w przedziale pocztowym.

— Gotowe — usłyszał Karnicki jego głos przez telefon pokładowy.

Startowy zatrzasnął drzwiczki gondoli. Silniki, pracujące dotąd na małym gazie, ryknęły pełną mocą przy próbie. Mechanicy wyjęli podstawki spod kół. Samolot ruszył wprost od hangarów pod wiatr, uniósł ogon, nabrał pędu, podskoczył lekko na jakimś kretowisku, i aż jeszcze musnął pneumatykami ziemię i już stromo parł w górę nad Łazienkami, ku Wiśle.

Poczty nie było wiele. Przygotowawszy worek z przesyłkami dla Bydgoszczy, Boruń odwrócił się tyłem do stolika i w zamyśleniu patrzył przez szyby kabiny w dół.

Tyle razy przemierzał ten szlak, prowadząc maszynę jako pilot! Znał każdy zakręt Wisły, każdą wieś i każdy folwark. Pamiętał każde skrzyżowanie dróg i nieledwie każdą ścieżkę w tych okolicach, nad którymi teraz znów przelatywał.

Biała płaszczyzna tam w dole zdawała się przesyłać mu przyjazne powitanie miliardem drobniutkich błysków śniegu, odbijającego promienie słoneczne.

Kto inny dziś siedzi za sterem — myślał z żalem. — Kto inny wita i żegna wzrokiem znajome brzegi Wisły, czarne mosty i skulone na mrozie miasta. Kto inny panuje nad nieobjętą, nieskończenie daleką przestrzenią powietrznego szlaku.

Nagle uświadomił sobie przyczynę tej zmiany: „Dziwny pasażer”... Dawno go już nie widział — prawda! — I po raz pierwszy zbudziły się w jego umyśle wątpliwości: może naprawdę ta zjawa, ten człowiek w brązowym płaszczu zwiastujący za każdym razem katastrofę — był tylko wytworem podnieconej imaginacji?

Poruszył się niecierpliwie: wiedział przecież z całą pewnością, że nie!

Spojrzenie jego padło w tej chwili do wnętrza pasażerskiej kabiny.

Skamieniał.

Przetarł oczy i spojrzał znowu.

Tak, on tam był. Dziwny pasażer!

Wszystkie fotele były zajęte. Boruń widział wyraźnie przez szybę sylwetki pasażerów, siedzących wzdłuż okien. Policzył. Było ich dwunastu. Lecz na środku korytarza, między fotelami, przechadzał się trzynasty...

Boruń poznał go od pierwszego rzutu oka: ta sama szczupła, wysoka postać, ten sam dziwny uśmiech małych, czerwonych ust, ta sama pociągła, blada twarz. Włochata sportowa czapka, brązowe palto i kraciasty szalik na szyi.

Siedział jak zahipnotyzowany, lecz myśli leciały mu przez głowę jak błyskawice. Jedna z nich wyrwała go z bezruchu:

— Uprzedzić Ortwina!

Kurczowo chwycił mikrofon i zaczął z trudem wyrzucać z siebie słowa, które więzły mu w gardle.

Nagle w słuchawce usłyszał zniecierpliwiony głos pilota:

— Bujda, mój kochany! Nie wygłupiaj się.

Próbował go przekonać; błagał, aby mu uwierzył.

Na próżno. Więc opadł na fotel i czekał w jakimś dziwnym odrętwieniu mięśni i zmysłów.

Nie słyszał sygnałów radiostacji. Nie odebrał komunikatu meteorologicznego. Nie zrzucił poczty w czasie przelotu nad bydgoskim portem lotniczym, a na pytanie Ortwina, czy to uczynił, odpowiedział machinalnie: — Gotowe — nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, co mówi.

Oslupiałym wzrokiem patrzył na postać dziwnego pasażera, w mózgu miał pustkę, a w sercu falujący coraz potężniej niepokój. Lada chwila musiała nastąpić katastrofa. Czekał na nią. To było wszystko, co pozostało w jego świadomości.

Dopiero po dłuższym czasie zauważył, że samolot wszedł w mgłę. Za szybami gondoli wlokły się leniwe tumany, spowiły ziemię i niebo w nieprzeźroczyste szare zawoje, pędziły niby kłębiące się masy szarego popiołu, Ignęły do okien, ciemniały, parły coraz potężniejszymi zwałami, gęste, groźne, zdradzieckie.

Ortwin na pewno leciał po omacku, na chybił trafił obliczając kurs.

Jak długo to już trwało?

Boruń nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie przyszło mu na myśl spojrzeć na zegarek. Triumfował: w takiej mgle pilot musi zbłądzić, m u s i !

Wtem usłyszał jego głos. Ale nie odpowiedział.

Nic teraz nie powie. Nie, psiakrew! Niech sobie radzą sami, skoro go uważali za wariata.

Mgła gęstniała. Ciemno było jak w nocy. Dokoła lekko balansującej gondoli przelewał się mętny, kłębiasty, rudawoszary mrok. Samolot zdawał się grzęznąć w nim, tonać, a wreszcie — wisieć nieruchomo, z lekka tylko wznosząc się i opadając w przechodzących pod nim próżniach i falach powietrza.

Katastrofa jednak nie przychodziła.

— Musi przyjść — pomyślał z niezachwianą pewnością Boruń.

Czekał na nią każdym nerwem swego ciała, każdym drgnieniem świadomości. Wiedział, że nadejdzie. Zaskoczy pilota, powikła jego ruchy, sparaliżuje na jeden krótki moment koordynację mózgu i mięśni, wyda go na łaskę losu, tylekroć zwyciężanego. To było nieuniknione, logiczne i konieczne, jak nastanie nocy po dniu i śmierci po życiu.

W jakiejś chwili pokład kabiny przechylił się gwałtownie.

— Już! — buchnęło na Borunia.

Ale to nie było to. Samolot wolno podnosił się z wirażu. Znów leciał poziomo, lecz ciągle na oślep — w tej mgle.

Potem nagle ścichł silnik i Boruń przez chwilę doświadczał tak dobrze znanego uczucia lekkości, które daje się odczuwać w czasie lotu bez gazu.

Teraz — pomyślał.

Serce waliło młotem: teraz... teraz... już... za chwilę...

Liczył sekundy.

— Raz, dwa, trzy... dziesięć... piętnaście...

Zawarczał silnik. Maszyna wyrównała poziom lotu.

Więc jeszcze nie.

Napięcie nerwów dochodziło do ostatnich granic. Boruń niemal czuł uderzenie o ziemię, wsłuchiwał się w łoskot i trzask łamanych podłużnie i wiązań, który musiał teraz nastą-

pić; widział, jak wyłamują się skrzydła i pęka gondola; jak z samolotu pozostaje tylko stos szczątków i jak potem bucha płomień pożaru...

Czekał, czekał, czekał...

I nagle, przez szybę dotychczas obrośniętą mgłą, zobaczył światła. Ocean światła, gdzieś daleko w dole, na samym dnie granatowego mroku. A potem ciemną plamę wśród śniegu i — jak nożem odcięte od białej płaszczyzny ziemi — morze.

Dolatywali do Gdańska. Z późnego zmierzchu wypadły wśród błyszczących, żółtych światełek ostre, białe jak płynna stal smugi reflektorów: na lotnisku dostrzeżono już maszynę.

Wtedy Boruń poczuł, że wszystka krew zbiega mu do serca.

Katastrofa nie nastąpiła!

— Pan ma nadzwyczajną intuicję — powiedział Karnicki do Ortwina, gdy wreszcie dostrzegli przez resztki mgły dalekie iskierki światła miasta. — Prawdziwy cud, że nie zbłądziliśmy.

— To nie cud i nie intuicja. Nazywa się to instynkt. Ptasi instynkt. Nie pierwszy raz lecę przez mgłę. Choć, co prawda, takiej mgły dawno już nie spotkałem. To jednak dziwne, że Bydgoszcz nie zawiadomiła nas o tym. A może... No, ale trafiliśmy, to grunt. Nie ma się czym przejmować.

— Jak pan myśli, co się tam stało Boruniowi?

— Hm, zapewne wyłączył mu się mikrofon. A to co u licha?! — wykrzyknął nagle ujmując silniej drążek sterowy.

— Co takiego?

— Ster sam się poruszył! Znowu! Co to jest?

Drążek zakołysał się mocniej w obie strony. Maszyna kładła się za jego ruchami na burty, pomimo usiłowań pilota, aby utrzymać ją w linii lotu. Dopiero po dłuższej chwili wróciła do równowagi. Ale Ortwin ciągle jeszcze odczuwał dziwne, mocniejsze, to znów słabsze drgnięcia steru.

— Coś jest nie w porządku ze sterami — wyjaśnił. — Dobrze, że lotnisko mamy pod wiatrem: nie trzeba kłaść maszyny w zakręt.

Karnicki denerwował się.

Jeżeli linki sterowe spadną z rolek... jeżeli zostaną zerwane lub są przetarte...

Ortwin też był zaniepokojony nieustannymi drganiami steru. Z trudem prowadził maszynę do lądowania. Dopiero kiedy dostali się w obręb światła reflektorów i samolot równo przytarł kołami i płożą, odetchnęli z ulgą.

Maszyna zatrzymała się tuż obok hangaru. Ortwin pierwszy zeskoczył na ziemię, otworzył drzwiczki kabiny pasażerskiej i spojrzał ku końcowi ogona. Stery nadal się poruszały, co sprawiało wrażenie, że samolot jest jakimś żywym stworem.

— Niech pan popatrzy — powiedział do Karnickiego. — Co to może być?

Wtem błysnęła mu jakaś myśl.

Podszedł do przedziału pocztowego, wsunął klucz do zamka i przekreślił. Zatrask odskoczył. Ukazało się ciemne wnętrze. Pilot włączył kontakt i cofnął się o krok, błady jak ściana.

Na podłodze gondoli klęczał zgięty we dwoje Boruń i dysząc ze zmęczenia, wielkimi nożycami usiłował przeciąć lewą linkę sterową.

Prawa, już przecięta, zwisała luźno u przeciwniejszej burty.

JERZY SZANIAWSKI

## PRZYGODA ODMŁODZONYCH

Niewielkie a śliczne miasto uniwersyteckie położone nad brzegiem jeziora szczyliło się swoją historią, pięknem i profesorem, który „odmładzał”. Wprawdzie chluba miasta, profesor Bin, był już jedenastym, który w ostatnich czasach odmładzał ludzi, ale jego metoda uchodziła za najlepszą. Na czym zabiegi lekarskie polegały, naprawdę nie wiadomo. Podobno, jak i u innych odmładzaczy — głównie na „zastrzykiwaniu”.

Do sanatorium profesora Bina przyjeżdżali ludzie starzy a bogaci. Przyjeżdżali zwykle z dalekich stron, w mieście nad jeziorem nie mieli ludzi bliskich. Przyjaźnili się między sobą, jak zwykle przyjaźnią się znajomi w miejscowościach kuracyjnych, w których spędzają kilka tygodni czy miesięcy. Zaznaczyć należy tylko, że między mężczyznami w tym sanatorium, a płcią piękną, tym piękniejszą, że odmłodzoną, nie było daleko posuniętego flirtu, który jest tak rozpowszechniony wśród różnych kuracjuszków: mężczyźni woleli kobiety spoza swego zakładu. To rzucało może nawet pewien cień na doskonałe wyniki metody profesora Bina... Ale poza tym wszystko było jak najlepiej.

Pewnego dnia grupka mężczyzn z sanatorium, złożona z ośmiu czy dziesięciu osób, kończących już niedługo kurację, postanowiła się trochę zabawić. Zabawić jak ludzie naprawdę młodzi, to znaczy pójść na daleki spacer, wspiąć się na wzgórze, a gdyby na drodze zabłąkała się jakaś postać niewieścia to zapewne... krew w człowieku nie woda... Ale nie mieli żadnych sprośnych myśli i to należy zapisać na korzyść metody profesora Bina. Jego wychowawcy czuli się dzisiaj naprawdę młodzi. Szli wesoło nad jezioro, każdy z nich niósł lekko kilkadziesiąt lat, rozmawiali głośno, co chwila wybuchali śmiechem.

— A może byśmy się przejechali po jeziorze? — powiedział jeden z nich.

— Zgoda! Doskonale! Przejedziemy się! — odpowiedziało kilka głosów.

Okrzyknęli człowieka w marynarskim stroju, z wytatuowaną kotwicą na rękę, który wynajmował łódzie.

— Panowie na długo? - zapytał ten pewno były marynarz.

— No... na jakąś godzinę... odpowiedziano.

— Na godzinę... — zamyślił się chwilę, spojrzął na jezioro i powiedział — dobrze.

Wybrano wielką łódź. Gdy panowie „lekko wskakiwali do łodzi” i brali wiosła, nadeszły dwie ładne panienki, przyglądając się z miłym uśmiechem wiosłarzom.

— Może panie pozwolą z nami? Prosimy bardzo.

Zaśmiały się, a śmiech ten mówił „może... kto wie... gdyby”.

Panowie, widząc, że panienki nie są z granitu, powtórzyli wesoło a uprzejmie propozycję.

— A czy panowie dobrze wiosłują?

— Pani! — powiedział z ukłonem sternik — pływałem po oceanie.

— Ja miałem wuja admirała — powiedział inny.

— Moje nazwisko — mówi trzeci — pochodzi od wyrazu „ryba” i pewno dlatego im bliżej jestem wody, czuję się pewniejszy siebie.

Weseli i eleganccy panowie wzbudzili w dziewczętach zaufanie: wsiadły do łodzi. Odplynęli.

W tej chwili o kilkaset metrów dalej płynęła łódź, w której wiosłowali ludzie w małych czapeczkach korporacyjnych.

— To studenci — wyjaśniła panów jedna z dziewcząt.

Łódź studentów posuwała się szybko i wkrótce wymiwała wiosłarzy z sanatorium.

— Płyną prędzej od panów — zauważyła druga z miłych towarzyszek.

Takie stwierdzenie faktu wydało się panom po prostu zbyt proste. Widzą oni wszyscy, że studenci płyną szybciej, więc po cóż tu taka mało inteligentna uwaga? Oczywiście odpowiadać tu nawet nie warto, ale pan przy sterze odpowiedział:

— Ba!... Gdybyśmy mieli taką łódź. Stąd widać formę tej łódki... Ptak — nie łódeczka.

— Zresztą — powiedział inny pan, ten co miał wuja admirała — w wioślarstwie przede wszystkim znaczy trening. Nie siła i wytrzymałość, ale trening. Żebyśmy tak kilka dni po parę godzin, zaraz wrócilibyśmy do formy.

Rozmowę na ten temat zakończono. Jeszcze trzeci z panów chciał dorzucić jakieś wyjaśnienie, dlaczego płyną wolniej niż studenci, ale uznał w myśli, że zbyt wiele mówić w kwestii tak błażej — mogłoby się wydać, iż panowie chcą się tłumaczyć przed tymi... I tu nazwał w myśli panienci trochę złośliwie, nieco lekceważąco i z lekką nieprzyzwoicością.

Trzeba przyznać, że panowie wiosłowali dobrze. Posuwali się rażno ku środkowi jeziora. Humory stawały się coraz lepsze. Dziewczęta na każdy dowcip panów odpowiadały głośnym śmiechem, co wart był trzech dowcipów. Jeden z panów zaśpiewał odmłodzonym barytonem namiętą pieśń żeglarsko-miłosną, urwał jednak, gdyż przyszło mu na myśl, czy się w swej tężyznie i młodości nie „zgrywa”. Wesołe dziewczęta zdjęły kapelusiki i wyglądały w tej chwili naprawdę ładnie.

— Rozkoszne dziewczyny! — rzucił półgłosem w zachwycie jeden z wioślarzy.

Jedna z rozkosznych dziewczyn tak się już rozdokazywała, że zaczęła opryskiwać panów wodą. Nie była to zabawa bardzo dystygowana, ale wszyscy panowie pomyśleli mniej więcej to samo: „ta mała ma wdzięk”.

Już dawno minęła godzina, o której mieli przybić do brzegu. Nie myśleli nawet o rychłym powrocie. Panowie przestali wiosłować. Jezioro było ciche, spokojne. Nadciągał wieczór. Oczy dziewcząt stały się senne, twarze posmutniały. Na chwilę wszyscy umilkli. Jedna z dziewcząt odwróciła głowę i spojrzała w dal jeziora. W tę stronę zaczęła patrzeć i druga. Nagły wiatr poruszył łodzią. Dziewczęta spojrzały na siebie.

— Wracajmy! Wracajmy prędzej do brzegu! — powiedziała z niepokojem jedna.

— Będzie burza! — dodała druga.

Panów zdziwił nagły niepokój dziewcząt.

— Burza? — ależ skąd?...

— A jeżeli deszcz nas nawet trochę i pokropi — mówił jeden z panów — to pójdziemy się napić wina, każemy tej rumuńskiej orkiestrze w czerwonych frakach zagrać coś rozgrzewającego, może zatańczymy trochę, może...

Miał mówić jeszcze, ale urwał, gdy spojrzał na twarze dziewcząt.

— Wracajmy! Wracajmy prędzej!

— Panie się boją? Jesteśmy blisko brzegu...

— To się tylko panom wydaje, że jesteśmy blisko. O, ten drugi brzeg jest o dwadzieścia kilometrów i wydaje się, że tam można w pół godziny zajechać. Cudzoziemcy tu się często tak myślą... Wracajmy!

— Ano wracamy, kiedy już tak panie koniecznie... Panowie, do wiosła! — zakomenderował sternik.

Błyskawica przeleciała po niebie i odbiła się w wodzie.

— Boże, Boże — szepnęła jedna z dziewcząt.

— Niech się panie nie obawiają... dopłyniemy.

— Panom się zdaje, że to jezioro jest zawsze takie jak na pocztówkach... Czemuśmy pojechali tak daleko?

Coraz większe przerażenie dziewcząt, widoczne na ich niedawno roześmianych twarzach — zaczęło i panów niepokoić. Przypomnieli sobie teraz, że ten człowiek z kotwicą pytał ich, na jak długo jadą. Widocznie wyczuwał coś niedobrego w spokojnym wieczorze.

Fale stawały się coraz większe. Czub łodzi podnosił się coraz wyżej, aby spadać potem w coraz głębsze doły.

— E... to coś jak morze — starał się zażartować jeden z panów.

Wiosłować coraz było ciężej. Już byli zmęczeni. Do brzegu jeszcze daleko, a nie wiedzieli nawet, czy posuwają się, czy też tylko walczą w miejscu z falami.

— My wcale nie płyniemy do brzegu! — krzyknęła jedna z dziewcząt.

— Boże, Boże... — skarżyła się druga.

Niebo stało się zupełnie ciemne. Raz po raz łódź wpadała jak w przepaść. Brzeg zginął z oczu.

Dziewczęta płakały. Potem zaczęły krzyczeć histerycznie, rzucać obelgi w jakimś dialekcie, panowie widzieli w świetle błyskawic ich twarze teraz złe, ordynarne, straszne, wyrzucające z siebie przekleństwa, pytające „po coście nas zabrali?”

Zmaltretowani zawroźdzeniem dziewcząt, znużeni walką z falami, panowie nie odpowiadali. Dziewczęta zamilkły. W świetle błyskawicy zobaczyli mężczyźni, jak trzymają się one burt łodzi, nie chcąc dać się porwać śmierci.

Po wybuchach ordynarnych przekleństw zaczęły prosić panów jak dzieci: „prędeż, prędeż!”

Panowie silniej zaczęli wiosłować: żal im się zrobiło dziewcząt. Postanowili ratować je za wszelką cenę. O sobie już nie myśleli. Ogromnie znużeni, woleliby może już śmierć niż dalszą pracę.

Błyskawica znów oświetliła jezioro. Dziewczęta zaczęły się modlić. Mężczyźni wiosłowali coraz silniej. Fale stawały się większe, rzucały łódź gwałtownie. Panowie zaczynali wiosłować słabiej. Obojętnieli. Obojętnieli nawet wobec rozpaczki dziewcząt, chcących żyć. Fale coraz gwałtowniej rzucały łodzią. Ciemność była ogromna. Wiosła uderzały coraz słabiej, słabiej... Przeszli wiosłować. Ręce pomdlały. Myśl ogarnęło tępe, obojętne „niech się dzieje, co chce”...

Tymczasem na brzegu, w miejscu, z którego odpływali studenci, zaczęli gromadzić się ludzie. Rozeszła się bowiem wieść, że młodzi dotychczas nie powrócili. Przybiegły nad brzeg zaniepokojone matki, siostry, narzeczone. Wszyscy w mieście pamiętali wielką katastrofę, gdy ubiegłego roku podczas burzy utonęło siedmiu studentów. Nad brzegiem stali wynajmowacze łodzi, przeważnie byli marynarze. Stali obojętnie, z fajkami; niejedną już widzieli burzę. Do tych ludzi zwracali się teraz wszyscy, oczekując od nich pomocy. Dlaczego tu stoją? Dlaczego jeszcze nie wypłynęli na ratunek? Odpowiadali spokojnie i trzeźwo: — „dokąd jechać? gdzie szukać?” Zrozpaczone kobiety zaklinały ich, by jechali. Pod terrorem błagań, gróźb, skomleń, zawoźdzeń, ruszyli wolno ku wielkiej łodzi. Drażniąc obojętnością i spokojem zgromadzonych, naciągali powoli płaszcze nieprzemakalne, brali koła ratunkowe, liny. Odpłynęli.

Z wieży, stojącej na wzgórzu katedry, zaczął bić wielki dzwon. Dzwon na trwozę. Tłum zamilkł.

Oddział żołnierzy przyniósł na brzeg wielkie reflektory. Rzucano światło na wzburzone fale. Oficer patrzył przez lornetkę.

Ktoś powiedział, że płynie, zdaje się, do brzegu łódź. Oficer to potwierdził. Po chwili wszystkie głosy powtarzały: „płyną, płyną”. Widzieli teraz wszyscy jedną łódź, pełną ludzi. Czekano w milczeniu. Dzwon dzwonił. Łódź się przybliżała. Po chwili zdawało się patrzącym, że nie płynie dalej. Wówczas milczący tłum wysłał z siebie jakąś wolę niezłomną i chciał nią, jak skrzydłem, zagarnąć tę łódź samotną, aby przyciągnąć ją ku sobie. I oto łódź zaczęła się zbliżać.

Łódź dobiła.

W białym świetle reflektorów zobaczono starców. Niespodziewanie zobaczono obce twarze. Nie rozumiano. Dopiero po chwili powiedział ktoś — „to nie oni”. I teraz wszystkich

ogarnęło bolesne rozczarowanie. Naprzód wyskoczyły z łodzi dwie dziewczyny i, jak gonione, zaczęły uciekać ku miastu. Śmiertelnie znużeni, nieprzytomni niemal mężczyźni, którzy, zobaczywszy światła reflektorów, ostatnim wysiłkiem przybili do brzegu, unosili się teraz ze swych miejsc. Posypały się zewsząd pytania, czy nie widzieli innej łodzi. Bełkotali coś, że nie widzieli. Resztką świadomości odczuli, że tłum nie na nich czekał i że ich widzi niechętnie; że tłum jest wobec nich niemal — wrogi. Zbili się razem i zaczęli wlec się ku miastu.

— Co to za jedni ci starzy? — zapytał ktoś w tłumie.

Słyszał to obecny wśród zebranych profesor Bin. Czy dlatego, że pytanie nie było zwrócone wprost do niego, czy dlatego, iż uznał powiedzenie „ci starzy” za niewłaściwe, dość — że nie uważał za potrzebne dawać wyjaśnienia.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

## HISTRIO, GIBBA

Na Wielkiej Lunie skakano co piątek. Skoki były w modzie jak niegdyś turnieje, derby, biegi karakonów, przepychanie kozy lub wspinanie się z chłopcem po nasmarowanym maszcie. Ostatnią rozrywkę, choć ściągająca widzów do licha i trochę, skasowano osobnym ukazem. Okazało się bowiem, iż rzecz, pomyślana, aby w kobietach rozwijać i potęgować instynkt macierzyński, dostała się pederastom w ręce. Oni królowali na masztach i brali nagrody. Co gorsza, chłopcy nie protestowali. Maszty więc ścięto i tym samym, jak komentowano w mieście, pederastom znów podcięto skrzydła. Zabawa w podcinanie trwała od początku świata. Zawsze wszyscy coś sobie podcinali nawzajem i chętnie. Teraz, kiedy koniec był już na dniach, nikomu nie wpadło do głowy, że na podcinanie czas najwyższy plunąć. Podcinano się dalej.

Po ścięciu masztów, rozprzedaniu mydła oraz wazeliny — z wielkim pośpiechem zorganizowano skoki. „Atrakcje na Lunie” wiązały się ściśle z bliskim końcem świata. O końcu rozprawiano spokojnie, bez uniesień, niby o lekarstwie, które ma smak paskudny, lecz trzeba je jednak zażyć. Czasem ktoś wyskoczył ze zdaniem: „I co z tym końcem, do ciężkiej cholery?” Więcej w tym było zniecierpliwienia niż złości lub żalu. Zniecierpliwienie brało się stąd, że na organizatorów wepchali się sami partacze. Gwałtem starali się podreperować diabła wartą opinię. Okazja, rzeczywiście, nadarzała się ostatnia. Z paskudziarzy strojono żarty: „co oni potrafią!... Sto lat trwać będzie zawracanie głowy, spisywanie, zliczanie i przepisywanie, w końcu i tak się nic nie uda, bo czegoś zabraknie w decydującym momencie. Skończy się na ogólnej wariacji.” Partacze dawali odpór. Rozgłaszali, że taka stanęła umowa: „Nas już nie interesuje, kto światu dał początek, ale za to nam przypada prawo likwidacji. Wykończymy świat na cacy. Prace przygotowawcze mocno zaawansowane.” Lecz o entuzjazm było coraz trudniej. Porobili się ludzie jacyś obojętni. Przygotowania więc przygotowaniemi, odpór odporem, a co piątek skoki, aby interes szedł, póki iść jeszcze musi.

Co tydzień, od samego rana, panował w mieście ruch piątkowy. Ze wszystkich dzielnic, przedmieść i podmiejskich osiedli jechały sznurem pojazdy pełne ciekawskich, graczy, zawodników. Puszczano na trasy najstarsze tramwaje i autobusy. Kursowały nawet konne wozy i wysłużone karetki więzienne. Bezpańskie psy miały labę, bo pojazdy hyclów zastępowały ubogim taksówki. Biedota najmowała te mało szykowne budy dosłownie za grosze. „Lepiej źle jechać, niż dymać na piechotę!” — odpowiadali pasażerowie „hyclówek” na drwiny mieszańców śródmieścia.

„Na Lunę!”, „do Luny!” — słyszało się w mieście co piątek. Czy Pierwszy pozostanie pierwszym? Czy Dziesiąty wysunie się na trzecią, a Drugi? Właśnie, czy Drugi obroni drugą pozycję przed spodziewanym atakiem Czwartego? Na inne tematy nie mówiono w piątki.

W dzielnicy połączonej z Luną linią autobusową stali na przystanku dwaj mężczyźni. Miny mieli zafrasowane. Autobus odjechał przed chwileczką. Jeszcze było słychać oddalający się warkot motoru.

— I cośmy zrobili najlepszego? Nie wsiedliśmy do autobusu!

— A był?

— Spóźnimy się na Lunę. Pierwsze skoki odbędą się bez nas! Co z tobą? Ziewasz?

— Ech, te skoki... Podobno wyniki robione na pigułkach. My się emocjonujemy, a tam odchodzi lipa i kant.

— Na pigułkach? Co to znaczy?

— A bo ja wiem? Powtarzam, co mówią. Oho, tobie też się gęba drze.

— Dziwne, nigdy nie ziewałem w piątki. Dzień niby normalny, ale do innych dni niepodobny. Inność wisi w powietrzu.

— Aha, może przygotowania na ukończeniu? Przepraszam, ziewnęło mi się znowu.

— Przygotowania, przygotowania... Partacze zajęci odpędzaniem komety. Powiadają: albo my sami, albo wcale, albo my, albo nikt. Obce ciało niebieskie niech nam nie psuje harmonogramu. Z kometą podobno się uporali. Ktoś mi mówił, że już zboczyła.

— Plotka albo gra na zwłokę, lecz dość. Jest piątek? Jest. Więc dość i pst...

— Wiem, że piątek, ale inność dzisiejszego piątku każe mi przestępować z nogi na nogę. Dziwnie się czuję w środku.

— Zanim nastąpi katastrofa, podaj mi z łaski swojej pudełko zapalek. W pudełku sześć zapalek, tak? Tak. Kładę pudełko na dłoni. Patrz uważnie! A teraz stawiam pudełko na sztorc. Ile wewnątrz zapalek? Tyle, ile było. Sześć. Proszę, sprawdź.

— Po co?

Ziewnęli jednocześnie i to rozśmieszyło obydwóch. Potem ten, który demonstrował pudełko na dłoni, powiedział:

— Dlaczego ziewamy na przystanku, zamiast uczestniczyć w skokach? Dlaczego rozmawiamy, nie ruszając się z miejsca? Tramwaj niedaleko. Moglibyśmy zdążyć na ostatni punkt programu.

— Prawda, skoki amatorów też nas interesowały dawniej. Dlaczego? Dlaczego?

— Co, dlaczego?

— Dlaczego nie interesują nas dzisiaj. Zdaje się, że to chciałem powiedzieć.

— Unieruchomiła nas nuda. Klej na podszwach i piasek w stawach. Tylko szczęki poddają się ziewaniu. Wszystko z nudy tak nudnej, że w dołku ssie, że na co spojrzeć, szarzej dosłownie w oczach i zarasta pajęczyną. Nuda daje się wytłumaczyć właściwościami fal ultrakrótkich. Całe zagadnienie sprowadza się do zestrojenia stacji nadawczo-odbiorczych tkwiących w każdym z nas. Znakomitym przykładem były znane dawniej przecucia matek. Niepokój o los dziecka wyprzedzał złą wiadomość. Odbiornik matki zaczynał działać, zanim normalne środki łączności przekazały przyczynę niepokoju. Są nudne kolory, usypiające kształty i nudni ludzie. Czy nie odczuwałeś nigdy senności na widok człowieka, o którym ktoś inny mówił ci, że to „taki bardzo interesujący facet”? A dla ciebie facet był chodzącą nudą. Ta teoria tłumaczy powodzenie brzydkiej kobiety i sukcesy szpetnego chłopca u pięknej niewiasty. Dlaczego kobietę o wybitnej urodzie mijam obojętnie, a za brzydszą uganiam się z wywieszonym językiem? Bo jestem zestrojony z tą, nie z tamtą. A bez zestrojenia ona mnie nudzi i ja dla niej zajeżdżam flakami z olejem. Można moją teorię rozciągnąć na pojęcia z innych dziedzin. Mógłbym zasypać cię tysiącami przykładów. Mógłbym, ale po co? Niczego się nie chce.

— To też bardzo nudne.



— Bo o nudzie.

— Koniec świata zaskoczy cię z otwartą gębą. Ośmieszysz się, jako ten jeden zdziwiony. Chodźmy gdzieś.

— Spacer leczy nudę? Pierwszy raz słyszę? Zresztą, wszystkie proponowane nam sposoby na nudę są tak przeraźliwie nudne. Zgoda, idziemy. Dokąd?

— Przed siebie.

— Ho, ho, co za śmiałość... Wykręć się więc na pięcie, bo pójdziemy w przeciwnym kierunku. Świetnie, ruszyliśmy w nogę. Aj, jaka gęba zła, odęta... Ciągnie na Lunę, ciągnie...

— Pewność nie wypowiedziana mniej drażni od pewności z kropką. Teraz nie ma miejsca na domysły. Wpadłeś z rumorem w otwarte drzwi. Nigdzie mnie nie ciągnie. Wszystko nudzi. Nasza rozmowa też nudna.

— Kręcimy się wokół nudy. Trzeba coś wymyślić.

— Wiem, lecz co?

— Nazwijmy się jakoś inaczej.

— Wspaniale! Ale jak?

— Na przykład: Histrio, Gibba.

— Nazwiska? Dwa imiona? Wolałbym imiona. Trudno przyjaciela wołać po nazwisku.

— Umówmy się więc, że to są imiona. Jak się czujesz, drogi Histrio?

— Aha, jak ja Histrio, to ty Gibba? Wiesz, brzmi to trochę idiotycznie, ale w tłoku ujdzie. Tak, nienajgorsze wybrałeś imiona. Od razu poczułem się nieco lepiej. Trzeba potrenować trochę. Halo, Gibba!

— Halo, Histrio!

— Gibba!

— Histrio!

— Gibba!

— Histrio?!

— E, do pupy.

— Próbujmy od nowa.

— Histrio, Gibba? Nie mogę sobie przypomnieć, czy to coś znaczy, czy nie.

— Z pewnością coś znaczy. Niestety, nie pamiętam. Zapytajmy kogoś.

— Kogo? — Histrio ziewnął przeraźliwie. — Wszyscy na skokach. W domu tylko głąby. Ktoś wie lub czegoś chce się dowiedzieć, nie szwenda się po ulicach w piątki.

— Hm... — Gibba westchnął i serdecznie ziewnął.

Całkiem osowiali doszli na brzeg rzeki. Ziewając patrzyli w wodę. Prąd był tak wąty, że trudno się było zorientować, w którą stronę rzeka płynie. Ryb było w niej dużo. O kilka kroków dalej, na mieliźnie, leżało pół tuzina kobiet. Bez spódnic i bluzek, rozmemłane, wyglądały jak worki rzucone na piasek lub śnięte ryby. Histrio trącił przyjaciela.

— Patrz, z tą małą zestroiłbym się chyba? Ach, jak się wierci, zwija się i skręca. Wprost już nie może wytrzymać. Spójrz, gdzie sięga ręką. Halo, mała, czego szukasz?

— Mam pchłę w majtkach — odpowiedziała piękna dziewczyna nie unosząc głowy.

— Ale się zestroiłi!... — triumfował Gibba.

Nim Histrio zdążył obmyślić odpowiedź, nad rzeką zjawił się młody, opalony dryblas. Pogapił się, zanotował coś w notesie, potem szybko zrzucił spodnie. Zbudowany był wspaniale i znakomicie usposobiony. Zdjął koszulę, wszedł do rzeki po kolana i jął tłuc wodę, jak to wiejskie baby robią kijanką. Tłukł mocno, miarowo, aż z bryzgów uczynił tęczową mgłę. To, czym tłukł, było jedną wspaniałością.

— Dziwak? Ekshibicjonista? Samochwał? Nie widziałem go nigdy. Powiedz, co to za jeden? — Histrio udawał zaciekawienie.

— Wybrany z miliona, a może z dziesięciu milionów. Klasyk. — Gibba uśmiechnął się ironicznie. — Znow czeka cię rozczarowanie.

— Z takim drogowskazem można objechać świat bez biletu. Po co on tak tłucze? Ej, panie, panie! Coś pan pogniewał się z rzeką. Ej, panie z podpieraczem, po co pan tak wali?

— Ryby sobie głuszę — odpowiedział „wybrany z miliona” przekrzykując pluski.

Rzeczywiście, już kilkanaście ryb łyskało białymi brzuchami. Kobiety ani drgnęły. Leżały senne, spocone, nierównomiernie podpieczone słońcem. Tylko jedna uniosła się na łokciu i przyglądała siwiejące włosy.

— Niech mnie pan pogłuszysz... — szepnęła. Wspaniały chłopiec nie dostyszał, więc najstarsza z kobiet — ona jedna w kostiumie kąpielowym leżała nad rzeką — krzyknęła z całej siły: — A może moją wnuczkę Zosię? Ona, chłopczyku, nazywa się właśnie Rybka! Zosiu, Zosiu!...

Piękna Zofia goniła pchłę po majtkach. Przy żywszym ruchu ramiączko zsunęło się nagle, odsłaniając lewą pierś, śmiesznie opaloną, do połowy różową, od połowy białą, jak dojrzewające jabłko.

— Panno Zosiu, Zosiu! — psyknął ostrzegawczo Histrio.

Dziewczyna wykręciła się bokiem i wypięła pupkę. Babcia objęła chude kolana. Zwiesiwszy głowę płakała rzewnymi łzami. Cudownie zbudowany chłopiec nanizal ryby na witkę, ubrał się i poszedł.

— Ty brzydalu — mruknął Histrio.

— Dębowe ucho. Od tych monotonnych plusków bebechy się przewracały. Głupi, myślał, że nas byle czym zabawi...

Piękna Zofia złapała wreszcie pchłę. Obejrawszy insekta pod słońce, puściła wolno na piasek. Za chwilę pchła znów znalazła się w majtkach i łowy zaczęły się od początku. Gibba spojrzał na przyjaciela. Histrio zwiesił głowę. Zupełnie oklapł.

— Chodźmy stąd, Gibba.

Zawrócili do miasta. Szli bulwarem wzdłuż rzeki. Potem skręcili w aleję wysadzaną czterema rzędami starych drzew. Gibba szukał papierosów po kieszeniach. Znalazł tylko zapalniczki. Histrio podsunął papierosa.

— Zapalisz? Nie chowaj zapalek, to moje.

— Odechciało mi się palić. Może później. W twoim pudełku było sześć zapalek.

— Aha.

— A to pudełko pełne, więc nie twoje.

— Ależ, Gibba, na etykietce widzę notatki skreślone przeze mnie. Moje typy na dzisiejsze skoki.

— Pudełko było prawie puste, a teraz jest pełne. Histrio, to znak! Myślmy intensywnie. Krew zaczyna krążyć żywiej. Histrio, prędzej! Mów coś, proponuj!

— A co ty mi radzisz?

— Histrio, osobliwa chwila może trwać sekundę!...

— Pozłóćmy drzewa, niech pnie będą złote! Patrz, już się niektóre zaczynają świecić.

— Idiota. Zwiódł cię odbłask słońca. Histrio, mam! Nareszcie wiem! Będziemy spadkobiercami. Spadkobiercy przeważnie mają się świetnie. Pozwól, przedstawię się po raz drugi dzisiejszego dnia. Jestem Gibba, zięć Natlowej. A ty?

— Dziedzicę po Teresce Zalcman.

— Hm, niech i tak będzie. No, teraz damy nudzie kopniaka, że jej wczorajszy obiad wyskoczy nosem. Co ty na to, Histrio?

— A pewnie, że damy, pod warunkiem, że nuda ma tyłek. Słuchaj, Gibba, kim są osoby, na które będziemy się powoływać? Żeby nie było z tego nieprzyjemności.

— Postacie fikcyjne.

— A my? Też fikcyjni?

— O Histrio, co się z tobą dzieje? Raptowne zmatolenie? Fikcyjni spadkobiercy? Kto by się w takich bawił! Wszystko może być fikcyjne prócz spadkobierców! — Gibba kolnął

przyjaciela kułakiem w bok. — Halo, co ci zadzwoniło w spodniach?

Histrio sięgnął do kieszeni i wyciągnął pełną garść złotych monet.

— Ładna historia, cudze spodnie... — powiedział i uniósł brwi ze zdziwieniem. Z drżącej dłoni złoto sypało się na chodnik. Szczęściem, nikogo nie było w pobliżu i dźwięk kruszcu nie przyciągnął gapiów.

Ostrożniejszy Gibba liczył monety przez materiał spodni, bo i w jego kieszeniach znalazło się złoto. W kieszeni marynarki natrafił na hawańskie cygara. Nie zwlekając odgryzł koniuszek. Zapaliwszy wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

— Histrio, masz na łbie zielony melonik!

— A ty tabaczkowy. Wielka rzecz. Nie widziałeś kolorowych meloników?

— Gdzie nasze kapelusze?

— A cholera je wie. Co to mnie obchodzi? Nie pytam, skąd złoto, a ty mi raptem zawracasz głowę starym kapeluszem z przepoconą wstążką. Umówmy się, że wyszliśmy na skoki z gołą głową. Będzie święty spokój.

Przyjrawszy się sobie uważnie stwierdzili jeszcze jedną zmianę. Obydwóm przybyło na wadze. Wyrosły brzuchy, napęczniały pyzy, zgrubiały też nosy. Domysły (Gibba miał na nie wielką ochotę, gdyż w meloniku czuł się coraz idiotyczniej) uniemożliwił policjant, czyli Porządkowy. Uprzejmym gestem skierował obu przyjaciół do przenośnej wagi ustawionej w bramie.

— Co do grama w normie. A teraz zmierzmy brzusie. Również co do centymetra. Wzorcowi obywatele! A jak tam z pieniżkami? Wiem, wiem, na pewno są. Ma się to oko, od razu widać, z kim sprawa.

— Monety trzeba nosić przy sobie, aby każdej chwili można było wykazać się przed obcymi dostatkiem — wyjaśnił Histrio tak swobodnie, jakby rzecz była oczywista i od dawna znana.

Przyczynę pomiarów wyjaśniały plakaty. Na jednym Porządkowy za ucho wyprowadzał Chudego z miasta. Chudy był szary, obrzydliwy, w tę i wewtę przekreślony pędzlem. Z drugiej strony uśmiechnięty Gruby wchodził do miasta, a Porządkowy o chabrowych oczach niósł przed nim transparent: „Witaj, Brzusi.”

W alejach robiło się ludniej. Wracano już z Luny.

— Idzie Zośka z pchłą — powiedział Gibba. — No, Histrio?

Histrio mruknął „aha” i szedł dalej. Nagle potknął się i ziewnął. Wtedy krzyknął:

— Gibba, znowu!

— Ano, właśnie. I ja też. Czy wiesz, Histrio, kim był ten rybak z precudnym dyszelkiem? Zwykły urzędnik z instytucji badającej nastroje, czyli „człek najęty”. Podpieracz, który cię tak zachwyił, jest własnością miasta. Nosi nazwę „Kubus”. Produkcja chroniona ścisłą tajemnicą. Dawniej za chłopcem z „Kubusiem” kobiety biegły tłumem. Dziś, ach, widziałeś sam, czym się skończyło badanie nastrojów nad rzeką. Zostawmy więc tę dziedzinę w spokoju. W innej szukajmy sposobu przeciw nudzie. Bo ziewamy ciągle. Guzik nam meloniki pomogły. Myśl, Histrio.

Znów im przerwano rozmowę. Z bocznej ulicy wychylił się chudzielec znaczny na kilometr. Łysy był i długi. Rozejrzał się, chciał przebiec jezdnię, lecz natychmiast zjawiono się białe auto. Biało ubrani ludzie wyskoczyli z lassem, złapali chudego za nogę, przywlekli pod samochód, wrzucili do środka, zatrasnęli drzwiczki, dali sygnał syreną i dopiero odjechali pełnym gazem.

— Do tej samej karetki i takim samym lassem łapano kiedyś grubych, żeby nie psuli chudym krwi zażywnym wyglądem. Teraz na odwyrtkę. Chwyta się chudych, bo te głodomory ośmieszają nas przed obcymi komisjami, które zjechały tu do prac przygotowawczych w związku z końcem świata.

Gibba stanowczo zaoponował.

— Jest różnica. Grubych łapano za szyję, a chudych łapie się za nogę. Wywiezieni z miasta, mogą żyć spokojnie na dalszej prowincji. Wracajmy jednak do naszych kłopotów. Myśl, Histrio, i ja nie próżnuję.

— Zróbmy coś.

— Coś, co by nas zajęło.

— Zainteresowało dłużej.

— I dało mocne emocje, co?

Histrio stanął, pstryknięciem poprawił melonik.

— O, to by było dobre! Staranne przygotowanie akcji, potem zacieranie śladów, słowem, ręce pełne roboty. O, dobre, bardzo dobre! Już mi się nawet życie zaczyna podobać. Buzi, Gibba.

— Postanowione? No, to łapka!

— No, to rączka!

— Popatrz no po melonikach, który kole w oko?

— Cytrynowy.

— Ten, co wysiadł z samochodu i teraz wturla się w dom?

— Ten, ale co ty pleciesz?

— Troszczę się o atmosferę. Nad rzeką zawiódł klimat i dlatego odeszliśmy zaziewani. Atmosfera musi być kryminalna.

— W porządku. Myślałem, że chcesz się na cytrynowego rozzłościć i całą sprawę sprowadzić do porachunków osobistych. Byłoby to ohydne.

Grubasek w cytrynowym meloniku pokazał się najpierw w oknie. Potem bez marynarki wyszedł na balkon. Przybierał teatralne pozy i takie stroił miny, jakby przed domem zgromadził się tłum wiwatujący na jego cześć.

— Cytrynowy cyclu! Giemzo!...

— Gibba?!

Grubasek, tknięty przecuciem, uklonił się z gracją i pomachał rączką. Urojonym tłumom dziękował za owacje. Chciał się kłaniać jeszcze, ale z pokoju ostro krzyknięto podniesionym tonem:

— Zupa stygnie, ty bałwanie!

Grubasek skokiem wrócił do mieszkania. Prawdę mówiąc, zrobiła się już z tego wszystkiego późna obiadowa pora. Przyjaciele czekali chwilę, ale grubasek siorbał zupę i do okna nie podchodził.

— Jak go nazwać? Cytrynowy to za długo.

— Kapuśniaczek — cichutko doradził Histrio.

— E, pomysły. A dlaczego Kapuśniaczek?

— Kapuśniaczek przypomina mi dzieciństwo. Latały takie motyle — Histrio zaczerwienił się i speszył. — Słowo daję, że latały.

— No, więc Motyl, cyk i spokój. A teraz na ławkę, bo kapuśniaczek przypomni mi o butersznytach przygotowanych na skoki.

Naprzeciw domu Motyla był park. Histrio i Gibba przeszli jezdnię i wybrali ławkę w cieniu. Obserwując spod oka mieszkanie Motyla, jedli bułki przekładane topionym serem średniego gatunku. Trochę ich zdziwiło, że ser nie zmienił się w szynkę. Ale i hawańskie cygara gdzieś się zapodziały. Coś się zaczynało psuć. Kiedy zjedli, Gibba zaproponował spacer dookoła fontanny. Okna Motyla i drzwi wejściowe mieli wciąż na oku. Dwa razy okrążywszy basen, stanęli.

— Sprawa nic a nic nie posunęła się naprzód. Motyl przez tydzień może nie wychodzić z domu.

— Motyle żyją krótko — Histrio skierował rozmowę na właściwe tory. — Trzeba podzielić role. Jeżeli orzeł, to ja wbiję Motyla na szpilkę, a ty zajmiesz się przygotowaniem

akcji i likwidowaniem śladów. Jeżeli reszka, odwrotnie. Losujmy.

Histrio sięgnął po monetę. Podbił palcami, złoty krążek wyleciał prostopadle w górę. Zanim moneta spadła na ziemię, Gibba zdjął tabaczkowy melonik. Kapeluszem zasłonił monetę.

— Nie patrz — powiedział — tak nie można. Jeszcze Motyl fruwa, dopiero się gra zaczyna, a już jeden z nas miałby o drugim zbyt wiele do powiedzenia. Spojrzenie na monetę przesądziłoby sprawę, kto morderca, a kto tylko współnik. Niebezpieczna pokusa.

— Ufam ci bezgranicznie!

— I ja tobie, a jakże... — przyznał powściągliwie Gibba — ale co będzie za godzinę, za dwie? Czy możesz ręczyć, w jakim nastroju obudzisz się jutro? Kto wie, może dopiero pojutrze ulegniesz pokusie?

— Dlaczego mówisz tylko o mnie? Co to znaczy?

— Myślę i o sobie, bądź pewien, Histrio. Pewne uczucia są wieczne. Nic się tu nie poradzi. Usłuchaj, Histrio. Zróbmy jednocześnie w tył zwrot. Odejźmy nie patrząc na monetę. Spotkamy się po drugiej stronie basenu. A więc, w tył zwrot!

— Pomyliły ci się uczucia z poczuciem obowiązku — powiedział Histrio przez ramię.

— Być może, wyraziłem się nieściśle. Jestem jednak pewien, że uczucia z obowiązkiem mają dużo wspólnego. Nie oglądaj się, Histrio. Uwaga, trzy, cztery! Marsz!

Równym krokiem odeszli od monety. Histrio zdjął melonik i lekko wachlował twarz, a Gibba swój nałożył z powrotem na głowę.

— Czy to wszystko, co powiedziałeś przed chwilą, ma jakiś związek z Tereską Zalcman?

Gibba odwrócił głowę.

— Nie.

Histrio zagryzł wargi.

— Wierzę ci. Odpowiedź w zasadzie mię zadowala. No, cóż? Siadajmy. Wszystko wymyka się z rąk. Każdą sprawę zaczynamy z niewłaściwej nogi. Co z monetą?

— Niech leży. Dość złota w kieszeni. Może ktoś podniesie monetę? Wtedy upomnimy się o swoje. Poczekajmy chwilę.

Prędzej, niż się spodziewali, nadbiegł z głębi parku czarny, kudłaty piesek. Obsikał dwa drzewka, powariował na trawniku, a potem jak strzała pomknął w kierunku monety. Obwąchał uważnie, trącił nosem, spróbował łapką. Spodobał mu się złoty krążek. Chwycił monetę w zęby i uciekł między krzaki.

Przyjaciele obserwowali psa roziskrzonym wzrokiem.

— Wrócił do swojego pana.

— Raczej do pani. Typowy pies kobiecy. Słuchaj, Histrio — Gibba poderwał się z ławki — kobietę, kobietę! Ukręćmy łeb jakiejś babie. Prędko, trzeba wysledzić właścicielkę psa!

— Spytamy stróża. Pamięć stróżów przechodzi z pokolenia na pokolenie.

Z pośpiechem, na jaki pozwalała im tusza, na przełaj szli do stróżówki.

— Kobieta, kobieta... — mruczał Histrio — o, tak! To by mnie nareszcie wzięło. Czuję rozkoszne łaskotanie w krzyżu.

— A co z psem? Psy bywają bardzo przywiązane. Przykro byłoby patrzeć na psa zdychającego z tęsknoty.

— Wyprawimy psa na wieś. Przywacha sobie jakąś suczkę i będzie miał dobrze. Znam chudzielca, który mieszka na prowincji. Napiszę do niego, jak już sprawa przyschnie.

— Kamień z serca. Oto stróżówka. Weź dziada na spytki.

Gibba stanął z boku, a Histrio dokumentnie rozpytywał stróża. Dziad węszył interes. Udawał głuchego. Rozgadał się dopiero, jak brzęknęło złoto. Przyjaciele bez zwłoki ruszyli we wskazanym kierunku. Po kilku minutach zobaczyli siwą panią z czarnym psem na

smyczy. Zachowując przyzwoitą odległość szli śladem kobiety. Mieszkała w willi otoczonej murkiem. Znad ogrodzenia wychylały się gałęzie biało kwitnących krzewów. Kobieta weszła do środka. Pies, spuszczonej ze smyczy, obwąchiwał znajome tropy w ogrodzie.

Gibba przytrzymał przyjaciela za rękaw.

— Napijmy się przedtem piwa. Okropnie mnie suszy. Coś wczesne w tym roku upały, nie? Tak, piwka napiłbym się chętnie.

— Normalna rzecz po serze.

Zatrzymali się przy kiosku.

— Dwa jasne — powiedział Gibba. Kioskarz robił pianę. Gibba rozglądał się po półkach. — Nie znalazł pan czasem smyczki?

— Znalazłem.

— Czarna z karabińczykiem srebrnym?

— Ta?

— Ta sama. Jeszcze dwa jasne.

— Można nie nalewać — wtrącił Histrio — nie idziemy na festiwal fajermanów. Płaci się za sześć.

Z kiosku, pospacerowawszy tam i sam dla zmylenia śladów, poszli do furtki. Gibba smycz trzymał w ręku.

— Pretekst do wizyty czy narzędzie? — spytał Histrio.

Gibba nie odpowiedział. Byli już blisko drzwi. Na progu, jak podkowa przynosząca szczęście, błyszczała złota moneta przybita solidnym gwoździem.

— Zabawny splot okoliczności — mruknął Gibba naciskając dzwonek. — Są jeszcze osoby przesadne. Coś przezabawnego!

Pies obszczekiwał ich przez zamknięte drzwi. Otworzyła siwa pani. Na smycz ze srebrnym karabińczykiem nawet nie spojrzała. Opowiadania o wrażeniu, jakie rano zrobiła na plaży, ledwie wysłuchała do końca. Gibba był już porządnie zły. Za wszelką cenę chciał się dostać spokojnie i bez krzyków w głąb mieszkania. Spodziewał się tam puszystych dywanów. „Przewrócę ją na dywan i przyduszę poduszką. W takim domu muszą być poduszki. Potem smycz owinę dookoła szyi. Histrio weźmie jeden koniec w rękę, a ja już zajmę się drugim. Żal dzielić przyjemność, lecz za to jutro nikogo nie zaswędzi język... Będziemy smyczkę zaciskać powolutku. Kiedy pętla odbierze głos, odrzucę poduszkę na bok i znów zacisnę trochę. Gdyby siwa kończyła się zbyt prędko (kto wie, jak u niej z sercem? niepotrzebnie wylegiwała się dziś na słońcu!), zwolnimy odrobinę ucisk. Chyba nam nikt nie przeszkodzi? Pośpiech wszystko psuje, szczególnie gdy w grę wchodzi kobieta”.

Histrio rozkoszował się podobnym obrazem. Wyobraźnia zabarwiła czułe słowa łatwo wyczuwalną drwiną. „W ostateczności ogłuszę ją tu, a Gibba zaciągnie do pokoju, i tam... Mam nadzieję, że tam nie zastaniemy rodziny przy imieninowym stole.”

Siwa pani przerwała ostro głupawę zalecanki:

— Mogą się powołać?

— Jestem Gibba, zięć Natlowej!

Gospodyni rozpromieniła się w oka mgnieniu.

— A pana kto rekomenduje? — zwróciła się do Histrio czule i z uśmiechem.

— Tereska Zalcman, dyrektor policji!

Pod siwą ugięły się kolana, nie ze strachu, lecz ze szczerego wzruszenia. Przyjaciele poczuli się od razu jak goście pierwszej kategorii. Siwa zachłystywała się przeprosinami. Przepraszała jeszcze w saloniku. Wreszcie uznała, że starczy, i przeprosiwszy po raz ostatni, wyszła obiecując, że za małą minutkę służy wszystkim, co w domu najlepsze. Histrio patrzył po ścianach, a jednocześnie nogą macał dywan.

— Nadaje się, w sam raz dobry. Przysuń tamten fotel, żeby po poduszkę można było sięgnąć. Smycz połóż na stoliku. Niech przeschnie, bo się przepociła od rąk.

Gibba położył smycz i zbladł. Dopiero teraz zauważył maleńki kartonik formatu biletów wizytowych. Nie wierząc oczom, przeczytał, co następuje:

„Panie po osiemnastce proszone są o niefatygowanie się. Lokal extra. Wsparcia erotycznego udziela się w piątce pod szopą w ogródku”.

Przeczytawszy, Gibba złapał się za głowę.

— A niech to jasny szlag trafi! Jesteśmy w burdelu!

— Wołaj siwą, może zdążymy, nim zejdą się rozpustnicy!

— Ale, gdzie tam! Już się ktoś dobija!

Pokojówka wniosła trunki. Gibba pił wódkę białą, a Histrio różową. Siwa pani wychodziła z siebie, martwiły ją zawiedzione miny znakomitych gości. Znużona nadszłością, zaproponowała:

— Popatrzymy przedtem? Tędy, proszę...

Gibba, zupełnie zrezygnowany, zostawił smycz na stoliku. Histrio ratując pozory gmerał przy rozporku. Przeszli trzy pokoje. W czwartym (przez szpary widać było świetnie) piękna Zosia jeździła na cytrynowym meloniku. Na kanapce, w rozpiętej kamizelce, ziewał grubasek. Ziewał i dłubał w nosie.

— Figura a la dziecko na nocniczku — szepnęła pani Gibbie prosto w ucho. — Jak jej w cytrynowym ładnie!...

— Co to za jeden? — spytał Gibba i mruknął do przyjaciela. Histrio odmrugnął, że Motyla poznał.

— Nie wiecie? Przecież to nowy dyrektor od skoków!

— Od skoków na Lunie?

— Takich miewam gości — siwej pani ze wzruszenia podskoczyła grdyka.

— A my jego... — Gibba, kopnięty w kostkę, urwał. Powiedział: — Wprost śmieszne — i zbladł przeraźliwie.

Histrio też zbladł. Potem siniał i czerwieniał na przemian. Obydwóm trzęsły się kolana. Siwa właścicielka, nie domyślając się niczego, opacznie tłumaczyła wzruszenie. Paplała bez sensu:

— Ta figura bierze, prawda? Oj, nie udawajmy, ja wiem, co panowie lubią. No, i ten cytrynowy kolor gra tu znakomicie. Można prosić? Panowie gotowi?

— Za chwilę — powiedział Gibba. Siwa wyszła coś tam jeszcze sprawdzić. — No, Histrio, miałeś nosa... Upatrzył sobie dyrektora od skoków! I ty mnie w to chciałeś wplątać? Wariat albo...

Histrio dopiero teraz zbladł na dobre.

— Ja? — krzyknął. — A kto wołał: „No, to łapka”?

— Odpowiedziałeś mi: „No, to rączka.”

— Kto mawiał: „Popatrz no po melonikach, który kole w oko”?

— Tyś powiedział: „Cytrynowy!”

— A kto udzielił wyczerpującej informacji mówiąc: „Ten, co wysiadł z samochodu i teraz wturla się w dom”? Kto ubliżał krzycząc: „Cytrynowy cyclu! Gieźmo!”? Kto wymyślił pseudo Motyl na pana dyrektora od skoków na Lunie? Może powiesz, kto narzekał, że „sprawa nic a nic nie posunęła się naprzód”? Kto szydził: „Jeszcze Motyl fruwa”? Kto szydzeniem tym przynaglał, zachęcał, wiercił w brzuchu dziurę, że już, że zaraz, że prędko? Kto? Kto? Kto? No, Gibba, kto?

— Dziedziczna pamięć po Teresce Zalcman — mruknął z goryczą Gibba.

— Toż to osoba fikcyjna! — Histrio parsknął śmiechem.

Gibba ssał wargę. Czuł, że trafił pod własny prysznic. Sytuacja stawała się groźna.

— Czekaj, ty... Ja cię jeszcze przekonam, że Natłowa też nie psi wypierdek.

— Milcz już, idzie siwa pani — powiedział Histrio lodowatym tonem.

— „Raz na lewo, raz na prawo, trochę naprzód, trochę w tył!...” — Siwa pani wzięła przyjaciół pod ręce i nim się spostrzegli, wepchnęła do sąsiadujących ze sobą pokoi. — Poznajcie się, kotki!

Gibba nie mógł się doczekać, kiedy się to wszystko skończy. Tłusta smarkula jak zwariowana uganiała się na tabaczkowym meloniku po całym pokoju. Za ścianą jej koleżanka zajeżdżała melonik zielony. Od szelestów i szurgotania puchła głowa. „Co tu robić? Histrio bardziej ode mnie obciążony. Będzie paplał bez licznika. Mogą być przykrości”. Przykrości Gibba wolał nie nazywać po imieniu. Teraz, tuż przed końcem świata, gdy szczególnie zależało na utrzymaniu ładu, porządku i dyscypliny, stosowano przykrości o wiele dotkliwsze niż dawniej. Gibba myślał intensywnie. Było nad czym myśleć! Raptem oprzytomniał. Przyłożył ucho do ściany — cisza! Wyrwał tłustej melonik spod tyłka i kopniakiem otworzył drzwi.

— Rozogniony gość to moja największa radość — powiedziała siwa pani.

— Gdzie Histrio? Histrio! Gdzie mój przyjaciel? Gdzie ten drugi?

— Ach, zupełnie inny temperament. Pański przyjaciel wyszedł przed kwadrans. I co, kotku, pieseczku? Chcesz teraz inaczej?

— Odlep się od spodni! Gdzie najbliższy telefon?

— W aptece.

Siwa pani, dotknięta afrontem, schowała biust pod bluzkę. Gibba wybiegł do ogrodu. Na śmierć zapomniał o furtce. Nim przelazł przez murek, pies rozerwał mu nogawkę. Ulica pusta, ciemnawa, obca. Ani przechodnia, żeby się zapytać. Bez tchu, klnąc spasiony brzuch spadkobiercy, odszukał wreszcie aptekę. Zastał drzwi zaryglowane, lecz wewnątrz émiło się światelko.

— Otwierać! Do telefonu! — krzyczał, walił obcasami.

— Do czego? — spytano ze środka. — Tu apteka.

— Do telefonu!

— Wypadek?

— Nie! Tak, tak!

— Pijanych się nie załatwia.

Zaspany głos oddalił się w głąb apteki. Światelko zamigotało i zgasło. Gibba odszedł parę kroków, usiadł na skraju chodnika i podparł głowę. Po kilku minutach zerwał się i popędził w stronę domu. Zawłókł się do siebie na ostatnich nogach. Ciemniało mu w oczach, drżały ręce, mylił się nakręcając numer.

— Histrio! Histrio!. — wołał, lecz z tamtej strony nikt nie podchodził do telefonu.

Po licznych próbach Gibba dał spokój. Odłożył słuchawkę. Skulił się w fotelu. Czekał paląc papierosa za papierosem.

— A więc to tak, więc jednak... Nie ma go w domu, uległ pokusie. Niemożliwe... Ech, właściwie możliwe wszystko. Za pięć minut spróbuję jeszcze raz. Za późno dzwonić gdzie indziej.

Sygnal huczał prawidłowo. Biuro naprawy odpowiedziało, że „aparat w porządku, abonent nie zgłasza się”. Minęło pięć minut, dziesięć. Histrio nie reagował na alarmujące dzwonki.

— Jeszcze nie wrócił — szepnął Gibba wyjmując walizeczkę z szafy. — Ależ się mój przyjaciel rozgadał...

W chwilę później obudził właścicielkę mieszkania. (Gibba zajmował pokój z telefonem. Mieszkał „przy rodzinie”, czyli u starej jędzy zdolnej do wszystkiego.)

— Dostałem wiadomość o chorobie. Wyjeżdżam do ciotki.

— Nigdy nie słyszałam, żeby pan komandor miał gdziekolwiek ciotkę... — (W swojej dzielnicy Gibba podawał się za komandora nie istniejącego już Jacht-Klubu.)

— Jadę właśnie do tej, o której pani nigdy nie słyszała. Atak serca czy coś w tym



guście. — Gibba uśmiechnął się i wyszedł, bo był już gotów do drogi.

Resztę nocy przełaził kupując w dyżurnych aptekach potrzebne medykamenty. Rano pierwszym pociągiem wyjechał z miasta.

Ukrył się w opuszczonym szybie. (Był okres, że wiercono wszędzie. Dziury i podziemne chodniki pozostawały w ścisłym związku z przygotowaniami do zlikwidowania świata.) Zażywał nielegalnie środki odchudzające, łykał pigułki na przeczyszczenie, nie golił brody. Zrzuciwszy wagę, wyszedł na powierzchnię sflaczały, ziemisty, z capią bródką, siwą i rzadziutką. Okólną drogą pojechał do upatrzonego zawczasu miasteczka. Słyszał, że tam nic się nigdy nie działo i nic nikogo nie obchodziło. Każdy ma takie miasteczko upatrzone na wszelki wypadek, a przynajmniej — mieć powinien.

Bez trudności wynajął pokój na parterze. Właściciele domu, ludzie niegdyś zamożni, ulegli przed laty nieszczęśliwemu wypadkowi. Leżeli więc w gipsie, a dom prowadziła córka, kobieta rosła i energiczna. Można by ją nazwać przystojną, gdyby nie łaciate ciało. Mówiła, że się jej to zrobiło z nerwów, jak zobaczyła tatusia i mamusię wypadających z samolotu. Córka, o czym Gibba nie wiedział (nie pytał, ona zaś nie uważała za stosowne chwalić się stosunkiem przed prawie obcym lokatorem), przyjaźniła się z miejscowym policjantem, czyli Porządkowym. Zobaczywszy pierwszy raz policjanta przed drzwiami, Gibba wyskoczył oknem. Nic się nie stało, celowo wybrał przecież parter. Córka wytłumaczyła mu ze śmiechem, że z prowincjonalną policją można żyć, o ile ma się coś do oferowania.

— A ja mam, żebyś pan wiedział — zakończyła wesoło — i to dużo!

Gibba opowiedział zręczną historyjkę uzasadniającą przyjazd do miasteczka, uiścił czynsz z góry i zamieszkał. Noce spędzał bezsennie. Barykadowanie drzwi, zamykanie okien nic na antaby i łykanie proszków nie przynosiło ulgi ani spokoju. Wszystko sprowadzało się do pytania: co planuje Histrio? Jeżeli uległ pokusie, to ukrywanie się w miasteczku było tyleż warte, co namawianie kata, aby na próbę powiesił się pierwszy. Dlaczego Histrio zwleka? Cóż z pytania bez odpowiedzi! Gibba przewracał się z boku na bok, wstawał, nasłuchiwał, wracał do łóżka i siedząc w kucki medytował do białego rana.

W dzień czuł się jakoś raźniej. Szedł do ogrodu i drzemał nad rozłożoną gazetą. Na byle hałas zmykał w krzaki lub chował się za drzewo. Pewnego dnia zobaczył na ulicy znajomą twarz.

— Halo, moje uszanowanie panu — odezwał się przyjaźnie. — Znamy się z miasta. Widziałem, jak pana chwytało na lasso. Co słychać?

— Źle słychać, i tyle. Drogi panie, przecież to jeden wielki skandal! — Chudy łysy był wyraźnie uradowany, że ktoś się nim wreszcie zainteresował po ludzku. — Mnie już dziesięć razy wywożono budą. A ja, miły panie, mam w kieszeni nominację na koordynatora Sieci II Rzędu! Pan wie, co to jest Sieć II Rzędu? Nominacja jest, robota czeka, ale cóż z tego? Nim z dworca dojdę do urzędu, Porządkowi zawsze złowią mnie na linkę. No i wracam ciupasem. Próbowałem tłumaczyć, ale naraziłem się na przykrości. Słusznie mówią: „Rozmowa jak z Porządkowym.” Teraz siedzę cicho. Dałem sobie słowo, że palcem o palec nie uderzę. A Sieć II Rzędu leży. A niech leży, dobrze jej tak!... Znowu zawalimy terminy. Czy oni myślą, że dla ich wygody komety będą latały codziennie? A te wiercenia? Fiu, fiu, gigantyczna afera, kochany panie. Co nowego w mieście? Meloniki ciągle modne? Ostatnie skoki, słyszałem, pasjonujące? Nowy dyrektor obiecuje podobno nie widziane dotąd cuda?

— Może pan wstąpi? Bardzo będzie miło. Gadamy przez płot jak kuchty. Jestem Gibba, komandor.

— A, naturalnie, przypominam sobie. To pan prowadził rajd samochodowy przed dwudziestu laty?

— Głupstwo, dawne dzieje. Może w cień? Staram się unikać słońca. Pan rozumie, szkodzi.

Gdy usiedli, Gibba pokazał gościowi gazetę.

— „Skoki odwołane. Luna znowu dymi.” Może pan mi to wytłumaczy. Co teraz? Bez skoków na Lunie?

— Drogi panie, bujda na resorach. Leżymy z terminami. Nic się tam nie dymi, ale trzeba skandal jakoś zamaskować, wymyślono więc dymy. Rozdmuchano okresowy remoncik dla odwrócenia uwagi od istotnych spraw.

Gibba zachęcająco chrząknął. Nie interesowały go przygotowania. Uznał jednak, że dobrze będzie wiedzieć, na co się zanosi. Chudy koordynator gadał jak najęty. Cierpiał z powodu braku słuchaczy.

— Zasadę likwidacji świata uznaję za całkowicie słuszną. Jestem zwolennikiem rozwiązań pozytywnych. Były próby innych rozwiązań, zawiodły jednak w praktyce. Co zadecydowało o przygotowaniach? Odkrycie prostej prawdy: jeżeli światu nie można udowodnić obłądu, nie znaczy to, że świat jest normalny. Niech pan słucha, zaraz pan zacznie pękać ze śmiechu! — Koordynator dał Gibbie sójkę w bok. — Kiedy ruszyły przygotowania, natknęliśmy się na osobliwe trudności. Z każdej dziedziny zaczęto nadsyłać spisy cech, pojęć, schematów organizacyjnych, uczuć itd., które należy zachować dla przyszłego świata. Po likwidacji coś przecież powstanie nowego. Czas nie gra roli. Zna pan powiedzenie „skryzalizować poglądy, skryzalizować myśl, pojęcie”? Otóż, my to robimy dosłownie. I tak, skryzalizowane uczucie głodu ma kształt sześcianu koloru indygo. Skryzalizowana organizacja aptek wygląda jak ziarnko fasoli (raz mi żona ugotowała z tego fasolówkę, śmiechu było co niemiarą!) i tak dalej, i tak dalej. Myśl słuszną, ale niech pan słucha, co przyniosła praktyka. Oto przykład. Dzwonią do mnie kiedyś i pytają, jak my stoimy z kompleksem Edypa. Odpowiedziałem, że zainteresowanie kompleksem jest nikłe i nie osiąga międzynarodowej normy, więc kompleksu materializować nie będziemy. Tego samego dnia przynoszą mi, panie złoty, papier z bardzo wysokiego urzędu. Okazuje się, że kompleks *m u s i* być utrwalony, bo *ma o g r o m n e* znaczenie dla kultury. No, i trzeba brać się za Edypa. Wyszły z tego paskudztwa zielone pigułki. Edypiarze zawalili nas robotą. Wtedy właśnie powołano mnie na koordynatora. Czego się pan trzęsie? Może chłodno?

— Nic, nic, słucham. Proszę mówić dalej.

Daleko zawarczał samochód i coś mignęło białego. Gibba z trudem zwalczał chęć ucieczki.

— Cóż, skryzalizowane wartości pakujemy w specjalne zasobniki i pchamy głęboko w ziemię. Szpikujemy staruszkę jak zająca słoninką. Musi pan kiedyś przyjść do nas na obiad.

— Zasobniki? Ciekawe...

— Trafna uwaga, bo zasobniki robimy ze skryzalizowanego strachu. Mamy już sześćdziesiąt pięć tysięcy odmian strachu!

— Czy strach jest zawsze uzasadniony?

— Oczywiście, skoro istnieje! — Koordynator roześmiał się, przypomniał o obiedzie, serdecznie potrząsnął ręką. — Niech pan koniecznie wstąpi. Mamy na trzecim piętrze gościa z miasta. Przyjechał do chorej ciotki. Do zobaczenia, miły panie. A może jutro? No, widzi pan, a może po prostu dzisiaj? Czas, panie złoty, nie gra przecież roli. Czekamy, komandorze.

Gibba chętnie skorzystał z zaproszenia. Powodów domyślić się łatwo. Tego samego dnia wybrał się do koordynatora na poobiednią herbatkę. Z przyzwyczajenia stanął przed domem i chwilę obserwował okna. Raptem na trzecim piętrze pojawiła się chuda, wymęczona twarz. Gibba tylko na to czekał.

— Histrio, Histrio z capią bródką!

Histrio spojrzął i błyskawicznym ruchem zatrzęsnał okno. Za chwilę rozległy się głośne hałasy. „Barykaduje drzwi” — pomyślał Gibba i wbiegł na schody.

— Tutaj, tutaj, kochany komandorze — krzyknął z parteru koordynator. — Gdzie pan pędzi? Dach się pali?

— Histrio, Histrio!

Drzwi trzymały mocno. Histrio milczał. Najmniejszym szelestem nie zdradzał swej obecności.

— Panie Histrio, prosimy na herbatę — koordynator dołączył się do wrzeszczącego Gibby.

— Histrio! Ja nie uległem pokusie! Histrio, wszystko się wyjaśni! Histrio, otwórz! Histrio, zejź!

— Tak, tak, niech pan zejdzie. Herbata świeżo parzona.

— Histrio!

— Nie zejść na herbatę. Ja schodzę z tego świata.

— Trzeba dać znać Orkiszowi, on prowadzi ewidencję zwłok — szepnął koordynator. Potem dodał: — Szekspirowski dialog! Pan wie, że po skryształizowaniu robi się z Szekspira białe ziarnko maku?

— Histrio, otwieraj! Wywalimy drzwi!

— Nie zdążysz. Mam sznur na szyi, zaraz połknę pigułki i najem się tłuczonego szkła.

— Jak panowie dojdziecie do porozumienia, prosimy na herbatę. — Koordynator machnął ręką i poszedł do siebie.

— Słuchaj, Histrio, jeżeli natychmiast nie otworzysz, dam znać. Ulegnę pokusie. Ty wiesz dobrze, kto z nas bardziej obciążony. Histrio, zostaniesz poddany dotkliwym przykrościom. Nie zdążysz uciec na tamten świat. Oni cię wezmą za mordę i ściagną z powrotem. Liczę do trzech. Raz, dwa, dwa i pół... No, widzisz, stary! Serwus, jak się czujesz? Chodźmy do łysego głupka. Posiedzimy parę minut, potem sprowadzisz się do mnie. We dwóch będzie nam raźniej. Wybacz, że ci groziłem białą budą.

Histrio milczał. Odezwał się dopiero u koordynatorstwa, kiedy filiżankę z herbatą zwałił na kolana.

— Luńska mać skakana, wrzątek!

Wkrótce potem pożegnali gospodarzy. Koordynatorstwo nie zatrzymywali. Koordynator był zły, bo się nie wygadał. Jego małżonka nie mogła przeboleć filiżanki od serwisu. Histrio wrócił na górę po walizkę i zgodnie z planem przeprowadził się do pokoju Gibby. Łaciatej obiecali podwójny czynsz, obyło się więc bez lokalowych sporów.

Histrio i Gibba spędzali dni i noce razem. Nie rozstawali się ani na chwilę. Instynktownie obserwowali się spod oka. Tematów drażliwych unikali. Przychodziło im to łatwo: Histrio milczał jak zagipsowany, a Gibbę męczyły monologi.

— Pójdę naprzeciwko do sklepu i kupię leżaki — powiedział w pewnym momencie Gibba. — Na leżaku w ogrodzie będzie czas mijał przyjemniej. Co ty na to? Ja funduję!

Histrio kiwnął głową, że dobrze. Gibba poszedł więc po leżaki. Idąc oglądał się często. Histrio spokojnym krokiem spacerował dookoła drzewa.

Naprzeciwko nie było leżaków. Poradzono Gibbie, aby zajrzał do sklepu o dwie uliczki dalej. Stamtąd skierowano go w zupełnie inną stronę miasteczka. Sprawunek pochłonał sporo czasu i Gibba wrócił do domu później, niż przypuszczał.

— Ależ dziura!... Wyobraź sobie, znalazłem tylko jeden leżak. Mają być w przyszłym tygodniu. Na wszelki wypadek zamówiłem dwa. Halo, Histrio!... No, coś podobnego... Myślałeś, biedaku, że uległem pokusie? Biedny, skończony głupiec... No, tak. Skończony na amen.

Gibba przeciął sznur, chwycił lecące przez ręce ciało i ułożył wygodnie w leżaku. Przykucnął obok przyjaciela i wpatrując się w zniekształcone rysy, próbował odgadnąć, o czym myślał Histrio i co robił, zanim się powiesił.

— Histrio, kochany głupcze, powiedz... Histrio, czy ty?...

Gibba nie dokończył zdania. Białe samochód mignął za domami. Gibba zerwał się na nogi, złapał sznur, szybko związał końce. Powiesił się na tej samej gałęzi co Histrio.

Łaciate, bo to ją służbową budą odwoził kochanek, odcięła Gibbę tuż przed zapadnię-

ciem zmroku. Sznur schowała na szczęście. Następnej nocy w przystępie dobrego humoru (kochanek był chłopcem na schwał), dała sznur Porządkowemu. Porządkowy wziął okolicznościowy urlop, okręcił się sznurem i w najbliższy piątek pojechał do miasta. Na skokach szło mu wyśmienicie. Pokazywano go palcami. Zrobił na Lunie karierę.

Ostatnim echem tej całej historii była bezsenna noc koordynatora.

— Powiesili się ci, co byli u nas na herbacie — po- widziała przy kolacji żona.

— A, Histrio i Gibba — powtórzył mechanicznie koordynator. Potem zamyślił się głęboko. „Histrio, Gibba? Coś to przecież znaczy? — Koordynator był zdania, że wszystko coś znaczyć musi. — Oczywiście, tak nazywa się rybka żyjąca w Morzu Sargassowym. *Histrio gibba* słynie z przedziwnej zdolności dostosowywania się barwą i kształtem do otaczających ją wodorostów. Może by warto skryzalizować właściwość małej rybki?”

Koordynator zapalił się do pomysłu. Spędził noc przy biurku. Rano poczuł zmęczenie. Przypomniał sobie o kłopotach służbowych, o łapaniu na łąso i innych przykrościach. Zgarnął papiery do kosza i dał spokój rybce *histrio gibba*.

STANISŁAW LEM

## TERMINUS

### I

Od przystanku był jeszcze kawał drogi, zwłaszcza dla kogoś, kto — jak Pirx — niósł walizkę. Nad bielejącymi widmowo polami stał mglisty przedświt, asfaltem szły ze świstem opon ciężarówki, poprzedzane osrebrzonymi kłębami pary, ich tylne światła zapalały się czerwono przed zakretem. Przekładając walizkę z ręki do ręki, spojrział w górę. Mgła musiała być niska, bo zobaczył gwiazdy. Mimo woli poszukał kursowej dla Marsa. W tym momencie szary mrok zadrżał. Nieprawdopodobnie zielony ogień prześwietlił na wylot mgłę. Odruchowo otworzył usta, już nadciągał grzmot, a za nim gorący podmuch. Grunt zadygotał. W jednej chwili nad równiną wzeszło zielone słońce. Śniegi rozgorzały jadowitym blaskiem aż po widnokrąg, cienie przydrożnych słupów zaczęły bieć przed siebie, wszystko, co nie było jaskrawą zielenią, stało się czarne jak zwęglone, Pirx, rozcierając pozieleniałe dłonie, patrzył, jak jeden z oświetlonych upiornie, strzelistych minaretów, które jakby za dziwnym kaprysem budowniczego wznosiły się pośrodku okolonej wzgórzami kotliny, odrywa się od ziemi, jak stojąc na kolumnie ognia poczyna majestatycznie iść w górę, a kiedy grzmot stał się materialną siłą wypełniającą przestrzeń, zobaczył przez szpary między palcami dalekie wieże, budynki, cysterny, obwiedzione brylantową aureolą; szyby kapitanatu rozbłysły, jakby szalał za nimi pożar, wszystkie kontury poczęły falować i giąć się w rozżarzone powietrze, a sprawca tego widowiska, rycząc triumfalnie, zniknął już na wysokości, pozostawiając w dole ogromny, czarny krąg dymiącej ziemi. Po chwili z ugwieżdżonego nieba zaczął padać ciepły, grubokroplisty deszcz kondensacji.

Pirx podniósł swoje brzemie i poszedł dalej. Wzlot rakiety przełamał jak gdyby noc — z każdą chwilą robiło się jaśniej i widać było, jak osiada w rowach topniejący śnieg, a cała równina wynurza się spod obłoków pary.

Za siatkami świecącymi od wody szły długie mury ochronne dla załogi lotniska o skarpach okrytych darnią. Martwa, nasiąkła wilgocią zesłoroczna trawa nie dawała dobrego oparcia stopom, ale spieszyło mu się, więc zamiast szukać schodków najbliższego przejścia, z

rozbiegu wspiął się na górę — i zobaczył ją z daleka.

Wyższa od wszystkich innych rakiet, stała osobno, wysoka jak wieża. Takich nie budowano od lat. Omijał rozlane na betonie płytkie kałuże wody, dalej już ich prawie nie było, wyparowała momentalnie od termicznego udaru, czworokątne płyty sucho i ostro, jak w lecie, dzwoniły pod krokami. Im był bliżej, tym bardziej musiał zadzierać głowę. Pancierz wyglądał, jakby go na przemian smarowano klejem i nacierano zmieszanyymi z gliną szmatami. Kiedyś próbowano dodawać do powłokowych tungstenów włókna azbestowego karbidku. Kiedy się taki statek przypalił parę razy na hamowaniu atmosferycznym, wyglądał jak obdzierany ze skóry — cały w strzępach. Nie warto było ich zdzierać — wnet wyłaziły nowe. Opory przy starcie, jasna rzecz, olbrzymie. Stateczność, sterowność — prosto przed Trybunał Kosmiczny: jeden kryminał.

Szedł nie spiesząc się, choć walizka porządnie już mu ciążyła, ale chciał dokładnie obejrzeć sobie statek z zewnątrz; ażurowa konstrukcja trapu rysowała się na tle nieba iście jakubową drabiną, ściana rakiety szara była jak kamień — wszystko zresztą było jeszcze szare: rozwłózione po betonie puste skrzynki, butle, łachy pordzewiałego żelastwa, dzwona metalowych węzów. Rozrzucone chaotycznie, świadczyły o pośpiechu, z jakim dokonano załadunku. Dwadzieścia kroków przed trapem postawił walizkę i rozejrzał się. Wyglądało na to, że ładunek jest już zaokrętowany; rozkraczona na gąsienicach ogromna pochylnia towarowa została odsunięta i zaczepy jej wisiały w powietrzu, ze dwa metry od kadłuba. Wyminął stalową łapę, którą statek, niebotyczny i czarny teraz na tle zorzy, wspierał się o beton, i zszedł pod rufę. Wokół łapy żelbet osiadł pod strasznym ciężarem, strzeliwszy w otoczenie rysami pęknięć.

Nieźle zapłaca i za to — pomyślał o armatorach, wchodząc w obszar cienia, rzucanego przez rufę. Z odrzuconą w tył głową zatrzymał się pod lejem pierwszej wyrzutni. Obrzeże ziejące zbyt wysoko, by mógł go dosięgnąć, pokrywały grube nawarstwienia kopci. Wciągnął badawczo powietrze. Choć silniki milczały od dawna, wyczuł ślad ostrego, charakterystycznego swędu jonizacji.

— Chodź no tu — powiedział ktoś z tyłu. Odwrócił się, ale nie zobaczył nikogo. I znowu usłyszał ten sam głos — jakby z odległości trzech kroków.

— Hej, jest tu kto?! — krzyknął. Głos zabrzmiał głucho pod czarną, rozdziawioną dziesiątkami wylotów kopułą rufy. Odpowiedziała cisza. Przeszedł na drugą stronę i zobaczył krzątających się w odległości jakichś trzystu metrów ludzi — stojąc rzędem, wlekli po ziemi ciężki wąż paliwowy. Poza tym było pusto. Nasłuchiwał chwilę, aż doszły go, tym razem z wysoka, niewyraźne, bełkotliwe głosy. Musiał to być efekt wylotowych lejów: działały jak reflektor, skupiając dźwięki otoczenia. Wrócił po walizkę i ruszył z nią do trapu.

Sześciopiętrową drabinę przemierzył, nie wiedząc o tym nawet, zajęty myślami, choć jakie były — nie umiałby powiedzieć. U szczytu, na otoczonej aluminiową poręczą platformie, nawet się nie obejrzał, żeby pożegnać wzrokiem okolicę. Nie przyszło mu to do głowy. Nim pchnął klapę, powiódł palcami po pancierzu. Istna tarka. Jego chropowatość nasuwała myśl o zżartej kwasami skale.

— No, co mam robić, sam chciałem — mruknął. Kłapa otworzyła się ciężko, jakby przywalona głazami. Komora ciśnieniowa wyglądała jak wnętrze beczki. Powiódł palcami po rurach, roztarł suchy pył. Rdza.

Przeciskając się przez wewnętrzny właz zdążył jeszcze zauważyć, że uszczelka jest połatana. W górę i w dół biegły pionowe studnie korytarzy oświetlonych nocnymi lampami. Ich światło zlewało się w perspektywie w błękitną smużkę. Gdzieś szumiały wentylatory, nosowo cmokała niewidzialna pompa. Wyprostował się. Jak przedłużenie własnego ciała poczuł otaczający go masyw pokładów i pancerzy. Niech diabli wezmą — 19 000 ton!

Na drodze do sterowni nie spotkał nikogo. Korytarz wypełniała cisza tak ostateczna, jakby statek był już w próżni. Pneumatyczną wyściółkę ścian pokrywały plamy; liny, służące

za oparcie przy braku ciężenia, zwisały nisko, sparciały. Spawane i przecinane dziesiątki razy złącza rurociągów wyglądały niczym nadwęglone bulwy, wyciągnięte z popieliska. Pochylił, jedną i drugą, doszedł do sześciobocznego pomieszczenia z metalowymi drzwiami o zaokrąglonych kątach w każdej ścianie. Okręcone postronkiem, zamiast pneumatyków miedziane klamki.

Okienka numeratorów ukazywały szklane bielma. Nacisnął taster informatora — przekaźnik trzasnął, w metalowej puszcze coś zaszeleściło, ale tarczka pozostała ciemna.

No, co mam robić — pomyślał — iść ze skargą do SPT?

Otworzył drzwi. Sterownia wyglądała jak sala tronowa. W szklach martwych ekranów zobaczył się jak w lustrze — kapelusz do reszty stracił fason od deszczu, z walizką, w jesionce, robił wrażenie zabłąkanego mieszcza. Na wzniesieniu stały budzące rozmiarami szacunek fotele pilotów, zwaliste, z siedzeniem w kształcie głębokiego negatywu ludzkiego ciała — zapada się w nie po pierś. Postawił walizkę na podłodze i podszedł do pierwszego. Wypełniał go cień, niczym widmo ostatniego sternika. Uderzył dłonią w oparcie — buchnął kurz, zakręciło mu w nosie, zaczął kichać raz po raz, wściekły, aż nagle roześmiał się. Pianowa wyściółka poręczy zmurszała od starości. Kalkulatory — takich jeszcze nie widział. Ich twórca musiał się zapatrzeć w organy. Zegarów na pulpitych było jak maku — trzeba by mieć ze sto oczu, aby je na raz ogarnąć. Odwrócił się wolno. Szedł oczami od ściany do ściany, widział płataninę łątanych kabli, skorodowane płyty izolacji, żelazne koła do ręcznego opuszczania hermetycznych grodzi, wyświechtane od dotyku rąk, spłowiałą czerwień rozrządu gaśnic — wszystko było tak zakurzone, tak stare...

Kopnął amortyzatory fotela. Od razu pocięło z hydraulików.

Inni latali, to i ja potrafię — pomyślał. Wrócił na korytarz, przeciwnymi drzwiami dostał się do burtowego przejścia i poszedł przed siebie. Tuż za szybą windy zauważył na ścianie ciemniejsze, wypuczone miejsce. Przyłożył dłoń — nie omylił się. Plomba po przestrzelinie. Poszukał w otoczeniu dalszych śladów przebiccia, ale zmieniono widać całą sekcję — strop i ściany były gładkie. Wrócił oczami do plomby. Cement zastygł gruzłami, wydało mu się, że dostrzega w nim niewyraźne odbicie dłoni, które pracowały w gwałtownym pośpiechu. Wsiadł do windy i zjechał na sam dół, do stosu. Za szybą przesuwają się miarowo oświetlone cyfry pokładów: piąty... szósty... siódmy...

Na dole było chłodno. Korytarz skręcał łukiem, zbiegał się z innymi, poprzez wydłużony, niski przedsionek widział już drzwi komory stosu. Tu było jeszcze chłodniej; para oddechu białała w świetle zakurzonych lamp. Potrząsnął głową. Zamrażalniki? Musiały być gdzieś blisko. Nadstawił ucha. Blachy poszycia drgały, wstrząsane słabo dzwoniącym pulsem. Przeszedł pod nawisłymi ciężko stropami, które wtórowały głucho jego krokom, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia, że jest w głębi podziemi. Korba hermetycznych drzwi nie dawała się obrócić. Naparł mocniej — ani drgnęła. Już chciał stanąć na niej nogą, kiedy zorientował się w systemie zamkowym; musiał pierw wyciągnąć zabezpieczającą sztabkę.

Za tymi drzwiami były następne — dwuskrzydłowe, na pionowej osi, grube jak w skarbcu. Lakier łuszczył się ze stali, na wysokości oczu odczytywał resztkę czerwonych liter:

N..BEZP.....STWO

Znalazł się w ciasnym przejściu — prawie zupełnie ciemnym. Kiedy postawił nogę na progu, coś szcęknęło i prosto w twarz buchnął mu biały blask; równocześnie zajaśniała tablica z czaszką na skrzyżowanych piszczelach.

Ależ bali się wtedy! — pomyślał. Blacha stopni zabębniła głucho, kiedy schodził do komory. Znalazł się jakby na dnie wyschłej fosy — naprzeciw wypukła, niczym blanka fortecznego muru, szarzała wysoka na dwa piętra ochronna ściana reaktora, pokryta zielonkawą i żółtą ospą niewielkich wybrzuszeń. To były plomby po starych promienistych przeciekach. Spróbował policzyć je — ale kiedy wszedł na pomost i zobaczył cały mur z wysoka, dał spokój; w niektórych miejscach nie widać już było spod nich betonu.

Pomost, stojący na żelaznych kolumnkach, oddzielały od reszty komory wielkie szyby — jakby nań nasadzono pudło ze szkła. Domyślił się, że to szkło ołowiowe, mające chronić przed twardym promieniowaniem, ale i tak wydał mu się ten zabytek atomowej architektury nonsensem.

Pod czymś w rodzaju niewielkiego daszka sterczały, wycelowane w brzuch stosu, rozcapierzone promieniście liczniki Geigera. W osobnej wnęce znalazł zegary — martwe, z wyjątkiem jednego. Stos na jałowym rozruchu.

Zeszedł na dół, ukląkł i zajął do studzienki pomiarowej. Lustra peryskopu były w czarnych plamach od starości. Trochę za dużo szlaki radioaktywnej, ale ostatecznie Mars nie Jowisz — można obrócić w dziesięć dni. Wyglądało, że paliwa jest na kilka takich rejsów. Uruchomił kadmowe blendy. Wskazówka zatrzęsała się i niechętnie przesunęła na drugi koniec skali. Sprawdził opóźnienie — ujdzie. Tyle, aby kontrola SPT przepuściła — z przy-mknięciem oka.

Coś poruszyło się w kącie. Dwa zielone światełka. Zapatrzył się w nie i drgnął, bo przesunęły się wolno. Podeszedł bliżej. To był kot. Czarny, chudy. Miauknął cicho i przywarł grzbietem do jego nogi. Uśmiechnął się i poszukał w otoczeniu wzrokiem, aż znalazł wysoko, na żelaznej półce, rząd klatek. Coś białawego mrowiło się w nich niespiesznie. Od czasu do czasu lśnął między drutami czarny paciorek oka. Białe myszy. Wożono je jeszcze czasem na starych statkach jako żywe wskaźniki radioaktywnego przecieku. Pochylił się, żeby pogłaskać kota, ale ten umknął mu i zwracając głowę ku najciemniejszej, zwężonej części komory, cicho miauknął, wygiął grzbiet i na wyprężonych łapach przesunął się ku betonowej skarpie, za którą czerniało coś, jakby czworokątne przejście. Koniec wyprężonego ogona zadrgał, zwierzę pełzło dalej, już ledwo widoczne w półmroku. Pirx, zaintrygowany, zajął tam, schylając głowę. W pochyłej ścianie widniały na wpół uchylone kwadratowe drzwiczki, wewnątrz refleks światła połyskiwał na czymś, co wziął za zwoje metalowego węża. Kot wpatrywał się w to, nastroszony, jego zeszywniały ogon wykonywał drobne ruchy.

— No, co znowu, tam nic nie ma — mruknął Pirx i przysiadając prawie na obcasach zbliżył oczy do ciemnej wnęki. W środku siedział ktoś. Matowe błyski leżały na skulonym torsie. Kot zaczął zbliżać się do drzwiczek, miaucząc cichutko. Oczy Pirxa przywykały do ciemności — coraz wyraźniej dostrzegał spiczaste, wysoko uniesione kolana, lśniący słabo metal nagolenników i opasujących je, segmentowych ramion. Tylko głowa kryła się w cieniu.

Kot miauknął.

Jedno ramię poruszyło się z chrzęstem, wysunęło na zewnątrz i dotykając końcami żelaznych palców podłogi, utworzyło skośny most, po którym kot szmyrgnął błyskawicznie w górę i usadowił się na barku siedzącego.

— Hej, ty — powiedział Pirx nie wiadomo do kota czy do tego stworu, który powoli, jakby pokonując ogromny opór, jął cofać rękę. Odezwanie się Pirxa sparaliżowało ten ruch. Żelazne palce stuknęły o beton.

— Kto tam to — odezwał się zniekształcony, jakby dobywający się z żelaznej rury głos. — Terminus mówi — kto?

— Co tu robisz? — spytał Pirx.

— Ter-minus — tu-jestem — zim-no — źle — widzę — dukał chrypliwie głos.

— Czy pilnujesz stosu? — spytał Pirx. Tracił już nadzieję, że dowie się czegoś od automatu, strupieszalego jak cały statek, ale w obliczu zielonych ślepiów nie mógł jakoś zrejterować wpół słowa.

— Ter-minus — stosu — zabełkotało w betonowym schowku — ja — stosu. Stosu... — powtarzał jakby z głupkowskim zadowoleniem.

— Wstań! — krzyknął Pirx, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. W środku zachrząściło. Cofnął się o krok, widząc, jak z ciemności wysuwają się dwie żelazne rękawice o rozstawionych palcach, obracają się na zewnątrz, jak zaczepiają o framugę i zaczynają holo-

wać tułów, w którym przeciągle zachrobotało. Metalowy kadłub gibał się, wyrzwał na światło i stawał przy zgrzytaniu i pisku wszystkich stawów. Na poprzecznych złączach blachy, zacieśniając kurz, który ją pokrywał, wystąpiły krople oliwy. Podobny raczej do rycerza w zbroi anizeli do automatu chwiał się powoli na boki.

— Czy tu jest twoje miejsce? — spytał Pirx. Szklane oczy automatu rozeszły się na boki, krążąc wolno po otoczeniu, i ten zez nadał jego płaskiej, metalowej twarzy wyraz całkowitej tępoty.

— Plomby przygotowane — dwa — sześć, osiem funtów — źle — widać — zimno...

Głos wydobywał się nie z głowy, lecz z szerokiej tarczy piersiowej automatu.

Kot, zwinięty w kłębek, patrzył na Pirxa z wysokości jego barku.

— Plomby — gotowe — skrzeczał dalej Terminus. Wykonywał jednocześnie drobne ruchy, będące zaczątkami dobrze Pirxowi znanej operacji — jak gdyby nabierał czegoś z powietrza szufłowato ustawionymi garściami i pchnięciem umieszczał to gdzieś przed sobą — tak, naprzemiennymi ruchami, opatruje się radioaktywne przecieki. Oksydowany tors zachwiał się gwałtowniej, czarny kot zgrzytnął pazurami po blasze, nie utrzymał się i z gniewnym fuknięciem buchnął czarną smugą w dół, dotykając w przelocie nóg Pirxa. Automat jakby tego nie zauważył. Umilkł, tylko jego ręce wkiwały się jeszcze w szczątkowych, gasnących ruchach, które stanowiły jak gdyby coraz słabsze, nieme echo jego słów — aż zamarł.

Pirx spojrział na całą w zaciekach, skamieniałą od starości ścianę reaktora, pokrytą raz koło razu ciemniejszymi plamami cementowych opatrunków, i wrócił oczami do Terminusa. Musiał on być bardzo stary — kto wie, czy nie starszy od statku. Prawy bark wyglądał na wymieniony, biodra i uda nosiły wyraźne ślady, spawania, dokoła żelaznych szwów blacha, odpuszczona żarem, przybrała granitową niemal barwę.

— Terminus! — krzyknął, zupełnie jakby odzywał się do głuchego — idź na swoje miejsce!

— Słucham. Terminus.

Automat cofnął się tyłem, niczym rak, do otwartego schowka, i zgrzytając jął wciskać się do środka. Pirx obejrzał się za kotem, ale nigdzie go nie było. Wrócił na górę, zamknął za sobą hermetyczne drzwi i pojechał windą na czwarty pokład — do kabiny nawigacyjnej.

Szeroka i niska, z poczerniałą, dębową boazerią i belkowanym stropem, przypominała kajutę okrętową. Miała okrętowe iluminatory w miedzianych pierścieniowych ramach, przez które padało dzienne światło. Jakies czterdzieści lat temu panowała taka moda; nawet plastikowe pokrycia ścian imitowały wówczas drewnianą klepkę. Otworzył okrągłe okno i omal nie stuknął czołem w głuchy mur. Złudzenie dziennego światła dawały ukryte jarzeniówki. Zatrzasnął okno i odwrócił się. Z gwiazdowych stołów aż na podłogę zwisały mapy nieba, bladoniebieskie jak morza w geografii, po kątach walały się rulony zużytej kalki, upstrzone kursowymi wykresami, rysownica pod punktowym reflektorkiem cała była podziobana ukłuciami cyrkli, w kącie stało biurko, przed nim — dębowy fotel przyśrubowany do podłogi, pod siedzeniem miał kulowy przegub, żeby można je pochylać w dowolną stronę, obok ciągnęły się wpuszczone w boazerię zwaliste szafy biblioteczne.

Istna arka Noego.

Czy to dlatego agent, już po podpisaniu umowy, powiedział mu „dostaje pan historyczny statek”?

Stary — to jeszcze nie historyczny.

Zaczął kolejno wysuwać szuflady biurka, aż znalazł książkę okrętową — wielką, w wyszlizganej, skórzanej oprawie, z zaśnieżonymi okuciami. Wciąż stał, jakby nie mogąc się zdobyć na zajęcie tego wielkiego, wysiedzianego fotela. Odchylił okładkę. Na pierwszej stronie widniała data próbnego rejsu i fotogram aktu technicznego stoczni. Mrugnął powiekami, nie było go jeszcze wtedy na świecie. Poszukał ostatniego zapisu ten był teraz najważniejszy. Zgadzał się z tym, co usłyszał od agenta — statek od tygodnia ładował maszyny i



drobnicę dla Marsa, start, wyznaczony na 28, opóźnił się — od trzech dni liczy się postojowe. To dlatego tak się spieszyli — postojowe w ziemskim porcie może zrujnować milionera...

Kartkował wolno książkę, nie czytając wyblakłego pisma, chwycił tylko pojedyncze, stereotypowe zwroty, kursowe cyfry, wyniki obliczeń — nie zatrzymywał się nigdzie, jakby szukając w niej czegoś innego. Ze strumienia kartek wyłoniła się jedna — na górze:

Statek wprowadzony do stoczni Ampers-Hart na remont I kategorii.

Data pochodziła sprzed trzech lat.

I cóż takiego ulepszyli? Nie był taki znów ciekawy, ale przejrzał spis robót, dziwiąc się coraz bardziej — wymieniono panczerze dziobowe, szesnaście sekcji pokładów, wręgi obsady reaktora, grodzie hermetyczne...

Nowe grodzie i wręgi?

Prawda — agent mówił coś o jakiejś starej awarii. Ale to nie była zwykła awaria — raczej katastrofa.

Odwrócił stronę, żeby dowiedzieć się czegoś z zapisów poprzedzających remont. Najpierw znalazł port przeznaczenia: Mars. Ładunek: drobica. Załoga: pierwszy oficer-inżynier Pratt, drugi — Wayne, piloci Potter i Nolan, mechanik Simon...

A dowódca?

Cofnął się jeszcze o stronę i drgnął.

Data przejścia statku — sprzed dziewiętnastu lat. I podpis:

Pierwszy nawigator — Momssen.

Momssen!

Owionął go suchy żar.

Jak to Momssen? Przecież chyba nie t e n Momssen! Przecież... przecież tamto — to był inny statek!

Ale data zgadzała się: upłynęło od niej dziewiętnaście lat. Zaraz. Tylko powoli. Powoli.

Wrócił do książki okrętowej. Zamaszyste, wyraźne pismo. Wyblakły atrament. Pierwszy dzień podróży. Drugi, trzeci. Mierny przeciek reaktora: 0,4 rtg/godzinę. Nałożono plomby. Obliczenia kursu. Gwiazdowy fix.

Dalej, dalej!

Nie czytał: skakał oczami po zwartych rządach pisma.

Jest!

Data, której uczył się w szkole jako chłopiec, i pod nią:

O godz. 16,40 Cz. L. odebrane Ostrzeżenie Met. Dejmosa przed pochodzącą z jowiszowej perturbacji Leonidów chmurą, idącą kursem kolizji z chyż. 40 km/sek. przez sektor własny. Odbiór O.M. potwierdzony. Ogłoszony alarm P—M dla załogi. Przy utrzymującym się przecieku reaktora 0,42 rtg/godz. podjęty manewr wymijający całą mocą z wyjściem przybliżonym na deltę Oriona.

Niżej, od nowej linii:

O godz. 16,51 Cz. L. na

Reszta karty była pusta.

Żadnych znaków, bazgrot, plam, nic — oprócz niepotrzebnie przedłużonej w dół, nie skręcającej wedle nakazów kaligrafii, pionowej kreseczki ostatniej litery - „a”.

Jej kilkumilimetrowe, nieco chwiejne przeciągnięcie, którym urywało się regularne pismo, wychodząc na biały obszar papieru, zawierało już wszystko: grzmot trafień, wyjąca ucieczkę powietrza, krzyk ludzi, którym pękały gałki oczne i gardła...

Ale tamten statek nazywał się przecież inaczej. Inaczej. Jak?

To było jak we śnie: nazwy tej, tak chyba sławnej jak nazwa statku Kolumba, nie mógł sobie przypomnieć!

Boże — jakże się nazywał ten statek, ostatni statek Momssena?!

Skoczył do biblioteki. Gruby tom rejestru Lloyda sam wskoczył mu w rękę. To było jakoś na K. Kosmonauta? Nie. Kondor? Nie. Coś dłuższego — jakiś dramat — bohater czy rycerz...

Rzucił tom na biurko i zwięzonymi oczami przypatrywał się ścianom. Między biblioteką a szafą z mapami wisiały na boazerii przyrządy — hygrometr, indykator promieniowania, wskaźnik dwutlenku węgla...

Odwrócił je po kolei. Żadnych napisów. Wyglądały zresztą na nowe.

Tam, w kącie!

Wkręcona w dębową płytę świeciła tabliczka radiografu. Takich już nie produkują — śmieszne, odlane w mosiądzu ozdóbki okalały tarczę... Odkręcał szybko śruby, ujmując je ostrożnie końcami palców, szarpnął obsadę, została mu w dłoni — odwrócił metalowe pudełko. Na spodniej stronie wryty był w złocistym mosiądzu jeden wyraz: KORIOLAN.

To był ten sam statek.

Powiódł wzrokiem po kabinie. Więc to tu, na tym fotelu siedział wtedy — w tej ostatniej chwili — Momssen?

Rejestr Lloyda otwarł się na „K”. KORONA POŁUDNIOWA, KORSARZ, KORIOLAN. Statek Kompanii... 19 000 ton masy spoczynkowej... wypuszczony ze stoczni w roku... reaktor uranowowodny, system... chłodzenie... ciąg... zasięg maksymalny... wprowadzony na linię Terra-Mars, utracony wskutek kolizji z potokiem Leonidów, po szesnastu latach odnaleziony przez statek patrolowy w aphelium orbity... po remoncie I kat. przeprowadzonym w Ampers-Hart wprowadzony przez Kompanię Południową na linię Terra-Mars... transport drobnicy... taryfa ubezpieczeniowa... nie, nie to... jest — ...pod nazwą „Błękitna Gwiazda”.

Przymknął oczy. Jak tu cicho. Zmienili nazwę. Pewno żeby nie mieć trudności z werunkiem załogi. To dlatego ten agent...

Zaczął przypominać sobie, co mówiono o tym w Bazie. To ich statek patrolowy odkrył wrak. Ostrzeżenia meteorytowe przychodziły wtedy zawsze zbyt późno. Ogłoszony protokół komisji był lakoniczny: „Siła wyższa. Niczyjej winy”. A załoga? Odnaleziono ślady świadczące o tym, że nie wszyscy zginęli natychmiast — że wśród ocalałych był sam dowódca, który sprawił, że ci ludzie, odcięci od siebie częściami zgniecionych pokładów, mimo braku nadziei na ratunek, nie załamali się i żyli do ostatniej butli tlenu — stanowiąc załogę — do końca. Była tam jeszcze jakaś osobliwa rzecz, jakiś makabryczny szczegół, powtarzany przez całą prasę przez kilka tygodni, aż nowa sensacja zepchnęła wszystko w niepamięć — co to było?

Naraz zobaczył wielką salę wykładową, tablicę zabazgraną wzorami, przy których biegał się Śmiga, cały umączony kredą — a on, z głową schyloną nad wysuniętą szufladą stołu, czytał ukradkiem płasko rozłożoną na dnie szuflady gazetę. „Kto może przeżyć śmierć? Tylko martwy”. Ależ tak! Tak to było! Jeden ocalał w katastrofie, bo nie potrzebował tlenu ani żywności i spoczywał, przywalony gruzami, przez szesnaście lat — automat.

Wstał. Terminus! Na pewno, na pewno Terminus. Ma go tu, na pokładzie. Gdyby tylko chciał, gdyby odważył się...

Nonsens. To mechaniczny debil, maszyna do plombowania przecieków, głucha i ślepa od starości. To tylko prasa, w swoim wiecznym usiłowaniu wyciśnięcia maksimum sensacji z każdego zdarzenia, zrobiła z niego krzyczącymi nagłówkami tajemniczego świadka tragedii, którego Komisja miała przesłuchiwać przy zamkniętych drzwiach. Przypomniał sobie tępe skrzeczenie automatu. Bzdura, oczywista bzdura!

Zatrzasnął książkę okrętową, wrzucił ją do szuflady i spojrzął na zegarek.

Ósma, trzeba się spieszyć. Odszukał papiery ładunku. Luki były już zamknięte, kontrola portowa i sanitarna dokonana, deklaracje celne zawizowane, wszystko gotowe. Przejrzał przy

biurku certyfikat towarowy i zdziwił się, że nie ma dokładnej specyfikacji frachtu. Maszyny, dobrze, ale jakie maszyny? Jaka tara? Dlaczego brak diagramu załadowania z wykreślonym środkiem ciężkości? Nic, oprócz wagi łącznej i schematycznego szkicu rozlokowania w ładowniach. W rufowych było ledwo 300 ton ładunku — dlaczego? Czyżby statek szedł na zmniejszonym udźwigu? I o czymś takim on dowiaduje się przypadkiem, w ostatniej niemal chwili?! W miarę jak coraz śpieszniej grzebał się w teczkach, w segregatorach, rozrzucał papiery, wciąż nie mogąc znaleźć tego, którego akurat szukał, tamta historia ulatniała mu się z pamięci, tak że spojrzawszy w pewnej chwili na wyjęty z oprawy radiograf — aż drgnął ze zdziwienia. Za chwilę jednak wpadł mu w ręce jakiś świstek, z którego wyczytał, że w ostatniej ładowni, przytykającej dnem do tarczy ochronnej stosu, znajduje się czterdzieści osiem skrzyń żywności. I znowu na specyfikacji widniało tylko ogólne określenie „łatwo psujące się środki żywnościowe”. Dlaczego zatem umieszczono je tam, gdzie wentylacja jest najgorsza, a temperatura podczas pracy silników najwyższa? Umyślnie, żeby się zepsuły, czy jak?

Rozległo się pukanie.

— Proszę — rzucił, usiłując na chybił trafił powkładać do teczek rozwłózione po całym biurku papiery. Weszło dwóch mężczyzn. Stojąc u progu, odezwali się:

— Boman, inżynier-nukleonik.

— Sims, inżynier-elektryk.

Pirx wstał. Sims był młody, szczupły, z wiewiórczym wyrazem twarzy, pokaszliwał i rzucał oczami. Boman — Pirx na pierwszy rzut oka poznał w nim weterana. Jego twarz pokrywała opalenizna o charakterystycznym pomarańczowym odcieniu, jaki nadaje długotrwałe działanie drobnych, sumujących się dawek promieni kosmicznych. Sięgał Pirxowi ledwo do ramienia: w czasach, kiedy zaczynał latać, liczył się jeszcze każdy kilogram wagi na pokładzie. Choć chudy, twarz miał jakby rozlaną, a wokół oczu ciemne torby po obrzękach, jak zwykle u kogoś, przez całe lata poddawanego wielokrotnym przeciążeniom. Dolna warga nie osłaniała zębów.

Ja też będę kiedyś tak wyglądał — pomyślał Pirx, idąc ku nim z wyciągniętą ręką.

## II

Piekło zaczęło się o dziewiątej. Na lotnisku był normalny ruch — do startów kolejka, co sześć minut bełkotanie wielkich megafonów, ostrzegawcze race, potem huk, ryk, grzmot silników na próbie pełnego ciągu, po każdym starcie całymi kaskadami opadał wzbity wysoko kurz, jeszcze dobrze nie osiadł, jak z wieżyczki obwieszczano wolną drogę następnemu — wszystkim spieszyło się, każdy chciał urwać jeszcze parę minut, jak zwykle w towarowym porcie podczas szczytu: prawie każdy statek szedł na Marsa, który wołał rozpaczliwie o maszyny i zieleniny — ludzie nie widzieli tam kawałka jarzyny całymi miesiącami, hydroponiczne solaria dopiero się budowały.

Do podstawianych rakiet toczyły się tymczasem dźwigi, betoniarki, elementy kratowych konstrukcji, bele szklanej waty, cysterny z cementem, ropą, lekarstwa — na sygnał wszyscy ludzie kryli się, gdzie kto mógł, w rowach przeciwpromiennych, w opancerzonych ciągnikach, a jeszcze beton dobrze nie ostygł, kiedy wracali do roboty. O dziesiątej, kiedy słońce, całe w dymach, czerwone, jakby spuchnięte, wzniosło się nad widnokrąg, ochronne przypory betonowe między stanowiskami startowymi były poryte, okopcone, przeżarte ogniem, głębokie pęknięcia zachlapywano naprędce szybko schnącym cementem, który błotnistymi fontannami walił z węzłów, tymczasem załogi antyradiacyjne wyskakiwały z transporterów w wielogłowych skafandrach, żeby strugami sprężonego piachu ścierać promieniste

zanieczyszczenia, we wszystkie strony na syrenach pędziły pomalowane w czerwono-czarne szachownice łaziki kontroli, na wieży kapitanatu ktoś urywał sobie gardło przy megafonie, u szczytu ostrych wież młynkowały wielkie bumerangi radarów — jednym słowem, wszystko było tak, jak ma być. Pirx dwoił się i troił. Trzeba było przyjąć jeszcze na pokład dostarczone w ostatniej chwili świeże mięso, zatankować wodę do picia, sprawdzić aparaturę chłodni (minimalna wynosiła minus pięć, delegat SPT kręcił głową, ale w końcu zlitował się i podpisał), sprężarki, choć po generalnym remoncie, zaczęły na próbie łzawić spod zaworów, głos Pirxa upodabniał się z wolna do jerychońskiej trąby, naraz okazało się, że woda jest źle rozmieszczona — jakiś kretyn przerzucił zawór, nim wypełniły się denne zbiorniki — podpisywał papiery, wtykano mu po pięć na raz, nie wiedział, co podpisuje. Na zegarze była jedenaśta — mieli godzinę do startu — i wtedy bomba.

Kapitanat nie da wolnej drogi, bo stary system dysz, zbyt niebezpieczny opad radioaktywny — statek powinien mieć pomocniczy napęd borowodorowy, tak jak „Gigant” — ten frachtowiec, który startował o szóstej — Pirx, już zachrypnięty od krzyku, naraz się uspokoił. Czy dyspozytor ruchu zdaje sobie sprawę z tego, co mówi? Czy dopiero teraz zauważył „Błękitną Gwiazdę”? Z tego mogą być wielkie — bardzo wielkie nieprzyjemności. O co chodzi? Dodatkowa osłona? Z czego? Worki z piaskiem. Ile? Bagatelka — trzy tysiące sztuk. Proszę bardzo — on i tak wystartuje w wyznaczonym czasie. Rachunek Kompanii zostanie obciążony. Proszę obciążać.

Pocił się. Wszystko jakby się sprzysięgło, żeby powiększyć jeszcze i tak panujący chaos: elektryk wymyśla mechanikowi, który nie sprawdził awaryjnego rozrządu, drugi pilot wyskoczył gdzieś na pięć minut, nie ma go na pokładzie, z narzeczoną się żegna, felczer w ogóle znikł, czterdzieści pancernych mamutów zajechało pod statek, okrążyło go, ludzie w czarnych kombinezonach biegiem układają worki z piaskiem, semafor na wieżycze nagli ich dzikimi łamańcami, przyszedł jakiś radiogram, zamiast pilota odebrał go elektryk, zapomniał wciągnąć do książki radiowej, zresztą to nie jego rzecz, Pirxowi kręciło się już w głowie, udawał tylko że wie, co się dzieje — na dwadzieścia minut przed godziną zero powziął dramatyczną decyzję: kazał przepompować całą wodę z dziobowych zbiorników na rufę. Niech się dzieje, co chce — najwyżej zagotuje się, ale za to stateczność będą mieli lepszą.

O jedenastej czterdzieści — próba silników. Od tej chwili odwrotu już nie było. Okazało się, że nie wszyscy ludzie są do niczego — zwłaszcza Boman przypadł mu do gustu — nie widziało się go ani słyszało, a wszystko szło jak w zegarku: przedmuch dysz, mały ciąg, pełny — na sześć minut przed zerem, kiedy kapitanat wyrzucił sygnał DO STARTU, byli gotowi. Wszyscy leżeli już na rozłożystych fotelach, gdy znalazł się felczer; drugi pilot; Mulat, wrócił bardzo markotny od narzeczonej, głośnik charczał, beczał, mruczał, nareszcie wskazówka automatu nakryła zero, dostali wolną drogę. Start.

Pirx wiedział oczywiście, że 19 000 ton to nie patrolowa skorupka, w której jest akurat tyle miejsca, żeby się szeroko uśmiechnąć, statek nie pchła, nie skoczy, trzeba wyrabiać ciąg — ale czegoś takiego się nie spodziewał. Mieli już pół mocy na zegarach, kadłub drżał od rufowych wyrzutni do szczytu, jakby się miał rozlecieć w kawałki, a wskaźnik obciążenia mówił, że jeszcze się nie oderwali od betonu. Przemknęło mu przez głowę, że „Gwiazda” może zaczepiła o coś — podobno taka rzecz zdarza się raz na sto lat — w tym momencie wskaźnik ruszył. Stali na ogniu, „Gwiazda” dygotała, wskazówka grawimetru tańczyła jak szalona po skali; z westchnieniem osunął się na poduszki, rozluźniając mięśnie — odtąd, choćby chciał, nic już nie mógł zrobić. Szli w górę. Od razu dostali radiowe upomnienie za start całą mocą — bo to daje nadmierne skażenie radioaktywne. Kompania? Bardzo dobrze, niech płaci, niech ją cholera weźmie! Pirx tylko się skrzywił, nie próbował nawet spierać się z kapitanatem, że startował połową ciągu. Czy miał może lądować, wzywać komisję i żądać protokolarnego odpięczętowania zapisu w uranografach?

Zresztą w tej chwili miał na głowie coś zupełnie innego: przebijanie atmosfery. W życiu

nie siedział jeszcze na statku, który się tak trząsał. Podobnie mogli się czuć chyba tylko ludzie w głowicy średniowiecznego taranu, walącego mur. Wszystko wprost skakało, latali w pasach, że dusza z nich wychodziła, grawimetr nie mógł się zdecydować, pokazywał to 3,8 to 4,9, podpełzał bezwstydnie do piątki i jak przestraszony zlatywał nagle na trzy. Zupełnie jakby kluski mieli w wyrzutniach! Szli już całą mocą, oczywista. Pirx obiema rękami przyciskał haubę do głowy, bo inaczej nie słyszał głosu pilota w słuchawkach — tak ryczała „Gwiazda”! Nie był to triumfalny grzmot balistyczny. Jej walka z ziemską grawitacją przypominała pełną rozpaczony agonię. Przez dobre parę minut można było myśleć, że to nie oni startują z Ziemi, ale wiszą nieruchomo, odpychając planetę całą mocą odrzutu — tak wyczuwalny był pełen męczarni wysiłek „Gwiazdy”! Wszystkie blachy, złącza aż zamazało w konturach od wibracji i Pirxowi wydało się, że słyszy trzaskanie puszcających szwów, ale to było złudzenie — w tym piekle nie złowiłby nawet trąb sądu ostatecznego.

Temperatura powłoki dziobu — o, to był jedyny wskaźnik, który się nie wahał, nie cofał, nie skakał ani nie zatrzymywał, ale spokojnie laził w górę, jakby miał przed sobą jeszcze co najmniej metr miejsca na skali, a nie same końcowe, czerwone cyfry: 2500, 2800 — zostało ledwo parę kresek, kiedy Pirx spojrział w tę stronę. Przy tym nie mieli nawet szybkości orbitalnej, wszystko, czego się dorobili, to było 6,6 km/sek. w czternastej minucie lotu! Przeszła go okropna myśl, jak w koszmarze, który nawiedza czasem pilotów, że w ogóle się nie oderwał, a to, co bierze za śmigające w ekranach chmury, jest po prostu parą buchającą z pękniętych rur chłodzenia! Tak źle jednak nie było: lecieli. Felczer leżał blady jak ściana i chorował. Pirx pomyślał sobie, że z opieki lekarskiej, którą ten nad nimi roztoczy, nie będzie wielkiej pociechy. Inżynierowie trzymali się dobrze, a Boman nawet się nie spociał — leżał sobie siwy, spokojny, szczupły, jak chłopczyk, z zamkniętymi oczami. Spod foteli, z amortyzatorów, sikał na podłogę płyn hydrauliczny, aż miło — tłoki dobijały niemal do końca, Pirx był tylko ciekaw, co się stanie, jak naprawdę dobiją.

Ponieważ był przyzwyczajony do całkiem innego, nowoczesnego układu zegarów, wciąż głowa obracała mu się w niewłaściwą stronę, kiedy chciał skontrolować ciąg, chłodzenie, szybkość, co tam z powłoką, no i przede wszystkim, czy siedzą na synergicznej.

Pilot, z którym porozumiewał się krzykami przez interkom, trochę jakby się stracił — to wchodzili na kurs, to wychodzili, wahnięcia naturalnie drobne, ułamkowe, ale przy przebijaniu atmosfery wystarczą, żeby zaraz jedna burta zaczęła grzać się mocniej od drugiej — w pancerzu powstają wtedy kolosalne napięcia termiczne, skutki mogą być fatalne — pocieszał się tylko nadzieją, że skoro ta kosmata skorupa wytrzymała setki startów, to wytrzyma i ten.

Wskazówka termopary naprawdę doszła do końca skali : 3500 stopni jak obszył, tyle mieli na zewnątrz, i gdyby to miało trwać jeszcze dziesięć minut, wiedział, że powłoka zacznie się rozłazić — karbidki też nie są niezniszczalne. Jaki gruby był pancerz? Na to nie było żadnego wskaźnika, w każdym razie — porządnie nadpalony. Robiło mu się gorąco, ale tylko z wrażenia, bo wewnętrzny termometr stał na dwudziestu siedmiu, jak przy starcie. Byli na sześćdziesiątym kilometrze, atmosfera została praktycznie pod nimi, szybkość — 7,4 km/sek. Szli trochę równiej, ale wciąż na potrójnym niemal ciężeniu. Ta „Gwiazda” ruszała się jak ołowiany kloc. W żaden sposób nie można jej było uczciwie rozpedzić — nawet w próżni. Dlaczego? Pojęcia nie miał.

Pół godziny potem leżeli już na kursie Arbitra — dopiero za tym, ostatnim z pelengujących satelitów, mieli wejść na szlak ekliptyczny Ziemia-Mars. Wszyscy popodnosili się, Boman masował sobie twarz, Pirx czuł, że i jemu też obrzękły trochę wargi, zwłaszcza dolna — ludzie mieli przekrwione, nastrzykane oczy, suchy kaszel i chrypkę, ale to były normalne objawy przechodzące zwykle bez śladu po jakiejś godzinie.

Stos pracował jako tako, ciąg wprawdzie nie spadł, ale i nie urósł, a w próżni powinien się być właściwie zwiększyć — jakoś nie chciał. Nawet prawa fizyki zdawały się obowiązywać tylko mniej więcej na „Gwieździe”. Mieli prawie normalne, ziemskie przyspieszenie i 11

kilometrów na sekundę. Oczekiwało ich jeszcze rozpedzenie „Gwiazdy” do normalnej kurierskiej, inaczej bowiem wlekliby się na Marsa miesiącami; na razie szli prosto na Arbitra.

Pirx, jak każdy nawigator, oczekiwał od niego samych tylko przykrości a to ostrzeżenia, że statek ma nieprzepisowo wielki płomień wylotowy, a to, że odbiera mu się pierwszeństwo dla przepuszczenia jakiegoś ważniejszego, a to, że wyładowania jonizacyjne w dyszach zakłócają radiowy odbiór — tymczasem nic. Arbitr przepuścił ich od razu, dogonił ich jeszcze radiogram „wysokiej próżni”, Pirx odpowiedział i na tym skończyła się wymiana kosmicznych grzeczności.

Weszli na kurs bezpośredni, Pirx kazał zwiększyć ciąg, przyspieszenie wzrosło, można już było ruszać się, rozprostować kości, wstać — radiomonter, który był i kucharzem, poszedł do kambuza. Wszyscy byli przy apetytach, zwłaszcza Pirx, który nie jadł jeszcze nic, a przy starcie spocił się jak mysz; w sterowni temperatura teraz dopiero zaczęła rosnąć, bo żar rozpalonego pancerza przenikał do wnętrza z opóźnieniem. Czuć było rzadki olej, który wyciekł z hydraulików i otoczył fotele całymi kałużami.

Jądrowiec zjechał do stosu sprawdzić, czy nie ma neutronowych przecieków, Pirx rozmawiał tymczasem z elektrykiem przyglądając się gwiazdom. Okazało się, że mają wspólnych znajomych. Pirxowi pierwszy raz od chwili, kiedy stanął na pokładzie, poczęło robić się raźniej na duszy; jaka ta „Gwiazda” jest, taka jest, a 19 000 ton — nie w kij dmuchał. Zresztą prowadzić takiego trupa jest znacznie trudniej niż przeciętny frachtowiec, więc i honor większy, i doświadczenie się gromadzi.

Półtora miliona kilometrów za Arbitrem przeżyli pierwszy wstrząs: obiadu nie dało się jeść. Radiomonter zawiódł straszliwie. Najbardziej pieklił się felczer — okazało się, że jest chory na żołądek, przed samym startem kupił kilka kur, dał jedną monterowi — i rosół był pełen pierza. Dla reszty miały być befsztyki — można było zajmować się nimi przez resztę życia.

— Hartowane czy co? — powiedział drugi pilot i tak dziobnął widelcem swoją porcję, że wyskoczyła z talerza.

Monter był niewrażliwy na docinki. Poradził felczerowi, żeby sobie ten rosół przecedził. Pirx czuł, że powinien wystąpić jako rozjemca, a właściwie jako zwierzchnik, ale nie wiedział, co robić. Chciało mu się śmiać.

Po obiedzie z puszki wrócił do sterowni. Kazał zrobić pilotowi kontrolny fix gwiazdowy i wpisawszy do książki okrętowej zapisy grawimetrów, spojrzął na zegary stosu. Gwizdnął cichutko. To nie był stos, ale wulkan. Miał osiemset stopni w obudowie — po czterech godzinach lotu. Chłodziwo krążyło pod maksymalnym ciśnieniem dwudziestu atmosfer. Pirx zastanowił się. Najgorsze jak gdyby już przeszli. Lądowanie na Marsie nie stanowiło problemu — ciężenie o połowę mniejsze, atmosfera rzadka. Jakoś się da. Inna rzecz, że ze stosem trzeba coś zrobić. Podeszedł do Kalkulatora i obliczył, jak długo muszą jeszcze iść obecnym ciągiem, żeby wleźć na kurierską. Przy szybkości mniejszej od 80 km/sek. wyrobiliby olbrzymie opóźnienie.

— Jeszcze siedemdziesiąt osiem godzin — odpowiedział kalkulator.

Siedemdziesiąt osiem takich godzin musiało rozsadzić stos. Rozleciałby się jak jajko. O tym Pirx nie wątpił. Zdecydował, że wyrobią szybkość na raty — po trochu. Tyle, że to skomplikuje trochę kurs, no i lecieć trzeba będzie okresami bez ciągu, więc bez grawitacji — co nie należy do przyjemności. Innej rady jednak nie było. Kazał pilotowi nie spuszczać oka z astrokompasu, a sam zjechał windą w dół, do reaktora. Idąc ciemnym korytarzem między ładowaniami, usłyszał przygłuszony łomot — jakby po żelaznych płytach szedł pancerny zastęp. Przyspieszył kroku. Naraz kot przeleciał mu czarną smugą pod nogami, a równocześnie gdzieś blisko huknęły drzwi. Zanim oświetlona zabrudzonymi lampami czeluść głównego korytarza otwarła się przed nim, wszystko ucichło. Miał przed sobą pustkę poczerniałych ścian, tylko w głębi jakaś jarzeniówka drgała jeszcze od wstrząsu, który rozchybotał ją przed

chwilą.

— Terminus! — krzyknął na chybił trafił. Odpowiedziało tylko echo. Zawrócił i burtowym przejściem dostał się do przedsionka stosu. Boman, który zjechał tu przed nim, już nie było. Wysuszone na piasek powietrze szczypało w oczy. W lejach wentylatorów buszował gorący wiatr, szum i hałas był taki jak w parowej kotłowni. Stos, jak każdy stos, pracował bezgłośnie — wyły obciążone do ostateczności agregaty chłodzenia. Zamurowane w betonie kilometry rurociągów, którymi śmigał lodowaty płyn, wydawały przedziwne, jakby skarżące się, bełkotliwe jęki. Strzałki pomp leżały za soczewkowatymi szklami pochylone jak jedna na prawo. Pośród zegarów jaśniał jak księżyc najważniejszy — gęstości strumienia neutronów. Wskazówka dotykała niemal czerwonej granicy — widok, który każdego inspektora SPT mógł przyprawić o udar serca.

Chropawa od cementowych łat, podobna do skały betonowa ściana zionęła martwym upałem, blachy pomostu delikatnie wibrowały, wsączając w całe jego ciało nieprzyjemne drżenie, światło lamp połyskiwało tłusto w migocących tarczach wentylatorów; jedna z sygnałowych lampek, dotąd biała, poczęła mrugać, aż zgasła i wnet zapłonął w tym miejscu czerwony sygnał. Wszedł pod pomost, gdzie mieściły się wyłączniki rozrządu, ale Boman uprzedził go już: zegarowy automat nastawiony był na rozerwanie reakcji łańcuchowej za cztery godziny. Nie ruszył go, skontrolował tylko Geigery. Cykały spokojnie. Sygnalizator wskazywał drobny przeciek — 0,3 rentgena na godzinę. Zajrzał jeszcze w ciemny kąt komory. Był pusty.

— Terminus! — krzyknął. — Hej, Terminus!

Nie było odpowiedzi. W klatkach białymi plamkami skakały niespokojne myszy — wiadać kiepsko się czuły w isticie podzwrotnikowej temperaturze. Wrócił na górę i zaryglował za sobą drzwi. Dreszcz przeszedł go w chłodnym powietrzu korytarza — koszulę miał mokrą od potu. Nie wiadomo po co zapuścił się w zwężające się ku tyłowi, ciemnawe korytarze rufy, aż drogę zamknął mu ślepy mur. Dotknął go dłonią. Mur był ciepły. Westchnął, zawrócił, pojechał windą na czwarty pokład, do nawigacyjnej i wziął się do wykreślenia kursu. Kiedy się z tym uporał, zegar wskazywał dziewiątą. Zdziwił się, bo ani spostrzegł, jak zleciał mu czas. Zgasił światło i wyszedł.

Wsiadając do windy poczuł, że podłoga uchodzi mu miękko spod stóp. Automat wyłączył stos zgodnie z programem.

W słabo oświetlonym nocnymi lampkami korytarzu śródokręcia miarowo szumiały wentylatory. Iskry dalekich żarówek filowały w krzyżujących się prądach powietrza. Odepchnął się lekko od drzwi windy i popłynął przed siebie. Boczna sekcja korytarza była jeszcze ciemniejsza. W niebieskawym półmroku mijał drzwi kajut, do których ani dotąd nie zajrzał. Ujścia rezerwowych włazów, oznaczone rubinowymi lampkami, otwierały swe czarne leje. Ten tak płynny, że jak gdyby śniony ruch, jakim sunął, nieważki pod zakłętymi stropami, z wielkim, nie dotykającym stopą cieniem u stóp, wiódł go coraz dalej, aż przez uchylone drzwi wpłynął do wielkiej, nie używanej messy. Pod nim, w smudze światła, długi stół flankowały rzędy foteli. Trwał w zawieszeniu ponad sprzętami jak nurek, zwiedzający wnętrze zatopionego okrętu. W słabo połyskujących szklach u ściany zatańczyły odbicia lamp, rozsypały się niebieskimi płomyczkami i zgasły. Za messą otwierało się następne, jeszcze ciemniejsze pomieszczenie. Tu nawet jego przywykłe do mroku oczy zawiodły. Po omacku dotknął końcami palców elastycznej powierzchni nie wiedząc czy to strop, czy podłoga. Odepchnął się lekko, wykręcił jak pływak i pomknął bezgłośnie dalej. W aksamitnej czerni bieleły, promieniując własnym światłem, podługowate, szeregami ustawione kształty. Poczł zimno gładkiej powierzchni — to były umywalnie. Najbliższą pokrywały czarne plamy. Krew?

Wyciągnął ostrożnie rękę. To był towot.

Jeszcze jedne drzwi. Otworzył je, wisząc skośnie w powietrzu, w szarawym półmroku przefrunęły przed jego twarzą widmowym korowodem jakieś papiery, książki, i zaszeleści-

wszy słabo znikły. Znów odbił się, tym razem nogami, i przez otwarte drzwi wychynał na korytarz w kłębach kurzu, który otoczył go i zamiast spaść, ciągnął za nim rudawym welonem.

Sznur nocnych świateł płonął nieruchomo. Jakby niebieska woda wypełniała pokłady. Poszybował ku wiszącej u stropu linie; pętle, gdy wypuszczał je z rąk, poczynęły wężować leniwie jakby zbudzone dotknięciem.

Podniósł głowę. Gdzieś, niedaleko, rozległo się stukanie. Ktoś uderzał młotkiem w metal. Płynął za tym dźwiękiem, to narastającym, to ginącym, aż dostrzegł wpuszczone w podłogę zardzewiałe szyny. Kiedyś wtaczano nimi lory do głównych ładowni. Leciał teraz szybko, z podmuchem powietrza na twarzy. Dźwięk kołatał głośniejszy. Naraz zobaczył pod stropami rurę. Wychodziła z poprzecznego korytarza. Stary, calowy przewód rurociągu. Dotknął go. Rura zadrgała. Uderzenia łączyły się w grupy, po dwa, po trzy. Nagle zrozumiał. To był alfabet Morsego.

— Uwaga...

Trzy uderzenia.

— Uwaga...

— Uwaga...

Trzy uderzenia.

— J-e-s-t-e-m-z-a-g-r-o-d-z-i-a- — dudniła rura. Odruchowo składał litery, zgłoskę, po zgłosce.

— L-o-d-w-s-z-e-d-z-i-e...

Lod? — Nie rozumiał w pierwszej chwili. Może lód? Jaki lód? Co to znaczy? Kto...

— Z-b-i-o-r-n-i-k-p-e-k-n-i-e-t-y- — odezwała się rura. Trzymał na niej dłoń. Kto to nadaje? Gdzie?

Usiłował uzmysłwić sobie przebieg rurociągu. Był to nie używany przewód awaryjny, szedł z rufy, oddając odgałęzienia na wszystkich pokładach. Ktoś ćwiczy się z Morseem? Co za pomysł! Pilot?

— P-r-a-t-t-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-p-r-a-t-t...

Pauza.

Pirx przestał oddychać. To nazwisko trafiło go jak cios. Jakaś sekundę patrzył rozszerzonymi oczami na przewód, naraz rzucił się naprzód. — To ten drugi pilot! — pomyślał, dopadł zakrętu, odepchnął się i leciał ku sterowni, nabierając szybkości, a rura dzwoniła pod nim:

— W-a-y-n-e-t-u-s-i-m-o-n...

Dźwięk oddalił się. Stracił rurę z oczu; rzucił się w bok — skręcała w poprzeczny korytarz. Z impetem odbił się od ściany i poprzez obłok kurzu wpatrzył się w zgięty kikut rury z wkręconą, zardzewiałą zaślepką. Urywała się tu. Nie szła do sterowni? Więc — więc to z rufy? Ale — tam — nikogo nie ma...

— P-r-a-t-t-w-s-z-o-s-t-y-m-z-o-s-t-a-t-n-i-a — dzwoniła rura. Wisiał pod stropem, zaczepiony zgięty palcami o rurę, jak nietoperz, tętna waliły mu w głowie. Po krótkiej pauzie poszły dalsze uderzenia:

— B-u-t-l-a-m-a-t-r-z-y-d-z-i-e-ś-c-i-d-o-z-e-r-a...

Trzy uderzenia.

— M-o-m-s-s-e-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-m-o-m-s-s-e-n...

Pauza.

Rozejrzał się. Było zupełnie cicho, tylko żaluzja wentylatora kłapała za zakrętem w podmuchach powietrza i wymiatane stamtąd śmieci ciągnęło wirując ospale w górę, rzucając pod lampami cienie na strop, jakby całymi rojami polatywały tam wielkie, niekształtne ćmy. Naraz posypały się gwałtowne uderzenia:

— P-r-a-t-t-p-r-a-t-t-p-r-a-t-t-m-o-m-s-s-e-n-n-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a-m-a-t-l-e-n-w-s-i-o-d-m-y-m-c-z-y-m-o-z-e-s-z-p-r-z-e-j-s-c-o-d-b-i-o-r...



Pauza. Światło lamp było wciąż jednakowe, śmieci i kurz krążyły powolnymi obrotami. Chciał puścić rurę, ale nie mógł. Czekał. Odezwała się.

— S-i-m-o-n-d-o-m-o-m-s-s-e-n-a-p-r-a-t-t-w-s-z-o-s-t-y-m-z-a-g-r-o-d-z-i-a-z-o-s-t-a-t-n-i-a-b-u-t-l-a-m-o-m-s-s-e-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-m-o-m-s-s-e-n...

Ostatnie, ciężkie uderzenie. Rura wibrowała po nim długo. Pauza. Kilkanaście niezrozumiałych stuknięć i szybka seria:

— S-l-a-b-o-d-o-c-h-o-d-z-i-s-l-a-b-o-d-o-c-h-o-d-z-i...

Cisza.

— P-r-a-t-t-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-p-r-a-t-t-o-d-b-i-o-r

Cisza.

Rura drgnęła. Jakby z bardzo daleka dochodziły oderwane stuknięcia. Trzy kreski. Trzy kropki. Trzy kreski. SOS. Każde następne uderzenie było słabsze. Jeszcze dwie kreski. I jeszcze jedna. I przeciągły, zamierający dźwięk, jakby ktoś skrobał czy drapał rurę — można go było słyszeć tylko w tej bezwzględnej ciszy.

Odepchnął się i głową naprzód poleciał wzdłuż rury, zakręcał, gdy ona zakręcała, unosił się, opadał, z podmuchem rozstępującego się powietrza na twarzy. Otwarty szyb. Pochylnia. Zwężające się ściany. Jedne, drugie, trzecie wrota ładowni. Zrobiło się ciemniej. Wiódł końcami palców po rurze, żeby jej nie zgubić, czarny, zapiekły kurz oskorupiał mu dłonie; był już poza pokładami, w pozbawionej stropów i podłóg przestrzeni, oddzielającej pancierz zewnętrzny od ładowni; między trawersami ciemniały napuchłe cielska rezerwowanych zbiorników, z wysoka docierały tu pojedyncze, pełne kurzu smugi światła. W jakiejś chwili spojrzął w górę i zobaczył poprzez czarny szyb dwie ulice lamp, rude od prochu, który ciągnął się za nim wydłużonym obłokiem jak dym niewidzialnego pożaru. Powietrze było tak zatęchłe, duszne, o woni nagrzaných blach. Szybował pośród ledwo majaczących cieni żelaznej konstrukcji; rura dzwoniła przeciągle:

— P-r-a-t-t-p-r-a-t-t-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-p-r-a-t-t...

Rura rozwidliła się; Zaciskał w rękach oba odgałęzienia, żeby wyczuć, skąd biegnie dźwięk, ale nie mógł odróżnić kierunku. Na chybił trafił puścił się w lewo. Jakiś wąż. Zwężający się, czarny jak smoła tunel. Na końcu — okrągłe światło. Wypadł na wolną przestrzeń. Był w przedsionku reaktora.

— T-u-w-a-y-n-e-p-r-a-t-t-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a — dzwoniła rura, kiedy odryglował pierwsze drzwi. W twarz buchnęło mu gorące powietrze. Wszedł na pomost. Sprężarki wyły. Ciepły wiatr rozburzył mu włosy. Widział w skrócie betonową ścianę reaktora, zegary świeciły, czerwonymi kroplami drżały światła sygnałów.

— S-i-m-o-n-d-o-w-a-y-n-e-a-s-l-y-s-z-e-m-o-m-s-s-e-n-a-p-o-d-e-m-n-a — łomotała tuż przy nim rura.

Wychodziła ze ściany, łukiem biegła w dół, łącząc się z głównym rurociągiem. Automat stał, rozkraczony, przed jego obsadą. Walczył jak gdyby z niewidzialnym przeciwnikiem, tak błyskawiczne były wypady jego rąk. Pełnymi garściami ciskał cementowe ciasto, rozprawał je skośnym chłasińciem, poprawiał, modelował, przechodził do następnego odcinka — wtedy następowała pauza. Pirx wsłuchał się w rytm jego pracy. Chodzące jak tłoki ramiona wybijały:

— M-o-m-s-s-e-n-r-z-u-c-p-r-z-e-w-o-d-p-r-a-t-t-t-r-a-c-i-t-l-e-n...

Terminus zastygł z uniesionymi ramionami, zawieszony naprzeciw swego na wpół ludzkiego cienia. Jego kwadratowa głowa poruszała się w lewo i w prawo. Badał następne złącze. Pochylił się. Nabrał złożoną jak szufla rękawicą cementu. Zamachnął się. Ręce wchodziły w rytm. Rura zadygotała od uderzeń:

— N-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a...

Pirx przełożył nogi przez reling i spłynął w dół.

— Terminus! — krzyknął, nim jeszcze dotknął stopami podłogi.



W tym momencie stało się coś zdumiewającego. Na tę serię, wybijaną prawą rękawicą, nałożyła się druga, daleko słabsza — wystukiwały ją palce lewej; sygnały mieszały się i przez kilkanaście sekund rurociąg trząsł się z hałasem podwójnego kucia, z którego wychynęła zamierająca seria:

— Z-m-n-o-w-r-e-c-e-n-i-m-o-g-j-u-z...

— Terminus... — powiedział samymi wargami Pirx. Cofał się ku żelaznym schodkom. Automat nie usłyszał go. Jego tors świecący od oliwy drgał zgodnie z rytmem pracy. Nawet nie słuchając, z samych jego błysnięć mógł Pirx odczytać:

— M-o-m-s-s-e-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e...

### III

Leżał na wznak. Ciemność roiała się od błysków powstających w jego oczach. Pratt szedł w głąb statku. Tak? Kończył mu się tlen. Tamci dwaj nie mogli mu pomóc. A Momssen? Dlaczego nie odpowiadał? Może nie żył już? Nie, Simon słyszał go. Musiał być gdzieś blisko — o ścianę. O ścianę? To by znaczyło, że pomieszczenie, w którym był Momssen, zawierało powietrze. Inaczej tamten nic by nie słyszał. Co słyszał? Kroki? Dlaczego wzywali go? Dlaczego się nie odzywał?

Rozdzielone na kropki i kreski głosy agonii. Terminus. Jak to się stało? Odnaleziono go pod stosem zwalisk, na dnie komory. Zapewne w miejscu, gdzie rurociąg wychodzi z niej na zewnątrz. Zasypany rumowiskiem, mógł słyszeć stukanie — jak długo? Zapasy tlenu są znaczne. Mogą wystarczyć na miesiące. Żywność też. A więc spoczywał tam, pod gruzami — zaraz. Nie było przecież ciężenia. Co go unieruchomiło? Chyba zimno. Automaty nie mogą poruszać się przy bardzo niskiej temperaturze. Olej ścina się w stawach. Płyn hydrauliczny zamarza i rozsadza przewody. Pozostaje tylko metalowy mózg — tylko mózg. Mógł słyszeć i utrzymywać sygnały, coraz słabsze; zachowały się w elektrycznych zwojach jego pamięci, jakby to było wczoraj. A on sam o tym nie wie? Jak to może być? Nie wie, że modelują rytm jego pracy? Może kłamie? Nie — automaty nie kłamią.

Zmęczenie zalewało go jak czarna woda. Może nie należało tego słuchać? Było w tym coś ohydneho, tak przypatrywać się utrwalonej w każdym szczególe agonii, śledzić jej postępy, żeby analizować potem każdy sygnał, wołanie o tlen, krzyk. Nie wolno tego robić — jeśli nie można pomóc. Był już tak nieprzytomny, że nie wiedział, o czym myśli, ale powtarzał jeszcze wargami, bez głosu, jakby sprzeciwiając się komuś:

— Nie. Nie. Nie.

Potem nie było już nic.

Zerwał się w zupełnej ciemności. Chciał usiąść na łóżku, ale przypięta kołdra nie puściła, po omacku mocował się z pasami, zrobił światło.

Silniki pracowały. Narzucił płaszcz, oceniając jednocześnie kilkakrotnym ugięciem kolan wielkość przyspieszenia. Jego ciało ważyło dobrze ponad sto kilogramów. Z półtora g? Rakieta skręcała, czuł wyraźną wibrację, szafy w ścianach potrzaskiwały przeciągle, ostrzegawczo, drzwi jednej otwarły się z gniewnym krakaniem, wszystkie nie umocowane przedmioty, ubranie, buciki, posuwały się drobnymi ruchami w stronę rufy jakby zjednoczone w jakimś skrytym zamiarze, który je zniemacka ożywił.

Podszedł do szafki interkomu, otworzył drzwiczki, w środku stał aparat podobny do starego telefonu.

— Sterownia! — krzyknął do słuchawki.

Aż skrzywił się od własnego głosu — tak bolała go głowa.

— Tu pierwszy. Co tam?

— Poprawka kursowa, nawigatorze — odpowiedział daleki głos pilota. — Zniosło nas trochę.

— Ile?

— Sze-siedem sekund.

— Jak stos? — zapytał powoli.

— Sześćset dwadzieścia w osłonie.

— A w ładowniach?

— Burtowe po pięćdziesiąt dwa, kilowe — czterdzieści siedem, rufowe — dwadzieścia dziewięć i pięćdziesiąt pięć.

— Jakże tam było odchylenie, Munro? Ile pan powiedział?

— Siedem sekund.

— Powiedzmy — odparł Pirx i rzucił słuchawkę. Pilot, oczywiście, ołgał go. Siedmio-sekundowa poprawka nie wymagałaby takich przyspieszeń. Oceniał zejście z kursu na kilka stopni.

Paskudnie grzeją się te ładownie. Co jest w rufowej? Żywność? Usiadł przy biurku.

„Błękitna Gwiazda” Terra Mars do Kompo Ziemia. Pierwszy do armatora. Reaktor grzeje ładunek stop brak specyfikacji zagrożonego na rufie stop proszę wskazania stop nawigator Pirx koniec.

Pisał jeszcze, kiedy silniki umilkły, ciężenie znikło i od nacisku ołówka uniósł się w powietrze. Niecierpliwie odbił się od sufitu, by wylądowawszy z powrotem na fotelu przeczytać jeszcze raz radiogram.

Po zastanowieniu się przedarł formularz i wrzucił kawałki do szuflady. Senność odeszła go na dobre, pozostał tylko ból głowy. Ubierać się nie chciał, była to, przy braku grawitacji, skomplikowana procedura złożona z chwiejnych podskoków i szamotania się z poszczególnymi częściami garderoby, więc tak, jak stał, w płaszczu narzuconym na pidżamę, opuścił kajutę.

Błękit nocnego oświetlenia skrywał żaloszny stan obić. W czterech najbliższych wnękach dyszały puste i czarne wyloty szybów wentylacyjnych, wałęsające się po kątach śmieci ścigało ku nim, niczym muł unoszony podmorskim prądem. Bezwzględna cisza wypełniała cały statek. Wsłuchany w nią, prawie nie poruszając się, zawisł przed wielkim własnym cieniem, który trwał skośnie pochylony na ścianie, przymknął oczy. Zdarzało się czasem, że ludzie zasypiali w takim zawieszeniu, ale było to niebezpieczne — byle zryw silników uruchomionych dla manewru mógł cisnąć bezbronnym o pokład czy strop. Nie słyszał już ani wentylatorów, ani szumu własnej krwi. Wydawało mu się, że potrafiłby tę ciszę nocną statku odróżnić od każdej innej. Na ziemi czuło się ograniczenie ciszy, jej skończoność, chwilowość. Wśród księżycowych wydm człowiek niósł z sobą własne, małe milczenie, uwięzione we wnętrzu skafandra, który wyolbrzymiał każde skrzypnięcie rzemieni nośnych, każde chrupnięcie stawów, tętno, nawet oddech — tylko statek nocą zatracał się w czarnym lodowym milczeniu.

Podniósł zegarek do oczu; dochodziła trzecia.

Jeżeli tak dalej pójdzie, wykończę się — pomyślał. Odbił się od wypukłej ścianki działowej i niczym gaszący szybkość ptak wylądował z rozpostartymi rękami na progu kajuty. Z daleka, jakby z żelaznych podziemi, dobiegł go ledwo słyszalny dźwięk.

Bang — bang — bang.

Trzy uderzenia.

Z przekleństwem zatrzasnął drzwi, zdjął płaszcz i nie troszcząc się oń cisnął go w powietrze; płaszcz wydał się powoli niczym groteskowe widmo, jał płynąć w górę. Zgasił światło, położył się i okrył głowę poduszką.

Wariat! Przeklęty żelazny wariat!!! — powtarzał z zacisniętymi powiekami, drząc z

niezrozumiałej dla samego siebie wściekłości. Zmęczenie wzięło szybko górę: ani wiedział, kiedy znów zasnął.

Otworzył oczy przed siódmą. Półprzemyślny jeszcze, podniósł rękę — nie opadła. Ciężenia nie było. Ubrał się i wyszedł. Zmierzając do sterowni, mimo woli nasłuchiwał. Było cicho. Przed drzwiami zatrzymał się. Na matowych szybach leżały zielonkawe, jakby podwodne refleksy radarowych ekranów. W środku panował półmrok. Pilot, na wpół leżąc w swoim fotelu, palił papierosa. Płaskie smugi dymu pływały przed ekranami, zapalając się od ich odbłasku. Słysząc było nagle pobrzękiwanie jakiejś ziemskiej muzyczki, przerywane kosmicznymi trzaskami. Pirx usiadł z tyłu za pilotem; nie chciało mu się nawet sprawdzić zapisów grawimetrycznych.

— Kiedy ciąg? — spytał. Pilot był domyślny.

— O ósmej. Ale jeżeli pan się chce wykapać, nawigatorze, mogę dać zaraz — to żadna różnica.

— E, nie. Niech już będzie porządek — mruknął Pirx.

Zapadło milczenie, tylko głośnik bzyczał powtarzającym się w kółko, mechanicznym motywem melodii. Pirxa jął znowu morzyć sen. Ocykał się kilka razy, znowu zapadał w drzemkę, z ciemności występowały wielkie, zielone ślepia kotów; mrugał powiekami, zamieniały się w oświetlone zegary — balansował tak na granicy jawy i snu, wtem głośnik trzasnął i odezwał się:

— Tu mówi Dejmos. Jest godzina siódma trzydzieści. Nadajemy codzienny komunikat meteorowy dla strefy wewnętrznej. Po wpływie pola grawitacyjnego Marsa powstało w roju Drakonidów, który opuścił już strefę Pasa, zawichrzenie brzeżne. W dniu dzisiejszym będzie ono przechodzić przez sektory 83, 84 i 87. Stacja meteorowa Marsa szacuje rozmiary chmury na 400 tysięcy kilometrów sześciennych. W związku z tym ogłasza się sektory 83, 84 i 87 za zamknięte dla żeglugi aż do odwołania. Obecnie podamy skład chmury przekazany bezpośrednio przez sondy balistyczne Fobosa. Według otrzymanego ostatnio doniesienia chmurę tworzą mikrometeoroidy klasy X, XY, Z...

— Dobrze, że to nie dla nas — zauważył pilot — dopiero co zjadłem śniadanie, nie posłużyłoby mi, jakby tak przyszło dać wszystko w dysze!

— Ile robimy? — spytał Pirx. Wstał.

— Ponad pięćdziesiąt.

— Tak? Nie najgorzej — mruknął Pirx. Sprawdził kurs, zapisy uranografów, wielkość przecieku — utrzymywał się na jednakowym poziomie — i poszedł do messy. Byli tam już obaj oficerowie. Pirx czekał, czy któryś nie wspomni o nocnych hałasach, ale rozmowa obracała się cały czas wokół loteryjnego ciągnięcia — niecierpliwie wyczekiwał go Sims, i z tej racji opowiadał o kolegach i znajomych, którym udało się wygrać.

Po śniadaniu Pirx udał się do nawigacyjnej nakreślić przebyty odcinek drogi. W pewnej chwili wbił cyrkle w rysownicę, wyszarpnął szufladę, dobył z niej książkę okrętową i poszukiwał składu ostatniej załogi KORIOLANA.

Oficerowie: Pratt i Wayne, piloci: Nolan i Potter, mechanik: Simon...

Wpatrywał się uporczywie w zamaszyste pismo dowódcy. Na koniec wrzucił książkę do szuflady, dokończył kreślenia i z rulonem kalki pojechał do sterowni. W pół godziny obliczył dokładny czas przybycia na Marsa. Wracając, zajrzał przez szybę w drzwiach do messy. Oficerowie grali w szachy, felczer siedział przed telewizorem z elektryczną grzałką na brzuchu. Pirx zamknął się w kajucie i przejrzał radiogramy, które wziął od pilota. Ani się obejrzał, jak zmorzył go sen. Kilka razy w drzemce zdawało mu się, że silniki zaczynają ciągnąć, i usiłował się obudzić z takim skutkiem, że śnił, jak wstaje, idzie do sterowni, znajduje ją pustą i w poszukiwaniu kogokolwiek z załogi poczyną błądzić w ciemnym jak smoła labiryncie rufowych korytarzy. Ocknął się przy biurku, mokry od potu, zły, bo przeczuwał już, jaką będzie miał noc po tylu przespanych za dnia godzinach. Kiedy pod wieczór pilot włączył silnik,

skorzystał z tego i wziął gorącą kąpiel. Odświeżony, poszedł do messy, wypił przygotowaną kawę i spytał przez telefon wachtowego o temperaturę reaktora. Podpełzała pod tysiąc, ale jakoś nie mogła przekroczyć krytycznej. Około dziesiątej wezwała go sterownia — mijali jakiś statek, który wywołał ich, pytając o lekarza. Pirx, dowiedziawszy się, że chodzi o ostry atak ślepej kiszki na pokładzie, wołał nie polecać swego felczera, tym bardziej że w odległości ledwo trzech milionów kilometrów szedł wielki pasażerski, który ogłosił gotowość zastopowania i przerzucenia lekarzy.

I tak leniwie, bez przygód, upłynął cały dzień. O jedenastej białe światło zmieniło na wszystkich pokładach, z wyjątkiem sterowni i komory stosu, mżenie błękitnawych lampek nocnych. W messie świeciła jeszcze niemal do północy mała lampa nad szachownicą. Siedział tam Sims. Grał sam przeciw sobie. Pirx poszedł jeszcze sprawdzić temperaturę w dennych ładowniach i spotkał po drodze wracającego ze stosu Bomana. Inżynier był raczej dobrej myśli — przeciek nie wzrastał, a chłodzenie działało wcale sprawnie.

Inżynier pożegnał się i odszedł, zostawiwszy Pirxa w pustym, chłodnym korytarzu. Słaby wiew ciągnął w górę statku, resztki zakurzonych pajęczyn osnuwających wyloty wentylacyjne trzepotały bezgłośnie.

Pirx chodził jakiś czas wysokim jak nawa kościelna przejściem między głównymi ładowniami, aż kilka minut po północy silniki zamilkły.

Z różnych stron statku dobiegła go seria zmieszanych, ostrych i stłumionych, coraz dalszych i słabszych odgłosów — to nie przymocowane przedmioty, poruszając się z nadanym przyspieszeniem, uderzały o ściany, stropy, podłogi; echo tych ruchów, które na moment wypełniły nagle jakby ożywający statek, drżało chwilę w powietrzu, aż zgasło i znowu była cisza, podkreślona miarowym szumem wentylatorów.

Pirx przypomniał sobie, że szuflada biurka w nawigacyjnym jest spaczona, i w poszukiwaniu stolarskiego dłuta zeszedł długim, wąskim jak kiszka korytarzem między lewoburtową ładownią a tunelem kablowym do rupieciarni, najbardziej chyba zakurzonego miejsca statku; na dodatek kurz, w którym brodził wyżej głowy, nie opadał, tak że na pół uduszony ledwo trafił po omacku w wyjściowe drzwi.

Był już blisko śródkręcia, kiedy w korytarzu odezwały się kroki. Wobec braku ciężenia iść mógł tylko automat. W samej rzeczy donośnym stąpnięciem towarzyszył trzask przywierających do podłogi magnetycznych ssawek. Pirx zaczekał, aż w przejściu ukazała się czarna na tle dalekich światel sylwetka. Terminus szedł, chwając się niepewnie, z wielkimi wymachami ramion.

— Hej, Terminus! — odezwał się, wychodząc z cienia.

— Słucham.

Ciężka postać zatrzymała się; korpus poszedł bezwładnością do przodu i powoli odyskał pion.

— Co tu robisz?

— Myszy — odpowiedział głos zza piersiowej tarczy potęgując wrażenie, że z wnętrza pierściennej zbroi przemawia zachrypnięty karzeł. — Myszy mają niespokojny sen. Budzą się. Biegają. Są spragnione. Jeżeli są spragnione, trzeba im dać wody. Myszy dużo piją, jeżeli wysoka temperatura.

— A co ty robisz? — zagadnął Pirx.

Automat zakołysał się.

— Wysoka temperatura. Chodzę. Wciąż chodzę, jeżeli wysoka temperatura. Wody myszom. Jeżeli wypiją i usną, dobrze. Niejednokrotnie wydarzały się pomyłki na skutek wysokiej temperatury. Czuwam. Wychodzę, wracam do reaktora. Wody myszom...

— Niesiesz wodę myszom? — spytał Pirx.

— Tak. Terminus.

— Gdzie masz tę wodę?

Automat powtórzył jeszcze dwa razy „wysoka temperatura”, i z łudzącym wrażeniem, że działa w nim ukryty człowiek — bo wykonał obu rękami gest zaskoczenia, szybki i nieporadny zarazem, podnosząc je kolejno do oczu, których obiektywy poruszyły się w oczodołowej oprawie, skierowane na wnętrza metalowych dłoni — powiedział:

— Nie ma wody. Terminus.

— Więc gdzie jest ta woda? — nalegał Pirx. Spod przymrużonych powiek obserwował górującego nad nim o połowę robota, który wydał kilka niezrozumiałych odgłosów i nieoczekiwanie wyrzekł basem:

— Za... pomniałem.

Pirx stracił się — tak bezbrinnie to zabrzmiało. Przez dobrą chwilę mierzył chwiejający się lekko korpus.

— Zapomniałeś, co? Idź do reaktora. Wracaj. Słyszysz?!

— Słucham.

Terminus zachrząścił, wykonał zwrot na miejscu i jął oddalać się tym samym, nadmierne sztywnym i przez to jakby starczym krokiem. Małał w perspektywie korytarza. Na jednym z ostatnich progów potknął się, zawiosłował ciężko barami, chwycił równowagę i znikł w poprzecznym przejściu. Jakaś chwilę ściany powtarzały echo jego marszu. Pirx zaczął wracać do siebie, naraz rozmyślił się i płynąc bezszelestnie nad podłogą, dotarł do szóstego wentylacyjnego. Poruszanie się szybami, nawet przy wyłączonych silnikach, było zabronione, ale zlekceważył zakaz. Odepchnął się silnie od relingów i w dziesięć sekund przeszybował odległość siedmiu pięter, dzielącą śródkręcie od rufy. Nie wszedł do komory stosu. W połowie wysokości ściany widniała podłużna zasuwa. Podpłynął ku niej, odryglował wąskie drzwiczki i odsunął je. Za drzwiczkami znajdowało się wpasowane w stal, prostokątne okienko z ołwiowego szkła, stanowiące tylną ścianę klatek z myszami. Dzięki temu można je było obserwować, nie wchodząc do komory. Zobaczył, tuż za szkłem, zanieczyszczone, puste dna klatek, a dalej, poprzez druciane siatki, w głębi komory, oświetlone z wysoka lampą, błyszczące reflektorami, zlane wodą plecy robota, który wisiał niemal poziomo w powietrzu, ospale poruszając rękami. Całą jego zbroję oblażyły białe myszki; biegając truchcikiem po blachach naramienników, piersiowych tarcz, skupiając się tam, gdzie w zakłębłościach rozczłonkowanego brzucha nagromadziła się grubymi kroplami woda, zlizywały ją, podskakiwały, polatywały w powietrzu, a Terminus łowił je, przemykały mu między żelaznymi palcami, ich ogonki zwijały się w esy i floresy — obraz był tak osobliwy, tak komiczny, że Pirxowi zachciało się śmiać. Terminus wtykał tymczasem schwyte myszy do klatek, jego metalowa twarz niebezpiecznie zbliżyła się do oczu Pirxa, ale najwidoczniej nie dostrzegł go. Jeszcze dwie, trzy myszki polatywały w powietrzu.

Terminus uporał się i z nimi, zamknął klatkę i znikł Pirxowi z oczu — tylko jego nadludzki cień, oparty o mufę głównego rurociągu, rozwianym krzyżem położył się na betonie reaktora.

Pirx zasunął cicho drzwiczki, wrócił do kajuty, rozebrał się i położył, ale nie mógł usnąć. Jakiś czas czytał pamiętniki astrogatora Irvinga, ale oczy piekły go jak zasypane piaskiem, głowa ciążyła, zarazem jednak trzeźwy był jak pieprz. Pomyślał z rozpaczą o ilości godzin dzielących go od dnia i narzuciwszy płaszcz wyszedł.

Na skrzyżowaniu głównego korytarza z burtowym dobiegło go z wentylacyjnego szybu stąpanie. Przybliżył głowę do kraty otworu. Odgłos, zniekształcony echem żelaznej studni, płynął z dołu. Odepchnął się od kraty, szybując chwilę nogami naprzód i najbliższym pionowym przejściem dostał się na poziom rufy. Kroki rozbrzmiały głośniejsz, zamarty, nasłuchiwał — odezwały się z nową siłą. Automat wracał. Pirx oczekiwał go pod samym stropem wysokiego w tym miejscu korytarza. W głębi pokładu zgrzytały powłózione podeszwy. Dźwięk zgasł. Tracił już cierpliwość, gdy stąpanie ponowiło się, z przejścia wychynął długi cień i w ślad za nim ukazał się Terminus. Przeszedł pod Pirxem tak blisko, że słysząc było bicie jego

hydraulicznego serca. Kilkanaście kroków dalej przystanął i wydał przeciągły syk. Potem chybnął się parę razy w prawo i w lewo, jakby kłaniał się żelaznym ścianom, i ruszył przed siebie. U ciemnego wejścia w boczny korytarz znowu stanął. Zajrzał tam. Przeciągłe syczenie powtórzyło się. Pirx, ledwo dotykając końcami palców stropu, popłynął za ciężką postacią.

— Kcsss... kcsss... — dochodziło go coraz wyraźniej. Terminus jeszcze raz przystanął, przed następnym szybem wentylacyjnym usiłował wsadzić głowę przez kraty, ale nie udało mu się; zasyczał, wyprostował się wolno i pokuśtykał dalej. Pirx miał tego dość.

— Terminus!! — krzyknął. Automat, który właśnie się pochylał, zastygł w pół ruchu.

— Słucham — odpowiedział.

— Co znowu tu robisz?

Patrzył w spłaszczoną metalową maskę, chociaż nie była twarzą — i nie mogła nic zdradzić.

— Szukam... — odezwał się Terminus. — Szukam... kota.

— Co?!

Terminus jął się prostować. Rósł w górę, z bezwładnie zwisającymi ramionami, jakby o nich zapomniał, a przez to, że w słabym poskrzypywaniu stawów robił to tak wolno, ruch ten miał w sobie coś groźnego.

— Szukam kota — powtórzył.

— Po co?!

Terminus milczał chwilę, zastygł w posąg z metalu.

— Nie wiem — powiedział cicho i Pirx zmieszał się. Przez swój martwy spokój, w słabym blasku lamp, z pordzewiałymi szynami torowiska u zamkniętych wrót, korytarz wyglądał jak sztolnia opuszczonej kopalni.

— Dostyc tego — odezwał się wreszcie. — Wracaj do reaktora i nie wychodź stamtąd, słyszysz?!

— Słucham.

Terminus odwrócił się i odszedł. Pirx został sam. Prąd powietrza unosił go, zawieszony między stropem i podłogą, milimetr po milimetrze, w stronę otwartej paszczy wentylatora. Odbił się stopą od ścian, skręcił ku windzie i poszybował w górę, mijając po drodze czarne ziewy szybów, w których jak chód olbrzymiego zegara dudniły coraz słabsze i dalsze kroki automatu.

## IV

W ciągu następnych dni pochłoneła Pirxa matematyka. Za każdym nowym włączeniem stos grzał się coraz bardziej, zarazem jego wydajność malała. Boman przypuszczał, że neutronowe lustra są bliskie ruiny. Świadczył o tym wzrastający wolno, lecz nieubłagane przeciek radioaktywny. Skomplikowanym rachunkiem starał się wydozować czasy napędu i chłodzenia, podczas przestojów reaktora przerzucał cyrkulację mrożącego płynu z burtowych ładowni w głąb rufowych, gdzie panowała iście tropikalna temperatura. To lawirowanie między sprzecznymi wielkościami wymagało cierpliwości — przesiadywał przy kalkulatorze, szukając metodą prób i błędów najlepszego rozwiązania. W rezultacie przebyli czterdzieści trzy miliony kilometrów ze znikomym opóźnieniem. W piątym dniu podróży osiągnęli, na przekór pesymistycznym przewidywaniom Bomana, wymagany pułap szybkości. Wyłączając reaktor, który miał stygnąć aż do lądowania, Pirx odetchnął skrycie. Jedną z osobliwości dowodzenia starym frachtowcem było to, że widywał gwiazdy daleko rzadziej aniżeli na Ziemi. Nie był ich zresztą ciekaw — nawet czerwonej jak miedziak tarczki Marsa; wystarczyły mu kursowe wykresy.



Późnym wieczorem ostatniego dnia podróży, kiedy przerywana z rzadka błękitnymi lampkami ciemność powiększyła jak gdyby pokłady, przypomniał sobie o ładowniach. Dotychczas nawet do nich nie zajrzał.

Opuścił messę, w której Sims grał, jak co dzień, w szachy z Bomanem, i zjechał windą na rufę. Od ostatniego spotkania nie widział ani nie słyszał Terminusa. Zauważył tylko, że kot przepadł gdzieś tak gruntownie, jakby go w ogóle nie było na statku.

Ledwo oświetlone śródokręcie oddychało szelestem płynącego bez końca powietrza. Gdy otworzył drzwi, w hali zapaliły się pod grubą warstwą kurzu lampy. Przemierzył ładownię z jednego końca w drugi. Sterty skrzyń, sięgające niemal stropu, rozdzielało wąskie przejście. Sprawdzał napięcie stalowych taśm, zakotwiczonych w podłodze, którymi ściągnięta była każda piramida ładunku, a wywołany otwarciem drzwi przeciąg wysysał z ciemnych kątów kłęby trocin, śmieci, pakuły, falujące słabo niby kozuch rżęsy na wodzie.

Był już na korytarzu, kiedy usłyszał miarowe, powolne dźwięki.

— Uwaga...

Trzy uderzenia.

Dryfował chwilę w prądzie powietrza, który unosił go coraz wyżej. Czy chciał, czy nie chciał — musiał słuchać. Rozmawiało ich dwóch. Sygnały były słabe — jakby oszczędzali się miarkując siłę uderzeń. Przychodziły raz wolniej, raz szybciej, jeden mylił się często, jakby zapomniał alfabetu Morsego. Czasem milczeli dłuższy czas, czasem zaczynali nadawać równocześnie. Czarny korytarz z rozrzuconymi rzadko lampkami zdawał się nie mieć końca, jakby szumiący w nim wiatr pochodził z bezgranicznej pustki.

— S-i-m-o-n-s-l-y-s-z-y-s-z-g-o — powoli, nieregularnie stukało w rurze.

— N-i-e-s-l-y-s-z-e---n-i-e-s-l-y-s-z-e...

Z pasją odepchnął się od ściany i skulony, z podkurczonymi nogami, jak kamień pomknął w dół korytarzami coraz gorzej oświetlonymi; zbliżanie się rufy poznawał po rosnącej ilości delikatnego rudawego pyłu wokół lamp. Ciężkie drzwi stosu były nie domknięte. Zajrzał do środka.

W komorze było chłodno. Sprężarki odstawione na noc milczały, czasem tylko dziwnym, prawie ludzkim głosem zabelkotał ukryty w betonowym murze rurociąg, kiedy bańki gazu torowały sobie drogę przez gęstniejący płyn.

Terminus, ochlapany cementem, pracował. Nad jego poruszającą się wahadłowo czaszką furczał zawzięcie wentylator. Pirx nie dotykając stopni schodów, zsunął się nad nimi z ręką na poręczy. Żelazne rękawice podzwiękiwały słabo, ich ciosy tłumiła warstwa świeżo narzuconego cementu.

— N-i-e-s-l-y-s-z-e... o-d-b-i-o-r...

Czy sprawiał to przypadek, czy też nakaz spowolnienia uderzeń płynął z tego samego źródła, które wysyłało znaki Morsego, dość że rura odzywała się wciąż słabiej. Pirx stał tuż przy automacie. Rozczłonkowane segmenty jego brzucha, zachodzące na siebie, gdy się pochylał, przypominały karbowany odwłok owadu. W szklanych oczach chwiały się miniaturowe odbicia lamp. Wpatrzony w nie Pirx poczuł, że jest w tej pustej komorze o stromych ścianach sam. Terminus nie wiedział, co robi, był maszyną, przekazującą utrwalone serie dźwięków, niczym więcej. Uderzenia wciąż słabły.

— S-i-m-o-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e — chwycił z wysiłkiem. Rytm rozpadał się. Dotknął rury jakieś pół metra nad zgiętym torsem pracującego automatu — kiedy poprawiał chwyt, kostki palców stuknęły o żelazo i nadawana właśnie seria urwała się na mgnienie. Przeszyty nagłym impulsem, nim zdążył pomyśleć, jak szalona jest chęć wtrącenia się do rozmowy sprzed lat, począł szybko wybijać:

— C-z-e-m-u-m-o-m-s-s-e-n-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a... o-d-b-i-o-r...

Niemal w tej samej chwili, gdy uderzył pierwszy raz w rurę, stuknął w nią Terminus. Oba dźwięki zbiegły się, rękawica automatu zamarła, jakby usłyszawszy go, i kiedy skończył,

po kilku sekundach zaczęła wtłaczać cement w szpary złącza. Rura zadzwieczała.

— B-o-m-a-p-r-a...

Pauza. Terminus schylił się, by zaczerpnąć cementowego ciasta. Czy to był początek odpowiedzi? Pirx czekał bez tchu. Automat prostował się ciskając gwałtownie cement i rura poszły przyspieszające uderzenia:

— S-i-m-o-n-c-z-y-t-o-t-y...

— T-u-s-i-m-o-n-n-i-e-j-a... k-t-o-m-o-w-i-l... k-t-o-m-o-w-i-l...

Wcisnął głowę w ramiona; uderzenia leciały jak grad:

— K-t-o-m-o-w-i-l-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-k-t-o-m-o-w k-t-o-m-o-w-i-l-... k-t-o-m-o-w-i-l-k-t-o-m-o-w-i-l-t-u- s-i-m-o-n-t-u-w-a-y-n-e-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e...

— Terminus — krzyknął. — Przestań! Przestań!

Dudnienie ustało. Terminus prostował się, a jego naramienniki, barki, rękawice podrygiwały, cały korpus drgał żelazną czkawką, i z tych spazmatycznych wstrząsów Pirx odczytywał dalej:

— K-t-o-m-o-w-i... k-t-o-... k-t-o...

— Przestań!!! — krzyknął raz jeszcze. Widział go z boku; ciężkie plecy przeszywał dreszcz i refleks światła odbitego od pancerza; powtarzał:

— K-t-o...

Jak gdyby wyczerpany burzą, która przez niego przeszła, automat drętwiał. Unosząc się nad podłogą, zawadził z przeciągłym zgrzytnięciem o poziomą gałąź rurociągu i zawisł przy niej, jakby schwyty, w martwym spokoju, ale wpatrzywszy się weń. Pirx dostrzegł milimetrowe drganie bezwładnie opuszczonej ręki.

— K-t-o...

Nie wiedział, jak znalazł się na korytarzu. Wentylatory szumiały. Płynął przed siebie, pod idący z górnych pokładów, chłodny, suchy wiatr, światła lamp oświetlającymi kręgami przesuwały mu się po twarzy.

Drzwi kajuty były nie domknięte. Na biurku paliła się lampa, płaskie kliny światła docierały dołem do ścian; strop był ciemny.

Kto to był? Kto go tak wołał? Simon? Wayne? Ależ ich nie było! Nie żyli od dziewiętnastu lat!

Więc kto to był — Terminus? Ależ on uszczelniał tylko rurociągi. Wiedział dobrze, co usłyszysz, jeśli spróbuje go badać — gadaninę o rentgenach, przecieku i plombach. Nie podejrzewa nawet, że odgłos jego pracy układa się w widmowy rytm.

Jedno jest pewne: ten zapis — jeśli to zapis — nie jest martwy. Kimkolwiek są ci ludzie — te głosy, te uderzenia — można z nimi mówić. Jeśli się tylko ma odwagę...

Odepchnął się od stropu i przepłynął chwiejnie do przeciwległej ściany. Do diabła! Chciało mu się chodzić, chodzić gwałtownymi krokami, mieć ciężar, uderzyć z całej siły pięścią w stół! Ten pozornie tak wygodny stan, w którym przedmioty i własne ciało zmieniały się w niematerialne cienie był jak koszmar. Wszystko, czego się tknął, usuwało się, odpływało, niepewne, pozbawione oparcia, stawało się wydętą pustką, pozorem, snem...

Snem?

Zaraz. Kiedy śni mi się ktoś i zadaje mu pytanie, nie znam odpowiedzi, dopóki nie padnie z jego ust, a przecież ten śniony człowiek nie istnieje poza moim mózgiem i jest tylko czasowo wyodrębnioną jego częścią. Każdy rozszczepia się tak niemal co dzień, a właściwie co nocy — dając początek chwilowym, na użytek jednego majaku powstałym pseudoosobowościom. Mogą to być istoty wymyślone — albo wzięte z jawy. Czy nie śnią nam się nieraz umarli? Czy nie prowadzimy z nimi rozmów?

Umarli.

Czyżby Terminus...

W swoim na pół świadomym krążeniu po kajucie, przepływając od jednej ściany do

drugiej, odtrącany od twardych płaszczyzn, dotarł do drzwi i chwycił się ich. Widział ciemny wycinek korytarza z padającą w tę ciemność smugą światła.

Wrócić tam?

Wrócić i — pytać?

Jest to jakieś zjawisko fizykalne — bardziej skomplikowane od zwykłego zapisu; automat nie jest w końcu urządzeniem do utrwalania dźwięków. Powstał w nim zapis, obdarzony pewną autonomicznością, zmiennością, któremu — jakkolwiek brzmi to dziwnie — można stawiać pytania i dowiedzieć się — wszystkiego. Poznać losy Simona, Nolana, Pottera i to, niezrozumiałe, przerażające — milczenie dowódcy.

Czy można wyobrazić sobie jakieś inne wytłumaczenie?

Chyba nie.

Był tego pewien, a jednak nie ruszał się z miejsca, jakby na coś czekał.

Koniec końców, nie ma w tym nic oprócz obiegu prądów wewnątrz żelaznego pudła. Nikogo żywego, żadnej istoty, ginącej w ciemności strzaskanego statku. Na pewno nic!

Wystukiwać pod szklanymi oczami Terminusa pytania? Ależ oni, zamiast wziąć się do składanego opowiadania swojej historii, zaczną krzyczeć do niego, wołać o tlen, o ratunek! Co odpowiedzieć? Że nie istnieją? Że są tylko „pseudoosobowościami”, wyizolowanymi wyspami elektrycznego mózgu, jego majaczenia, jego czkawka? Że ich strach jest tylko imitacją strachu, a ich agonია, powtarzana każdej nocy, znaczy tyle, co zdarta płyta? Pamiętał jeszcze wywołany swym pytaniem gwałtowny zryw uderzeń, ten krzyk, którym, pełni zdumienia i zbudzonej nieoczekiwanej nadziei, przyzywali go, to powtarzające się bez końca, natarczywe, pospieszne błaganie „Odezwij się! Kto mówi? Odezwij się!!!”

Miał jeszcze w uszach, czuł w końcach palców rozpacz i furię tych uderzeń.

— Nie istnieli? A więc kto go wzywał — kto wołał pomocy? I co z tego, gdyby fachowcy powiedzieli, że za tym krzykiem nie ma nic oprócz wirowania ładunków i drżenia zbudzonych rezonansem blach? Usiadł przy biurku. Wysunął szufladę. Przydusił gniewnie wstające z szelestem papiery, odnalazł ten, którego szukał, rozpostarł go przed sobą i wygładził starannie, by nie fruwał w oddechu. Wpisywał kolejno w drukowane rubryki:

MODEL: AST — Pm — 105/0044

TYP: Uniwersalny Naprawczy

NAZWA: Terminus.

RODZAJ USZKODZENIA: Rozpad funkcji.

WNIOSKI:... Zawahał się. Przybliżył pióro do papieru i cofał je. Myślał o niewinności maszyn, które człowiek obdarzył zdolnością myślenia i uczynił je przez to uczestnikami swych szaleństw. O tym, że mit Golema, maszyny zbuntowanej i powstającej przeciw człowiekowi, jest kłamstwem, wymyślonym po to, żeby ci, co niosą za wszystko odpowiedzialność, mogli ją z siebie zrzucić.

WNIOSKI: Zdać na złom.

I u dołu karty podpisał się z nieruchomą twarzą:

PIERWSZY NAWIGATOR: Pirx.

# POSŁOWIE

## 1

W Neapolu istnieje legenda, że miasto to stworzył Wergiliusz, tajemniczy czarnoksiężnik, który zjawił się z jego gotowym modelem, zamkniętym w szklanym naczyniu. Z biegiem czasu ów Wergiliusz-czarnoksiężnik utożsamiał się w tradycji neapolitańskiej z Wergiliuszem-poetą, którego Dante obrał za swego przewodnika po czeluściach piekła. I tak oto poeta stał się magiem, obdarzonym nie tylko mocą tworzenia, ale także tajemniczą władzą zaklęć, chroniących miasto. On to bowiem, posługując się swoją magiczną mocą, strzeże Neapolu przed wybuchami Wezuwiusza, ustawivszy u stóp wulkanu brązowy posąg człowieka ze wzniesioną do góry strzałą, gotową ugodzić w wulkan, gdy ten zechce zgładzić Neapol.

W średniowiecznej Irlandii słowom poetów zawdzięczano wyłanianie się z morza wysp, otaczających irlandzkie wybrzeża. Spełniali oni również bardziej prozaiczne usługi, komponując wiersze i zaklęcia, od których ginęły szczury. Pomiędzy słowem a światem realnym istnieje bowiem jakiś tajemniczy kontakt, niewidzialna nić łączy nazwę z przedmiotem, wypowiedziane zaklęcie z uśpionymi mocami natury. Wiara ta jest podstawą magii. Jest również podstawą poezji. Poeta opisując świat nazywa go i jest to zabieg magiczny, na mocy którego w miejsce słów i zgłosek pojawiają się przedmioty, ludzie, ich czyny. Magia ta wszakże jest nie tylko aktem stworzenia, ale również aktem zaklęcia, to znaczy oswojenia. Rzeczy nazwane bowiem, określone, opisane po imieniu tracą swój rozwichrzony, anarchiczny charakter, nabierają przejrzystości i harmonii, zamknięte w słowach stają się poddane naszej mocy, jak dzikie zwierzęta w klatce. Formuły magiczne w baśniach, te wyszukane a niejasne słowa, których istotne znaczenie rozumie tylko czarnoksiężnik, potrafią zmusić złego ducha, aby wskoczył do butelki, gdzie można zaszpunktować go korkiem, uwięzić i obezwładnić. Taką moc mają słowa nauki. Zaklęty przez nie piorun z objawu gniewu niebios staje się wyładowaniem elektrycznym, dającym się nie tylko obliczyć na skrawku papieru, ale także odprowadzić po linii piorunochronu do ziemi jak potulne ciele do obory. Wiatr i burza, niepokojące i zagadkowe stają się liniami na mapie pogody, takiej, jaką co wieczór oglądać możemy na ekranie telewizora. Morowa zaraza zamienia się w maleńkie bakcyle, które obejrzeć można pod mikroskopem i zamknąć w szklanej probówce.

Ale oto pojawiają się słowa, które zamiast zaklinać żywioły — wypuszczają je na swobodę. Zły duch wyskakuje z butelki. Świat wokół nas znowu staje się dwuznaczny i tajemniczy, pełen nieoswojonych lęków, przeczuc, obaw. Drażni niewiadomym, straszy, staje się nieżyczliwy człowiekowi, czatuje na jego zgubę. Słowa te zazwyczaj idą krok w krok ze słowami nauki, ale posuwają się równocześnie jakimś bocznym, ciemnym torem, niby towarzysząc poznaniu naukowemu, ale równocześnie raz po raz umykając w nie nazwany gąszcz, gdzie nauka jeszcze nie dotarła, wyłaniają się z tej gęstwiny z szyderycznym grymasem, drwiąc z osiągnięć rozumu i straszac.

Nie chodzi tu bowiem o fantastykę, która wyprzedzając wiedzę i poznanie nosi równocześnie ich radosne przeczucie, jak legenda o Ikarze niosła marzenie o aeronautyce, a zaklęte podwodne zamki kusily eksploracje Piccarda. Chodzi tu o opowieści mroczne, opowieści z dreszczykiem.

Wybór, który prezentujemy Czytelnikowi, jest zaledwie skromną ich próbką. Ogranicza się on do kilku opowieści polskich, i to w dodatku w zasadzie napisanych w XX wieku. Gromadząc je nie cofałem się głębiej w czasie, mając na uwadze przede wszystkim opracowaną już przez Juliana Tuwima dwutomową antologię „Polska nowela fantastyczna”, sięgającą do tekstów staropolskich, a także wzgląd na to, aby ten wybór był przede wszystkim „czytadłem”, strawnym dla współczesnego czytelnika jak powieść kryminalna, i podobnie nie

obowiązującym. Jedynym wyjątkiem od tej zasady jest opowiadanie „Włosy krzyczące na głowie”, XVIII-wiecznego autora Jana Barszczewskiego. Dopuszciliem się jednak owego odstępstwa celowo, nie tylko urzeczony ślicznym, nadrealistycznym pomysłem „krzyczących włosów”, ale także po to, aby zarysować dystans pomiędzy bogobojną problematyką strachu, jeśli tak można się wyrazić, „tradycyjnego”, a sprawami, które niepokoją piśmiennictwo naszego stulecia.

Wzgląd na czytelność powstrzymał mnie od nadmiernego szperactwa, wyłuskiwania opowiadań „z dreszczykiem” ze starych roczników pism, prezentowania autorów zapomnianych lub poślednich. Wybór niniejszy zawiera nazwiska znane. Opowiadania te są literaturą, często wręcz literaturą już klasyczną. Że jest tego niewiele? — To prawda. Piśmiennictwo polskie niewiele miało serca ani czasu do owego trwożnego przemierzania czarnych ścieżek ludzkiej niewiedzy, w dziedzinie strachu zawsze bliższy był mu strach konkretny niż tajemniczy dreszcz metafizyki. Ten ostatni przez długie lata — jak w balladach Mickiewicza, jak w balladach ludowych — odganiało się po prostu słowem modlitwy, wodą święconą lub loretańskim dzwonkiem, później zaś, jeśli ktoś, jak autorzy zgromadzonych tu opowiadań, zapuszczał się w rejony ciemnych przeczuć, czynił to jakby dla rozrywki, dla żartu, na marginesie prac innych i poważnych.

Mimo to jednak, jeśli uważnie przeczytamy te opowiadania, odnajdziemy w nich daleki być może i przyćmiony, ale jednak odblask tych samych lęków, obaw i przeczuć, które towarzyszą myśli ludzkiej pod innymi również szerokościami geograficznymi, które są znakami zapytania, zawieszonymi nad naszym losem jako gatunku, które są wielkim i twórczym lękiem człowieka, czymś bardziej własnym niż jego twarz.

## 2

Czego się boimy, my, ludzie? Ach, oczywiście, że boimy się tysiąca rozmaitych rzeczy: nieprzyjaciół, zwierząt, powietrza, głodu, moru i wojny, nieszczęśliwych wypadków i nieznanych krain. Boimy się rzeczy, których nie znamy, których nie doświadczyliśmy, nad którymi nie nauczyliśmy się panować. Lęk, strach towarzyszy nam na wszystkich traktach cywilizacji, pokonujemy go idąc naprzód, gdzie nowe nieznanie naprawa nas nowym lękiem. Gdyby nie było strachu przed niebezpieczeństwem, które czyha na nas, gdy tylko wynurzymy się ze znanych rejonów, nie byłoby bohaterstwa. Odwaga bez strachu jest po prostu brakiem wyobraźni i człowiek, który staje w obliczu zagrożenia nie zadając sobie sprawy z jego możliwości nie jest bohaterem, lecz po prostu istotą upośledzoną, niezdolną przeczuć niczego ani niczego przedstawić sobie oczyma fantazji. Bohaterstwo zakłada świadomość zagrożenia, niebezpieczeństwa, śmierci.

Czy śmierć jest jednak tym, czego boimy się najbardziej? Zapewne, jest ona groźbą ostateczną. Ale jest również groźbą nieuniknioną. Staramy się ją omijać, ale wiemy, że ona nas nie ominie. Nie przeoczy nas niezależnie od tego, co będziemy czynić, jak będziemy żyć. Znamy ją także. Znamy ją z doświadczenia naszych bliźnich, ze świata przyrody. I chociaż zawsze przeraża nas ona swoją nieodwracalnością, a także swoim nieodwołalnym wyrokiem, nie śmierci przecież boi się najbardziej człowiek nie jako jednostka może, ale jako gatunek, który już przecież milionami swoich mogił pokrył naszą planetę. W noweli fantastycznej, w przekazywanym przez nią lęku, straszna jest nie śmierć, lecz pośmiertna mara, nie trup, lecz upiór. Dla jednych jest on czymś konkretnym, egzystencją dalszą niż ziemską. Dla innych jest on symbolem egzystencji nieznannej, bezosobowej, niepojętej. Znakiem, oznaczającym niewiadomą. Drzwiami, uchylonymi w ciemność.

Nie jest ważne, czy zjawy, mary i upiory istnieją naprawdę, czy można je zobaczyć, czy

snują się po nocach. Spory na ten temat są równie stare jak dziecinne i nie warto się w nie wdawać. Dla człowieka myślącego jednakże fakt, że stworzyła je wyobraźnia ludzka, że zaludniły one karty literatury jest okolicznością ważną. Są one bowiem — naiwnymi i prymitywnymi być może — symbolami jakiejś starej obawy, która niepokoi nasz gatunek od tysiącleci, której nazwy są różne, lecz istota ciągle ta sama.

Wieści o tej obawie docierają do nas z najstarszych tekstów pisanych. Oto ognisty miecz pozbawia człowieka raj, oto skazanego otaczają ciemność, głód i cierpienie. Oto za człowiekiem ciągnie się cień jakiejś winy, którą musi odkupić, oto Apokalipsa przepowiada mu straszną karę. Dlaczego, za co? Skąd ten ponury atawizm lęku, który nie chce nas opuścić?

Istnieje na to tylko jedna odpowiedź. My, ludzie, jesteśmy jedynym gatunkiem żyjącym na tej ziemi, który pogwałcił prawa przyrody. Jesteśmy gatunkiem zuchwałym i zbuntowanym. My jedni opuściliśmy granice, które, zdawać by się mogło, przeznaczone nam zostały jako nasze miejsce. Zbuntowaliśmy się przeciwko zasadzie zbieractwa, spożywania tego, co przyroda sama nam dostarcza — zasadzie, dzięki której egzystują wszystkie inne gatunki zwierzęce — i zmusiliśmy ziemię do tego, aby owocowała wedle naszej woli. Wyszliśmy z jaskiń i zbudowaliśmy sobie domy i miasta wedle naszej wygody. Przenieśliśmy się z regionów, w których nasza skóra dawała by nam wystarczające zabezpieczenie przed zimnem i zamieszkaliśmy również tam, gdzie mieszkać nie powinniśmy, zabezpieczając się sztucznym ciepłem, sztuczną osłoną od wiatru, deszczu i lodu. Pływamy pod wodą, chociaż nie mamy skrzel. Latamy w powietrzu, chociaż nie mamy skrzydeł. Poruszamy się szybciej, niż pozwalają na to nasze nogi. Dążymy tam, gdzie nie ma powietrza. Wszystko, co świat przyrody zachował jako niezmiennie, nietykalne prawo — długość życia, wzrost, rozrodczość, postawiliśmy pod znakiem zapytania i zapragniliśmy ukształtować według naszych wyobrażeń.

Jest to bunt w przyrodzie niesłychany, jest to czyn bardziej wbrew naturze niż kainowa zbrodnia bratobójstwa. Bo przecież, mimo całego naszego zuchwalstwa, którego wyrazem jest to wszystko, co nazwać można cywilizacją, czujemy jednocześnie niesłychaną bliskość ze światem otaczających nas istot, które nazywamy niższymi, ale z którymi na każdym kroku odkrywamy bezpośrednie pokrewieństwo. Nasza własna nauka pokazała nam, jak niedaleko jesteśmy od świata zwierzęcego, jak długo nasze drogi były wspólne, jak bardzo jesteśmy pomimo wszystko mieszkańcami tej planety, od której teraz chcemy się oderwać. Budowana przez tysiąclecia cywilizacja z jednej, a zwykłe studia anatomii lub fizjologii, ujawniające naszą omalże tożsamość ze światem zwierzęcym z drugiej strony, pokazują skalę naszego zuchwalstwa. Wobec czego? — Wobec świata, który nas otacza.

I świat ten nie ociąża się z karą. Na każdym kroku naszego postępu zastawia pułapki i sidła. Są nimi choroby. Żaden gatunek w przyrodzie nie choruje tyle co człowiek, ponieważ żaden gatunek nie stawia sam siebie nieustannie w sytuacjach biologicznych, do których jest nie przystosowany. Cywilizacja miast przyniosła nam gruźlicę, cywilizacja industrialna ze swoim dymem i tempem życia przyniosła nam choroby układu wieńcowego, nerwice i raka. Technika nuklearna niesie nam choroby popromienne. Zasadzkami pogwałconej przyrody są również kataklizmy i katastrofy. Wielka hałda węglowego żużlu obsuwa się na osadę Aberfan w Wielkiej Brytanii. Wytrzebiecie lasów staje się pośrednią przyczyną powodzi we Florencji. Dymy, wydzielane przez fabryczne miasta powodują zaćmienia słońca i śmiertelny opad trujących spalin. Wszystkie te wypadki, a można ich wyliczać tysiące, każdy z osobna logiczny i wytłumaczalny, zamykają się jednak w ogólny znak instynktownie odczuwanej grozy, której nasza wyobraźnia, zabobonna może i ułomna, nie potrafi jednak rozgraniczyć od kary, chociażby takiej, jaka spotkała Prometeusza za jego bluźnierczy czyn. Od kary i od tragedii. Bo przecież nauka wieści nam tę tragedię z chłodną precyzją. Nauce jest wiadomo, że przyrodą rządzi ogólne prawo utraty energii cieplnej, entropii, która jest formułą rozkładu, nie omijającą także i naszego globu. I jakkolwiek byśmy nie starali się jej zapobiegać, jakkolwiek byśmy

rozkładowi nie starali się przeciwstawiać naszej cywilizacji, czyli organizacji i ładu, jest to trud podobny do zagarniania zeschniętych liści na szalejącym wietrze. Wynik tego pojedynku jest przesądzony, szanse rozdzielone są na naszą niekorzyść. Wiemy o tym. Mimo to jednak idziemy naprzód w świat pełen grozy, o której staramy się zapomnieć, ale która raz po raz przecieka do naszej świadomości czarną strużką niejasnego lęku.

### 3

Lękamy się więc rzeczy, które są od nas większe, które przekraczają nasz wymiar i nasze pojęcia. Równocześnie myśl czy też instynkt ludzki pełen jest przeczuc, że owe „rzeczy większe” i tajemnicze stykają się jakoś z tym, co znamy i czego wymiar mieści się w ramach naszego zrozumienia. W ten sposób dotaczający nas świat nabiera charakteru dwoistego. Składa się on z zewnętrznej powłoki, której możemy dotknąć, zmierzyć ją i zważyć, oraz z zagadkowej podszewki, ukrytej przed naszym poznaniem, a jednak sygnalizującej swoją obecność. Konstrukcję taką przekazują nam już antyczne koncepty filozoficzne, dla których, jak na przykład dla myśli platońskiej, świat materialny jest w istocie zaledwie systemem znaków, symboli czy odbić, nieudolnych często odwzorowań rzeczywistości daleko bardziej istotnej, potężniejszej i idealnej. Rzeczy są więc aluzją jedynie do czegoś, co istnieje poza nimi, tak jak księżycy są aluzją do udzielających im swego blasku słońc. To przeświadczenie, idealistyczne w swojej filozoficznej treści, jest jednak także głęboko zakorzenionym intuicyjnym sposobem pojmowania świata. Prowadzi stąd zresztą droga nie tylko do zabobonu, i nie tylko do magii albo do religii, ale również do nauki. Pierwsze z nich w owej pozorności świata widzialnego dopatrują się dowodu na istnienie niezależnego odeń i doskonalszego świata ducha. Nauka nie przeczy pozorności kształtów i form, z którymi stykamy się na co dzień, przyjmując je jednak za pierwszy zaledwie stopień poznania. Pod powłoką świata rzeczy i kształtów kryje się przecież atomistyczna budowa materii. Pozorowi oddzielności zjawisk, konkretności ich granic i form przeciwstawia się istotna ciągłość substancji, z której zbudowany jest wszechświat.

Wreszcie, przyjmowane przez nas jako zamknięte cykle procesy powstawania, wzrostu i zniszczenia są jedynie mało znaczącymi przemianami form wobec zasadniczego prawa wieczności i niezniszczalności materii. Wymiary, formy więc, do których skłonni jesteśmy przywiązywać tak wielką wagę, są w istocie przejściowymi skupieniami materii, która ukształtować się może jednak także zupełnie inaczej, nie tracąc swego zasadniczego charakteru. Czas jest umownym, praktycznym znakiem wobec podstawowej wieczności świata materialnego.

Mówiłem, że eksploracja magiczna, że ciemne ścieżki ludzkiej fantazji, wiary czy zabobonu biegną jakby równolegle do traktu myśli naukowej, zbaczając zeń jedynie na niezgruntowane, dziewicze zatoki, aby wypełnić materią fantastyczną miejsca, których materia rzeczywista jest nieznana. „Władca czasu” Antoniego Langego, z opowiadania drukowanego w tym tomie, odwołuje się do sensu hipnotycznego, aby stwierdzić, że historia naszej planety jest mgieniem oka na tle wieczności galaktyk. We wspaniałym opowiadaniu Brunona Schulza o karakonach metamorfoza Ojca w tęgopokrywego insekta dokonuje się w aurze ponurej magii, potwierdzając jednak, jak wszelkie metamorfozy literackie, te u Kafki i te u poetów starożytności, zadawnione przeczucie, że forma jest granicą pozorną, a przejście między formami płynne i zamglone. Skoro tak jednak, to stąd już krok zaledwie do skomplikowanych symbolik, którymi od tysiącleci wypełniony jest świat myśli ludzkiej, symbolik stanowiących podstawę nauk egipskich kapłanów, kabały, dociekań badaczy Pisma.

Podstawą tych nauk, którym fantazja literacka zawdzięcza niejedno, jest przekonanie o wielkości znaczeń, przekazywanych nam w tekstach, uznanych za święte. Jest to tradycja

bardzo stara, której naukowej perfekcji nadały zwłaszcza spekulacje starożytnych i średnio-wiecznych komentatorów Biblii oraz dywagacje kabalistów. Tak więc Filon z Aleksandrii (ok. 20 r. przed naszą erą — ok. 45 r. naszej ery), powołując się zresztą na tradycje Islamu twierdził, że tekst Pisma mieści w sobie znaczenie „zewnątrzne” i „wewnętrzne”, ukryte. Tradycję tę podjęli teologowie średniowieczni, co zresztą stało się powodem długiego sporu pomiędzy „literalistami”, stojącymi na stanowisku, że tekst Pisma rozumieć należy dosłownie, zgodnie z jego literą, a „figuralistami” utrzymującymi, że pod sensem literalnym kryje się również szersza metafora, sugerowana jedynie, lecz nie wyjaśniona do końca przez dosłowny opis. Jest to stary, sięgający jeszcze starożytności konflikt pomiędzy wiedzą egzoteryczną, dostępną bezpośredniemu poznaniu, a wiedzą tajemną, ezoteryczną, do której dojść można na drodze wtajemniczenia. Z biegiem czasu tradycja nauk spekulatywnych skomplikowała jeszcze ten układ i na przykład Dante w „Convivio” powiada, że teksty mają swój sens literalny lub historyczny, sięgający nie dalej niż dosłowność, moralny — dający czytającemu właściwy klucz do postępowania, alegoryczny — odkrywający pod „urokami opowieści” głębszą prawdę, oraz anagogiczny, czyli wyższy, który odzwierciedla unoszącą się ponad wydarzeniami „częstkę nadnaturalnych właściwości wiekuistej chwały”.

Do najwyższego jednak skomplikowania doprowadziły tę problematykę, wywodzące się z tradycji staroegipsko-hebrajskiej nauki kabalistów. Trzynastowieczny autor „Księgi wspaniałości”, Moses de Leon, twierdzi, że słowo pisma jest jak orzech, spowity w kolejne skorupy i osłony, które uczony odkrywać musi kolejno, aby dotrzeć do jego jądra. Dla określenia tych „osłon” wprowadził on jako pierwszy, a raczej wykorzystał hebrajsko-aramejskie słowo „Pardes”, wywodzące się z języka perskiego, któremu języki zachodnio-europejskie zawdzięczają swój wyraz „paradis”, czyli raj. „Pardes”, pisane, jak większość wyrazów hebrajskich, spółgłoskowo, z opuszczeniem samogłosek, daje znaki P, R, D, S, będące pierwszymi literami nazw znaczeń, w które spowity jest tekst, a więc znaczenia literalnego, aluzyjnego, alegorycznego i mistycznego. O istnieniu tych znaczeń wspomina zresztą również Biblia w „Księdze Ruty”.

Dla odczytywania tych znaczeń kabalistyka posługuje się, oprócz zabiegów czysto spekulatywnych, także znanymi sobie metodami, z których najprostszym i niejako rzuconym przez kabalistów dla zaspokojenia ciekawości profanów jest gematria. Jej punktem wyjściowym jest właściwość pisma starohebrajskiego, w którym znaki literowe posiadają także wartość liczbową. Pozwala to na zastępowanie wyrazów jednych przez drugie, pod warunkiem, że posiadać one będą tę samą wartość liczbową albo podobny symbol cyfrowy. A więc na przykład słowo hebrajskie „jedność”, przeliczone na wartości liczbowe daje kolejno 1, 8, 4, czyli w sumie 13. Taką samą wartość posiadać będzie jednak także słowo „miłość”, złożone z wartości cyfrowych 1, 5, 2, 5, a więc również dających w sumie 13. Zbieżność taka daje podstawę do podmienienia wyrazów i modyfikacji tekstu, nabierającego dzięki temu nowych znaczeń. Nie tylko jednak proste sumowanie stać się może kluczem w układzie kabalistycznej gematrii. Podstawowa figura kabały, Wielkie Imię, złożone z liter Jod-He-Vau-He, czyli Jehowa, przelicza się na wartości liczbowe, 10, 5, 6, 5, co w sumie daje 26, ale owe 26 można także przedstawić jako 2 i 6, a te z kolei razem tworzą 8. Pomiedzy liczbą 26 a liczbą 8 (której arkan w układzie Tarotu brzmi Cheth, oznaczając m.in. ostrzeżenie przed czarną magią i herezją) powstaje więc nieprzeczuwana początkowo zbieżność, na której zresztą kabalistyka opiera jeden ze swoich tajemniczych aksjomatów o równoważności statycznych systemów z dynamicznymi cyklami.

Znacznie bardziej złożonymi kluczami kabały są notarikon i themurah. Zwłaszcza ten ostatni, najtrudniejszy, godzien jest wzmianki. Metoda ta polega na przesunięciu w innym porządku liter w słowie, które wydaje się niezrozumiałym lub pozbawionym sensu; sprzyja temu spółgłoskowy charakter pisma starohebrajskiego, w którym samogłoski wymawiane są jedynie dla potrzeb fonetycznych. Jednym ze słynnych przykładów themurah jest takie odczy-



tanie pierwszych słów Księgi Stworzenia brzmiących, jak wiadomo, „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię”, które daje zdanie: „Z zawsze istniejącej przestrzeni stworzyła podwójna siła podwójne niebo”.

Zatrzymaliśmy się na chwilę nad właściwościami kabalistyki, ponieważ — jak się wydaje — w niej najpełniej przejawia się przeczucie owej oboczności czy też równoległości znaczeń dosłownych z tajemniczym znaczeniem ezoterycznym. Angielski uczonec, John Cohen, pisze: „Poeci i ludzie obdarzeni wyobraźnią od najdawniejszych czasów żywili przeczucie, że pospolite, dosłowne i dotykane znaczenie słów i przedmiotów jest tylko jednym z wielu możliwych sensów, które możemy dzięki nim zrozumieć”. Badając czy też wyczarowując znaczenia dalsze stajemy u progu otaczających nas tajemnic natury świata.

#### 4

Tajemnice te jednak nie ograniczają się jedynie do rzeczy, znajdujących się na zewnątrz nas, które określiłem tu jako „rzeczy większe”. Człowiek, ku swemu przerażeniu, spostrzega, że również on sam nie jest bynajmniej warowną fortecą, niepodatną na wpływy zewnętrznych mocy, lecz przeciwnie — że jego własna osobowość nie jest dlań ani w pełni zrozumiała, ani też nie stanowi wydzielonej i hermetycznej przestrzeni, w ramach której mógłby czuć się całkowicie bezpieczny. Źródłem nieustannego niepokoju są dlań spostrzeżenia, na podstawie których w sobie samym odkrywa działanie sił ciemnych, niepojętych, nad którymi nie potrafi zapanować. Odkrywając te niewyjaśnione instynkty, porywy, przeczucia, stwierdzamy ze zgrozą, że w nas samych załęgła się jakaś zdrada, że niektóre spośród ciemnych ścieżek świata przebiegają przez sam środek naszego umysłu, a fakt naszej pozornej osobności, dojrzałości, samodzielności, nie chroni nas przed niczym.

I oto wśród lęków, które niesie nam świat zewnętrzny, rodzi się lęk nowy, najgroźniejszy chyba — lęk przed samym sobą. Albo lęk przed drugim człowiekiem, którego podejrzewamy o inność, odmienność, o bliski i intymny kontakt ze światem, który nie jest ludzki. Lęk przed czarownikiem.

Lęk? Na pewno. Ale równocześnie niecierpliwa ciekawość, fascynacja. Stosunek do czarownika jest zarazem bojaźliwy i nacechowany czcią. Prymitywne plemiona drżą przed czarownikami, a równocześnie czynią ich swoimi przywódcami i władcami. Człowiek średniowiecza, bohater ludowej ballady, omija po zmroku ustronne siedliska czarnoksiężników, pustelników, „nawiedzonych”, ale równocześnie przemyka się do nich ukradkiem po radę, po zioła lub truciznę. Chłop słowiański lituje się i pogardza kaleką „niespełna rozumu”, uważa go za istotę upośledzoną, ale równocześnie wsłuchuje się w jego nieartykułowany bełkot, w owe nieskładne majaczenia wiedzów, „jurodiwych”, kalek czy epileptyków, spodziewając się usłyszeć czy też wywnioskować z ich słów jakiś przekaz wiążący i prawdziwy. Inkwizytor postanawia czarnoksiężnika spalić.

Spalić albo poddać „sądowi bożemu”, to znaczy zmusić do rzeczy nadnaturalnych: aby dotknięte rozpalonym żelazem ciało nie płonęło, aby woda wyrzuciła je na brzeg żywe i nie tknięte, aby łamana kołem kość nie pękła. W tych okrutnych zabiegach inkwizycji, w słynnych „polowaniach na czarownice”, w owych barbarzyńskich „próbach” kryje się zastanawiający brak logiki, który jest równocześnie logiką naszych odczuć względem czarnoksiężstwa. A więc z jednej strony oburza nas, że ktoś ma kontakt z mocami nieczystymi, ze światem wymykającym się normie naturalnej, że zdolny jest „rzucić urok” i z tego właśnie, że istota nam podobna, zwykła na pozór i normalna dysponuje tak niezwykłymi możliwościami — czynimy zarzut. Z drugiej strony jednak, skoro zarzut został tak właśnie postawiony domagamy się, aby „sąd boży” ujawnił rzeczy nadnaturalne i wówczas skłonni jesteśmy nawet wybaczyć,

choć, na dobrą sprawę, wtedy właśnie należałoby spalić ostatecznie. Chcemy więc po prostu, aby czarnoksiężstwo jak gdyby oczyściło się, wystąpiło w stanie nieskażonym, wyodrębnionym, pozbywając się ludzkiej powłoki, owego obojnaczego przemieszania z naturą człowieka. To bowiem drażni nas i przeraża najbardziej. Egzorcyzmując, paląc na stosach czarnoksiężników i więdźmy, my, ziemianie, egzorcyzmujemy siebie. Chcemy, aby nasza własna natura pozostała czytelna i czysta. Chcemy usunąć z niej to, co nas niepokoi.

I nie osiągamy skutku. Nie tylko „nowela z dreszczykiem”, którą traktujemy tu jako odbicie znacznie szerszych nastrojów, ale i literatura bez przymiotnika pełna jest zastanowień nad owym stanem wewnętrznego nieładu, nieskoordynowania a nawet utraty władz nad samym sobą, której źródła dopatrujemy się w „rozdwojeniu naszej jaźni”. Słynne opowiadanie Stevensona „Doktor Jekyll i Mr. Hyde”, pokazujące przeraźliwą metamorfozę czcigodnego naukowca w pełnego zbrodniczych instynktów potwora, sumuje wątki dawnej legendy Fausta i wcześniejszych utworów o dwoistości natury ludzkiej i daje początek nieskończonemu ciągowi wersji późniejszych, w których zła, ciemna strona natury ludzkiej oddziela się od strony dobrej, zachwiany zostaje stan równowagi, rodzi się zbrodnia. Środkiem, służącym temu rozdwojeniu, może być magia, tajemnicze zaklęcia, „pakt z szatanem”. Może być nim również alchemia albo, jak w nowszych wersjach, dbałość o zachowanie kontaktu z myśleniem zbliżonym do naukowego, zabiegi farmaceutyczne lub hipnoza. Zwłaszcza ta ostatnia staje się motywem ulubionym. Sprzyja temu zapewne pokątne poparcie, jakie hipnozie udziela nauka. Od końca bowiem XIX wieku nie ma właściwie autorytetów naukowych w dziedzinie psychiatrii czy psychologii, które by negowały realność zjawisk hipnotycznych. Nie tylko szarlatan-hipnotyzer, ale i uczonego psycholog potrafi uśpić swoje medium, potrafi również zmusić je w czasie snu hipnotycznego do nakazanych mu albo też przeciwnie — nieoczekiwanych i wynikających z podświadomości słów i działań. Nie przypadkiem od hipnozy wzięła swój początek współczesna psychoanaliza i nie gardził nią w swoich praktykach także doktor Zygmunt Freud.

Ścieżki fantazji jednak, jak powtarzaliśmy to już kilkakrotnie, tylko pozornie powtarzają szlaki nauki. Cechuje je niecierpliwość. Pośpiesznie dorysowują nieznanne kontury zjawisk i oto świat fantastyki literackiej zaludnia się dziesiątkami terminów, takich jak „fluid” — tajemnicza fala, przekazywana medium — jak „mesmeryzm”, „magnetyzm”, jak wreszcie wszelkie odmiany zjawisk i stanów telepatycznych i mediumistycznych. W końcu ubiegłego i w pierwszej połowie bieżącego stulecia rośnie fala nadużyć i oszustw, legitymujących się tajemną wiedzą hipnozy. Współczesny czarnoksiężnik odrzuca szklaną kulę, talie kart i wypędza czarnego kota, przywdziewając w zamian biały kitel lekarski i grube rogowe okulary. Lekarz, eksperymentator osiągający „zdumiewające rezultaty”, staje się ulubionym bohaterem noweli fantastycznej. Staje się on również bohaterem dramatu. Bowiem hipnoza taka, jaką obrała sobie za przedmiot literatura, obraca się w granicach kryteriów moralnych. Jak w czasach kontrreformacji zwykła sekcja zwłok celem badań anatomicznych uważana była za zbrodnię, zmierzającą do świętokradczego zgłębienia tajemnic stworzenia, i pierwsze lekcje anatomii miały szatę obrzędową czarnych mszy, dokonywanych w aurze grzechu i tajemnicy, tak w czasach nam bliższych zagłębianie się w duchową anatomię człowieka nosi na sobie piętno paktu z szatanem. Natura odkrywa swoje zagadki, ale nie ociąga się też z karą. Najczęstszą formą owej kary staje się nałóg. Jest to całkiem zrozumiałe, bo cóż innego podsunąć by nam mogła nasza wyobraźnia, zaprawiona na doświadczeniach z nałogiem, będącym konsekwencją opilstwa, zażywania narkotyków, rozpusty? A więc hipnotyzer, który sam często staje się przedmiotem swoich badań, popada w stan nałogu, to znaczy utraty kontroli nad swymi czynami. Doktor Jekyll wbrew swojej woli budzi się rano w odrażającej powłoce fizycznej mister Hyde'a. Złe instynkty, wyzwalane umyślnie, w celach naukowych, odszukawszy drogę na zewnątrz naszej osobowości wyzwalają się same. Sen hipnotyczny, skrzyżowany z zawsze niepokojącym zjawiskiem lunatyzmu, staje się czasem zbrodnią, za którą

zbrodniarz nie czuje się nawet odpowiedzialny, ponieważ o niej nie wie. Przebudzenie wita go krzykiem grozy wobec bezceństwa własnej natury.

Jest w tym zresztą potężna dawka pychy. Myśląc o sobie samych nie dopuszczamy bowiem myśli, że możemy być źli, ułomni, występni. Jeśli stwierdzamy w sobie istnienie mrocznych instynktów, agresji i dzikości, skłonni jesteśmy raczej przypisać te instynkty czemuś z zewnątrz niż naszej normalnej naturze. To ktoś drugi, kto zakradł się do naszego wnętrza, a nie my sami, tacy, jakimi chcielibyśmy się widzieć, prowadzi nas do występk. Kim jest ten przybysz? Szatanem? — Tak odpowiadała na to pytanie najstarsza myśl ludzka, tak odpowiada religia. Równocześnie jednak odpowiedź ta zawsze wydawała się niepełna i historia człowieka, poszukującego prawdy o sobie, pełna jest łowów na tego tajemniczego nieznanego. Jego rysów doszukiwano się rozmaitymi sposobami. Szukano ich między innymi w rysach naszych twarzy. W XVII stuleciu Neapolitańczyka, Gian Batistę De la Porta uderza podobieństwo rysów twarzy ludzkiej z fizjonomiami zwierząt i oto spod jego ręki wychodzi niewiarygodny album, pełen portretów „ludzi-łowów”, „ludzi-kotów” czy „ludzi-osłów”, opatrzone uczone komentarzem na temat ich cech charakteru, zbliżonych do cech, przypisywanych tym zwierzętom. W albumie De la Porty twarz cesarza Galby zestawiona jest z dziobem orła, cesarz Witelius mądrość swoją zawdzięcza podobieństwu do sowy. I mimo że wiedza badacza zarówno o cesarzach, jak i o zwierzętach wydaje się mocno niepełna, fizjonomika, za sprawą następców De la Porty, a przede wszystkim XVIII-wiecznego Szwajcara, Jana Kaspra Lavatera, staje się wielką modą intelektualną stulecia racjonalizmu. Ostatnim zapewne jej owocem staje się dzieło zmarłego w 1809 roku lekarza i kryminologa, Cezare Lombroso.

Nauka Lombrosa, która w bardzo silnym stopniu władała wyobraźnią przełomu stuleci, umieszczona być może gdzieś na granicy fantazji fizjonomicznej i nauki psychologii. Z jednej strony więc był on fizjonomistą, przekonany, że zbrodniarza odczytać można z przyrodzonych, zbrodniczych rysów twarzy, wyciśniętych na jego obliczu jak piętno; przekonanie jakże bliskie całej tradycji naszej cywilizacji, na której obrazach twarze świętych emanują niebiańską słodyczą, zawartą w regularności rysów, podczas gdy oblicza oprawców straszą stygmatami występk, chorób, zwierzęcości. Z drugiej jednak strony to właśnie Lombroso — kryminolog pierwszy stwierdził, że zbrodnia jest chorobą, nieuleczalną może i dziedziczną, ale przecież tak samo niezależną od naszej woli jak tyfus, trąd czy padaczka. Czy przestaje przez to być przerażająca? Kto ma co do tego jakieś wątpliwości, niech przeczyta w tym tomie opowiadanie „Krzyżówka” Michała Choromańskiego.

Ale przecież dzięki temu stwierdzeniu, tajemniczy nieznanomy, którego śledzeniu nauka i fantazja poświęciły tyle wysiłku przesuwa się w głąb nas samych. Staje się naszą cechą, tak jak choroba jest cechą chorego, a kalectwo cechą kaleki.

Stąd już krok tylko do wiedzy nowoczesnej. Nie jest to wiedza krzepiąca, ale zadaniem wiedzy nie jest niesienie pociechy, lecz prawdy. Odkrycie Zygmunta Freuda, jego system psychoanalizy, wykrywający w nas samych potężny świat podświadomości, który dyktuje nasze czyny świadome, otwiera przed nami spojrzenie oślepiająco jasne na istotę wewnętrznego skłócenia człowieka. Jest to odkrycie zbyt potężne i zbyt znane zarazem, aby je tu streszczać. Nie od rzeczy jednak będzie wspominając tu o Freudzie, przypomnieć wzmiankowany wyżej spór „literalistów” z „figuralistami”. Dla Freuda świat wewnętrzny człowieka, jego podświadomość, ujawnia się między innymi w systemie skojarzeń i pomyłek — skojarzeń, którym na pierwszy rzut oka skłonni jesteśmy odmawiać jakiegokolwiek sensu i pomyłek, które uznajemy za błahie i przypadkowe, którym jednak wiedeński uczone przypisał rolę drogowskazów, prowadzących w kierunku naszego świata wewnętrznego. I oto, zastanawiając się nad tym systemem, odkrywamy nagle, że znajdujemy się na gruncie bardzo bliskim problemom, które poznaliśmy w przeszłości. A więc czy słowo ma jakikolwiek sens poza swoim sensem literalnym? Czy prowadzi gdzieś głębiej, do zasłoniętej przed nieprzenikliwym wzrokiem figury?

Odpowiedź freudyzmu jest twierdząca. Nasz właściwy świat duchowy nie ujawnia się,

lecz zdradza poprzez pomyłkowe słowa i nedorzeczne na pozór skojarzenia, będące jedynie symbolami, narodzonymi w efekcie skomplikowanych przeobrażeń psychiki ludzkiej. Czegóż jednak dotyczą te symbole? Jakich sił, jakich doświadczeń, jakiej rzeczywistości? Psychoanaliza prowadzi nas do odpowiedzi konkretnych. Potrafi odszukać zagubiony w pamięci moment, kiedy słowo obrosło w sens dodatkowy, kiedy zdarzenie lub zjawisko po raz pierwszy skojarzyło się z innym, na pozór — i po upływie czasu — absurdalnie odległym. Są to jednak wszystko słowa i zdarzenia rzeczywiste, należące do naszej, ludzkiej biografii, nie pochodne od sił zewnętrznych, lecz narodzone na gruncie ludzkiej rzeczywistości psychologicznej, fizjologicznej, społecznej. Można je odszukać, można na nie wskazać. I w tym właśnie punkcie zamyka się potrójny łańcuch — od literalnego znaku do symbolu i z powrotem do namacalnej rzeczywistości.

Odkrycie to jest nowe na gruncie psychologii. Nie jest jednak nowym systemem rozumowania, którego zarys tu streściłem. Cytowany tu już raz John Cohen powiada: „Zgodnie z tradycją talmudyczną, żadne zdanie, zwrot albo słowo nie jest w stanie umknąć swemu literalnemu znaczeniu. Jakikolwiek bowiem inny sens mogłyby one zawierać, mieszczą w sobie przede wszystkim konkretne znaczenie dosłowne”.

I oto znowu stare spekulatywne przeczucie na moment styka się i rymuje z doświadczeniem nauki.

„Nieznanym” według Freuda jesteście więc my sami. Nasze utajone popędy. Nasza zamglona w pamięci własna biografia. Według jego kontynuatorów, Junga przede wszystkim, jest w nim również historia naszego gatunku, doświadczenie minionych pokoleń, prastare a powszechne mity, rzeźbiące naszą świadomość. To one mówią do nas niejasnym, symbolicznym językiem, u źródeł którego spoczywa zawsze ziarno konkretności. Nie wiedząc tego jednak lub nie rozumiejąc odczuwamy lęk obcości. Chłodny powiew nieznanego. Nasza fantazja podstawia w to miejsce stwory zagadkowe, choć człekokształtne. Nauka idzie jej w sukurs i oto na scenę naszych lęków wkracza stwór nowy — golem.

## 5

W bieżącej tradycji literackiej, golema, którą to nazwę spopularyzował Gustav Meyrink, tytułując tak swoją głośną powieść, utożsamia się z homunculem, czyli sztucznym człowiekiem stworzonym przez człowieka. W rzeczywistości jest to niezupełnie słuszne. Dążenie do zbudowania „sztucznego człowieka”, robota lub mechanizmu, wykonującego możliwie największą ilość czynności, podobnych do tych, które wykonuje człowiek, jest prawie tak stare jak cywilizacja. Legendy o osiągnięciach w tej dziedzinie dochodzą nas od czasów staroegipskich. Niewątpliwie za pierwszego robota uznać można słynny posąg Memnona, który o brzasku wydawać miał przeciągłe, zawodzące dźwięki, jakby płacz lub wycie, co przypisuje się właściwości kamienia, z którego został wyrzeźbiony i który w ten sposób reagował na promienie słoneczne. Z biegiem czasu w człekokształtne rzeźby poczęto wmontowywać coraz bardziej skomplikowane mechanizmy, rzeźby wydawały ludzkie głosy lub, jak posągi z Heliopolis w Dolnym Egipcie, poruszały się nawet po świątyni. W baśniach indyjskich lub starochińskich pełno jest martwych figur i posągów, które ruszają się i mówią. Według średniowiecznych świadectw papież Sylwester II, alias Gerbert, skonstruował mówiącą głowę, u której zasięgał rad i słuchał jej przepowiedni. Sztukę tę miał nabyć w młodości od Saracenów, a mechanizm owej „mówiącej głowy” oparty był na skomplikowanym kodzie matematycznym, wyprowadzonym z astrologii. O wiedzy Sylwestra w dziedzinie znajomości gwiazd świadczy zaś niewątpliwie opracowany przez niego model teleskopu gwiazdowego, którego szkic i opis przechował się w rękopisie z St. Gallen z roku 982 n.e.

Opisy niezwykłych automatów, tworzonych przez Gerberta, znajdziemy w wielu tekstach średniowiecznych, powtórzy je również w kilka stuleci później Montaigne.

Nieco inny, mocniej podbudowany myślowo charakter nada budowie cudownych maszyn i automatów żyjący na przełomie XIII i XIV wieku hiszpański mistyk Ramon Lull, znany jako „Doctor Illuminatus”, twórca maszyny logicznej, którą nazwał „Ars Magna”. Lullovi również przypisuje się opracowanie tarotu, gry, będącej równocześnie kabałą i wykładnią filozofii świata. Sama już nazwa tarot sugeruje głębsze znaczenie kabały, o czym przekonamy się, pisząc ten wyraz tak, jak przedstawiali go kabaliści, a mianowicie

T  
O    A  
R

co czytane zgodnie z ruchem zegara i przy dwukrotnym ;powtórzeniu litery T (na początku i na końcu) daje nazwę kabały, czytane zaś w kierunku odwrotnym daje wyraz TORA, co znaczy Prawo i jest nazwą hebrajskiej księgi praw. Oba te wynalazki Lulla, „Ars Magna” i tarot, wywodziły się z tego samego przekonania, że świat nasz opiera się na kilku podstawowych prawdach czy też formułach, które odpowiednio zestawiane ze sobą i kombinowane odślaniają nam coraz nowe zagadki bytu. „Ars Magna” więc była to maszyna logiczna, rodzaj mózgu elektronowego, którego — jakbyśmy dzisiaj powiedzieli — „program” stanowiły formuły mistyki; maszyna dawała szereg ich nowych kombinacji, udzielała — opartych o kategorie mistyczne — odpowiedzi na pytania m.in. z dziedziny medycyny, miała uprościć spekulacje scholastyczne. Maszyna ta więc, będąc prototypem mózgow elektronowych, w pewnym sensie naśladowała czy też udoskonalała mechanizm myślenia człowieka, w tym sensie więc również była „człowiekopodobna”. Podobnie da się powiedzieć o wszystkich — wcześniejszych i późniejszych — robotach, automatach, maszynach liczących czy odpowiadających na pytania, które stopniowo, doskonaląc się coraz bardziej, zaludniać zaczęły świat człowieka, zbliżając do rzeczywistości legendę czy też marzenie o homunculusie, sztucznym człowieku, spełniającym nasze rozkazy.

Homunculus jednak nie jest straszny. Dla świata antycznego czy średniowiecznego, a już z pewnością dla XVII i XVIII wieku, kiedy konstruowanie zmyslnych automatów, urządzeń i maszyn było wielką modą, wciągającą umysły najdoskonalsze nawet (konstruktorem maszyn logicznych był m.in. filozof Leibniz, zajmował się tymi sprawami Bacon, Pascal i inni), automaty wypełniały potrzebę dworskiej rozrywki, budziły dociekliwość, stanowiły ciekawostkę naukową. Były wśród nich instrumenty piękne, jak na przykład należąca do Marii Antoniny lalka grająca na dulcimerze, której twórcami byli Roentgen i Kinzing, albo zabawne — jak skonstruowana przez osiemnastowiecznego francuskiego wynalazcę Vaucansona kaczka, demonstrująca w swoich sztucznych jelitach proces trawienia, od dziobania podsypywanych jej ziaren aż do... końcowego efektu. Były szalbierstwa, jak słynny automatyczny „gracz w szachy”, skonstruowany przez Kempelena, który był po prostu trickiem cyrkowym, podobnym do tych, na których opiera się sztuka iluzjonistów z przepięłowaniem skrzyni, w której znajduje się żywa kobieta.

„Gracz” ten robił na początku XIX stulecia zawrotną karierę, w roku 1809 wygrał partię szachów z Napoleonem w Schönbrunnie, zjeździł — wraz ze swym wynalazcą — całą Europę i ostatnie jego występy notowano jeszcze w roku 1854, kiedy spoczął wreszcie w muzeum. Wielka wreszcie gałąź wczesnych automatów i maszyn przekształciła się w dzisiejsze narzędzia nauki i ciekawostką będzie wspomnienie, że Leibniz pracował m.in. nad wynalezieniem maszyny, która by metodą matematyczną pomogła rozwiązać problem elekcji nowego króla polskiego.

I jeden tylko golem pozostał na zawsze w mrocznym świecie magii, budząc lęk, niepo-

kój, wywołując nieznanne. Wraz z nim wracamy znowu do świata ciemnych spekulacji nad naturą świata, do tajemnej wiedzy kabalistów, tekstów, zasłoniętych przed okiem profanów, najstarszych pism cywilizacji.

Słowo „golem” raz tylko występuje w Biblii, w „Psalmach” (XCCCIX, 16), gdzie oznacza nieuforną substancję, embriona, coś napoczętego, lecz nie skończonego, „jak igła bez ucha lub bezpłodna kobieta”. Golemem był również praojciec Adam, gdy twórca ulepił go już z prochu, lecz nie tchnął w niego jeszcze duszy. W pismach gnostyków na temat stworzenia pierwszego człowieka istnieje również wersja, że ów Adam — golem był tworem gigantycznym, „sięgającym z jednego końca świata na drugi i od ziemi do nieba”. Wielki ten rozmiar symbolizować miał siłę, drzemiącą w bezrozumnej masie, akcent niesłuchanie ważny w tradycji legend o golemach, gdzie golem staje się zazwyczaj sprawcą niedorzecznego, bezdusznego zniszczenia, którego groza polega raczej na niszczycielskim bezwładzie niż emocji lub perfidii.

Golem jest niemy. W Talmudzie znajduje się wzmianka o golemie, który nawiedził rabina Zera. Uczony mąż przemawiał do niego, ale potwór nie udzielał mu żadnej odpowiedzi; „znaczy to, że jesteś tworem czarnoksiężników — obróć się w proch” rozkazał golemowi Zera, niszcząc go tym sposobem. Golem bowiem nie jest tworem techniki, jest dziełem magii. Rodzi go nie przemyślność ludzka, lecz powołują go do życia zaklęcia znane magom. W ten sposób jest on tworem nieczystym, narodzonym z chęci wydarcia Stwórcy jego mocy tworzenia, wyraża się w nim ludzka pycha, dążąca do tego, aby dorównać Bogu. Kabalista Eleazar z Wormacji żyjący na przełomie XII i XIII wieku opracował cykl formuł magicznych, mogących powołać do życia golema. Mag Elias, w połowie wieku szesnastego, kreował golema posługując się Imieniem Bożym „Nomen Proprium”. Najstłynniejszym z szesnastowiecznych golemów był jednak ten, którego ukształtował w roku 1580 rabin Lew z Pragi. Golem jego powstawał stopniowo. Nad brzegiem Wełtawy nakreślono najpierw jego zarysy na piasku, po czym, za wypowiedzeniem odpowiednich formuł kabalistycznych, kształt golema zaczął się palić. Za następnymi zaklęciami ogień ustąpił, dym wydobył się z ciała golema, wyrosły mu włosy i paznokcie. Wreszcie, za trzykrotnym wypowiedzeniem wersetów z Księgi Genesis, golem otworzył oczy. Był on naturą człokopodobną, lecz niższą. Pozbawiony był mowy. Używano go jako służącego. W sobotę, zaklinany „Nomen Proprium” zażywał spoczynku, uspijony jakby i martwy.

Golem był pokusą, a równocześnie lękiem czarnoksiężstwa. Kusząca była w nim myśl o wdarcu się w rejony zastrzeżone dla bóstwa, powtórzenie aktu stworzenia, przy czym, w skrótowo opisanym wyżej procesie kształtowania golema przez Lwa z Pragi, odnajdujemy pewne podobieństwa do historii stworzenia świata, takiej, jaką przekazuje nam Stary Testament, a także nauka kosmogonii, według której nasz układ planetarny był najpierw płonąca mgławica, która następnie ostygła, aby stać się miejscem życia organicznego. Równocześnie jednak w naturze golema tkwi jakaś wewnętrzna ułomność, niedoskonałość, brak mu mowy, brak mu zapewne również duszy. Ów sztywny podział na istotę fizyczną i istotę duchową, który tak silnie podkreślała filozofia mechanistyczna, wywodząca się od Kartezjusza, w postaci golema znajduje swoją bajeczną wykładnię i nabiera cech niepokojących. Golem jest straszny, ponieważ jest bezduszny, naśladuje człowieka, ale nim nie jest. Lęk, jaki budziła ta postać, powtórzy głośnym echem literatura, w której pojawiają się posagi, ozywające na chwilę, jak ów piękny posąg kobiety u Merime'go, która, spełniając obietnicę zaślubin, daną jej przez śmiertelnika, miażdży go w miłosnym uścisku swoich marmurowych ramion; jak sztuczna kobieta-tancerka u E.T.A. Hoffmanna, która tańcząc bez wytchnienia zabija tym swego partnera; jak posąg Komandora w legendzie o Don Juanie.

Dalszym ciągiem tych lęków jest współczesna opowieść fantastyczno-naukowa, w której rolę golema spełnia robot. Robot coraz bardziej doskonały, coraz bardziej podobny do człowieka, myślący szybciej od nas, działający precyzyjniej, powołany przez nas do życia,

lecz równocześnie martwy przecież, bezduszny, nie należący do tej samej co my społeczności i gatunku. Lękiem naszych czasów, lękiem epoki automatyzacji, staje się coraz częściej wizja „buntu robotów”, moment, kiedy stworzone przez nas doskonałe maszyny wypowiedzą nam posłuszeństwo, ruszą przeciwko nam mechanicznym, rytmicznym krokiem golema, traktując nas i miażdżąc. Nie będzie z nimi porozumienia. Ludzkie kategorie nie przemówią do ich mózgów, tak samo, jak nasze, ziemskie kategorie nie będą w stanie przemówić do przybyszów z innych planet, jeśli ci kiedykolwiek odwiedzą nasz glob. Pomiedzy nami a nimi zalegnie milczenie, nie będziemy mogli wyjaśnić sobie swoich celów, myśli, zamiarów. Niemota golema jest tu więc czymś więcej niż defektem fizycznym — jest to symbol owej szklanej ściany, która zalega granice człowieczeństwa.

Mogą to być, lecz nie muszą, granice planet. Może to być także granica między człowiekiem, a jego dziełem, między człowiekiem a człowiekiem, między człowiekiem a społeczeństwem. Lękiem naszym bowiem nie jest tylko „bunt robotów”, albo inwazja Wenusjan, Marsjan lub przybyszów z odległych galaktyk. Jest nim również mglista obawa, czy nasz świat, czy my sami nie zatracimy między sobą kontaktu, wprzęgnięci w tryby nowoczesnego społeczeństwa przemysłowego, poddani mechanicznej dyscyplinie, zmuszani do czynności automatycznych i monottonnych. W tradycji mistyków bowiem golem jest nie tylko magicznym i bezdusznym tworem powołanym z prochu. Może on także wychynąć z nas samych. Żyjący około tysiącnego roku Hai ben Szerira, kabalista, stojący na czele akademii babilońskiej, opisał system ćwiczeń i praktyk ascetycznych, powodujących stan ekstazy, w którym wydzielenie golema jest, jego zdaniem, możliwe. Jeden z jego uczniów twierdzi, że dokonał był tej niezwykłości: „nagle ujrzałem swój własny cień, stojący naprzeciw mnie i patrzący na mnie”.

## 6

Lękamy się „buntu robotów”. Czymże jest jednak robot? — Jest to konstrukcja mechaniczna, spełniająca przy pomocy odpowiednich urządzeń technicznych funkcje, które my, ludzie, spełniamy dzięki przyrodzonym nam cechom naturalnym. Robot „liczy”, ponieważ wmontowano weń odpowiednie urządzenia elektronowe, pozwalające na dokonywanie operacji matematycznych; robot „widzi”, ponieważ system urządzeń optycznych oraz odpowiednich przekaźników pozwala mu na rejestrowanie obrazów; robot „słyszy” dzięki urządzeniom akustycznym. Jest to wszystko całkowicie normalne i mieszczące się w ramach naszych wyobrażeń o mechanice.

Niejakie zdziwienie jednak ogarnęło konstruktorów wczesnej cybernetycznej maszyny „widzącej”, kiedy wezwany na konsultację fizjolog stwierdził, że układ mechanizmów, drutów i przewodów w ich automacie przypomina swoim kształtem układ zwojów mózgowych mózgu człowieka w ośrodku, gdzie koncentruje się zmysł wzroku. Zdarzenie to cytuje jeden z twórców cybernetyki nowoczesnej, Pierre de Latil w swojej książce „Sztuczne myślenie” i jest ono najzupełniej autentyczne. Współczesna nauka cybernetyki wyciągnęła stąd wniosek o konieczności współdziałania techników z fizjologami. Współczesna humanistyka otrzymała materiał do refleksji. Momentów takich jest coraz więcej. Robot bowiem nie tylko powtarza pewne elementy układu fizjologicznego człowieka. Zbliżanie się organizmu żywego do sztucznej konstrukcji mechanicznej następuje jakby od obu stron. Coraz doskonalsza praktyka protez pozwala zastępować nasze ręce, nasze nogi czy też nasz osłabiony aparat wzroku lub słuchu urządzeniami mechanicznymi. W czasie trudnych operacji chirurdzy włączają nasz organizm w system sztucznego płuco-serca. Przed jakimś czasem sensacją światowej medycyny stała się kobieta, która opuściła szpital ze sztucznym mięśniem sercowym w piersi, żyjąc

z tym całkiem normalnie i ciesząc się życiem. Jeszcze większą sensacją stały się eksperymenty dra Barnarda, które wprawdzie nie wprowadzają do organizmu człowieka protez, lecz żywą tkankę z innych organizmów ludzkich. Stanowią jednak niespotykaną dotychczas interwencję człowieka w dziedzinę dotychczas dla nas niedostępną. Nie ma powodu, aby nie przewidywać sztucznych żołądków, wątrób, trzewi. Nie wymaga to nawet wiele fantazji — po prostu odrobinę czasu, który współczesna nauka wykorzystuje intensywnie dla swoich błyskawicznych odkryć. Wraz z tym jednak do starego pytania o homonculusa, o to, kiedy z konstrukcji mechanicznej zaczyna wyłaniać się człowiek, dodać należy pytanie następne — a więc kiedy, w jakim punkcie operacji protetycznych, przy ilu elementach wmontowanych w nas, podstawionych w miejsce organów żywych, z którymi przyszliśmy na świat, podłączonych do nas, człowiek się kończy? Kiedy zaczyna się robot?

Skłonny do łatwych pocieszeń instynkt czy też „zdrowy rozsądek” człowieka, zwykł mniemać, że jakkolwiek roboty mogą naśladować nasze działania fizyczne, jakkolwiek my sami, poprzez zabiegi protetyczne, możemy zawierzyć niektóre z tych działań robotom, istnieje jednak nieprzenikalna, trwała granica pomiędzy nami, a światem tworców mechanicznych, którą stanowi nasze życie psychiczne. Nawet myśliciele tacy, jak La Mettrie na przykład, którzy ośmielili się widzieć w człowieku „maszynę”, dodawali jednak owej maszynie duszę, wyróżniającą ją nie tylko ze świata innych maszyn, ale i ze świata zwierząt. Przed światem zewnętrznym broni więc naszej odmienności i wyjątkowej roli, jaką spełniamy w przyrodzie, sfera naszych uczuć, wzniosłych ideałów, zależnych od naszej wolnej woli szlachetnych uniesień.

Nauka jednak coraz dotkliwiej obala te złudzenia.

Oto eksperyment, przeprowadzony w 1967 roku przez doktora Jose Delgado ze szkoły medycznej w Yale. Przedmiotem eksperymentu stał się nasz bliski krewny z procesu ewolucji, małpa rebus, uchodząca, jak wszystkie zresztą małpy, za stworzenie o bardzo wysoko rozwiniętych instynktach macierzyńskich. Małpa siedziała w klatce wraz z dwoma innymi, pieszcząc swoje małe. I oto nagle wysłany drogą radiową dziesięciosekundowy sygnał poraża ośrodek w mózgu, gdzie zlokalizowane są owe uczucia macierzyńskie, nakazując zwierzęciu przybranie postawy agresywnej. Małpa ze wściekłością odpędza swoje małe, które, przerażone, chronią się w ramionach innej matki. Przez piętnaście minut trwa szok nienawiści do dziecka. Małpa biega po klatce, okłada się pięściami, ku przerażeniu towarzyszek. Następnie sygnał radiowy zostaje cofnięty. Zwierzę znów bierze w ramiona swoje dziecko, powraca sielanka wyższych, szlachetnych i tak przecież „ludzkich” uczuć. „Nie chciałbym, aby myślano, że jesteśmy przeciwko uczuciom macierzyńskim” — powiedział doktor Delgado. Zapewne. W gruncie rzeczy jednak byłoby to mniej niepokojące niż rzeczywiste wnioski wynikające z jego eksperymentu. Skoro bowiem można, za naciśnięciem guzika aparatury radiowej, wymazać ze świadomości zwierzęcia jedno z elementarnych jego uczuć, dlaczego nie można uczynić tego z człowiekiem? Dlaczego nie można mu również podyktować uczuć przeciwstawnych, dowolnych, drogą sygnałów radiowych uczynić go agresywnym lub łagodnym, apatycznym lub impulsywnym, złym i dobrym? Neurologia nie widzi w tym zakresie zasadniczych przeszkód — jest to tylko kwestia doskonałości aparatur. Nasz mózg, nasze życie uczuciowe jest mechanizmem, którym być może jeszcze nie umiemy się należycie posługiwać, ale jest to już jedynie kwestia wprawy, tak jak nauczanie się prowadzenia samochodu lub sterowania odrzutowcem. A skoro poznamy mechanizm, czy nie udałoby się go powtórzyć? Stworzyć? Czy myśl o golemie lub homunculusie opuściła nas bezpowrotnie?

Oto garść problemów, przed którymi stają uczeni, pracujący nad udoskonaleniem i zwielokrotnieniem hodowli wysokogatunkowego bydła. Jak wiadomo jakość potomstwa zależy od dziedziczności, od doskonałości gatunkowej obojga rodziców. Z przekazywaniem cech osobnika męskiego nie tylko nauka, ale hodowla tradycyjna od dawna już nie miała kłopotów; metoda sztucznej inseminacji pozwala ponadto udzielić wzorowych cech byka, żyjącego,



powiedzmy, w Australii, krowom Teksasu czy Walii. Kłopot zaczyna się jednak w momencie zapłodnienia, ponieważ jedna krowa zdolna jest urodzić tylko jedno cielę, przez co przyrost doskonałych cieląt ograniczony jest ilością doskonałych matek. I w tym właśnie punkcie współczesna medycyna i zoologia przychodzi z nieoczekiwaną pomocą. Doktor E.S.E. Hafez z Uniwersytetu Stanu Waszyngton opracowuje metodę, dzięki której, poprzez odpowiednie zastrzyki hormonów nie tylko zwierzęcych, ale i ludzkich, następuje zwielokrotnione jajczkowanie u zwierząt. Jedna krowa zdolna jest wydać do stu jaj, które zostaną unasiennione. Pozostaje teraz tylko problem donoszenia płodu. W tym jednak współdziałać już mogą inne zwierzęta. Dwutygodniowe płody krów umieszcza się w łożyskach królików, jak w przechowalni. Później przeniesione zostają do łożysk innych krów, mniej doskonałych niż właściwa matka, ale których cechy gatunkowe nie odgrywają już żadnej roli. I oto potomstwo jednej, doskonałej pary przychodzi na świat ze stu różnych matek, podnosząc jakość hodowli. Marzenie nauki sięga jednak dalej — jest nim myśl o sztucznym łożysku, doskonałym i zdolnym przechowywać setki płodów. Perspektywa ta nie jest zbyt odległa. Doktorowi Goodlinowi z Uniwersytetu im. Stanforda udało się już utrzymać dziesięciodniowy płód ludzki przy życiu przez dodatkowe 72 dwie godziny, umieszczając go w skonstruowanym przez siebie, sztucznym łożysku. Dr Kermit Krantz z Kansas umie już uchronić ludzkie łożysko przed zamarciem na przeciąg ośmiu godzin po jego wydaleniu. Jest przekonany, że jakość łożyska i jego prawidłowe działanie jest kluczem do doskonałości. „Nietrudno stwierdzić — mówi — że wskutek niewłaściwego działania łożyska potencjalny Einstein rodzi się jako osobnik upośledzony”.

Dość przykładów. Nikt nie może wątpić, że współczesnych uczonych, takich jak doktor Hafez, Goodlin czy Krantz, nic nie powstrzyma przed kontynuowaniem tych eksperymentów, tak jak żadne moce nie były w stanie zastraszyć czy powstrzymać twórców legendarnych golemów, Eleazara z Wormacji, Eljasza czy Lwa z Pragi. Człowiek powstały ze sztucznej inseminacji, wychowany w sztucznym łożysku czy też w ciele królika, kangura lub hipopotama, pojawi się na naszym globie i obejmie dziedzictwo naszej cywilizacji. Kim będzie? Promienną istotą, skupiającą w sobie cechy istot doskonałych, czy też niemym — jak golem — potworem? Kto uzna, czyje cechy, jako najcenniejsze, zamrozimy w próbkach, umieścimy w sztucznych inkubatorach, być może jeszcze skrywając je w podziemnych schronach, odpornych na radioaktywność, aby mogły zaludnić ziemię, gdy nas już tu nie będzie? Czy będzie to potomstwo geniusza czy też pomiot szaleńca lub zbrodniarza?

## 7

Nasza stara ziemia, przytułek ludów, krąży w ciemnej nieskończoności, tłumiąc w sobie gorzkie przecucie katastrofy. Żyjemy w świecie pocieszeń, bo inaczej nie potrafilibyśmy żyć w ogóle. Ze wzruszeniem pochylamy się nad rzeczami ciepłymi i tkliwymi, ponieważ odnajdujemy w nich jeszcze naszą rację bytu, łagodne tchnienie naszej odważnej i szalonej cywilizacji, prastare rysy naszego gatunku rzeźbione przez tysiąclecia zmagań, chłodzone świeżym powiewem Śródziemnego morza.

Jeden z badaczy twierdzi, że trzy są jeszcze rzeczy, których nie potrafią przeżyć roboty: uśmiech i płacz, rumieniec wstydu i samobójstwo.

Oczywiście, że możemy nauczyć robota, aby wydawał śmiech. Ale sami przecież śmiejemy się często, gdy żywy człowiek zachowuje się jak robot albo gdy robot zachowuje się jak żywy człowiek. Jest wątpliwe, aby do elektronowej świadomości robota dotarła ta forma komizmu. Możemy także sprawić, aby na obliczu robota występowała barwa czerwona. Ale w całej tradycji naszego gatunku twarz była zawsze fragmentem naszego ciała, wystawionym

na widok innych. Jeśli odczuwamy wstyd w obliczu innych, czujemy, że nasza twarz jest naga. Jest wątpliwe, aby robot odczuwał wstyd; wydaje się także bardzo nieprawdopodobne, aby przejął stary atawizm gatunku, do którego nie należy. Robot także może się zniszczyć, ale nie może się zabić, ponieważ prawdziwe samobójstwo zakłada przecucie śmierci i świadomość jej znaczenia, co stanowi przywilej człowieka.

Śmiech, rumieniec i śmierć — trzy kruche przyłądki człowieczeństwa.

*KRZYSZTOF T. TOEPLITZ*

## SPIS TREŚCI

WŁOSY KRZYCZĄCE NA GŁOWIE ( <i>Jan Barszczewski</i> )	02
WŁADCA CZASU ( <i>Antoni Lange</i> )	11
KARAKONY ( <i>Bruno Schulz</i> )	16
W DOMU SARY ( <i>Stefan Grabiński</i> )	18
NA TROPIE ( <i>Stefan Grabiński</i> )	29
KOWADŁO MORDA ( <i>Karol Irzykowski</i> )	37
KRZYŻÓWKA ( <i>Michał Choromański</i> )	44
DZIWNY PASAŻER ( <i>Janusz Meissner</i> )	54
PRZYGODA ODMŁODZONYCH ( <i>Jerzy Szaniawski</i> )	60
HISTRIO, GIBBA ( <i>Stanisław Zieliński</i> )	63
TERMINUS ( <i>Stanisław Lem</i> )	76
POSŁOWIE	100